

A woman with a large black bow in her hair is seated on a white piano bench, playing a white grand piano. The scene is captured in a high-contrast, monochromatic style with a pinkish-red tint. The woman is wearing a dark long-sleeved top and light-colored pants. Her hands are positioned on the piano keys. The piano is a classic grand piano with its lid open. The background is a simple, light-colored wall.

MARIA

PESZEK

NAKU • WIAM

ZEN

MARIA
PESZEK
NAKURWIAM
ZEN

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Od Autorki

Wstęp

Zakręt

Grzyby

Ośmiornica

Spalenie. Absolutnie. Kremacja

Wesołowska umiera

Janeczka

To coś

Jajka

Psitki

Puste kościoły

Dużo drobnych

Zwykły szary człowiek

Przestrzeń

Bagna

Prysznic

Kac

Wory. Mroki. Cienie

Dupa nie jest z mydła

Imponderabilia

MW2

Posłowie

Przypisy

Wydawca, redaktor prowadzący, redakcja ADAM PLUSZKA
Koordynacja projektu, projekt okładki RYSZARD MICHALSKI / EDEK
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, ANNA HEGMAN
Adaptacja projektu okładki, opracowanie graficzne ANNA POL
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Zdjęcie na okładce © Z archiwum rodzinnego

Zdjęcie na IV stronie okładki – Jan Peszek w roli Gonzala w adaptacji Trans-Atlantyku w reż. Mi-kołaja Grabowskiego w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, 1981, fot. Andrzej Wrzesień

Zdjęcia na wyklejkach © Ryszard Michalski / EDEK; zdjęcia na s. [8](#), [58](#), [133](#), [226](#) i [330](#) – Jakub Pajewski; zdjęcie na s. [17](#) – Tadeusz Późniak; zdjęcia na s. [32](#), [33](#), [39](#), [88](#), [190](#), [192](#), [195](#), [243](#) i [295](#) – Jacek Dudziński; zdjęcie na s. [211](#) – Grażyna Wyszomirska; zdjęcie na s. [301](#) – Witold Górka

Pozostałe zdjęcia w książce pochodzą z archiwum rodzinnego Jana i Marii Peszek

Wydawnictwo Marginesy dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 335 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnych dysponentów autorskich praw majątkowych do materiałów ilustracyjnych wykorzystanych w książce. Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej książki do druku nie odnaleziono wszystkich właścicieli praw, Wydawnictwo Marginesy zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu wykorzystania materiałów ilustracyjnych aktualnym dysponentom autorskich praw majątkowych niezwłocznie po ich zgłoszeniu do Wydawnictwa Marginesy.

Copyright © by Maria Peszek

This edition © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Warszawa 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67406-52-9

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11A

01-527 Warszawa

tel. 48 22 663 02 75

redakcja@marginesy.com.pl

www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Ta książka może zranić twoje uczucia.

Jeśli nie chcesz, nie czytaj.

– Chyba wiem, co by to miało być, ale nie wiem, jak do tego dojść. Chcesz, żeby ci o tym mówić?

- Bardzo.

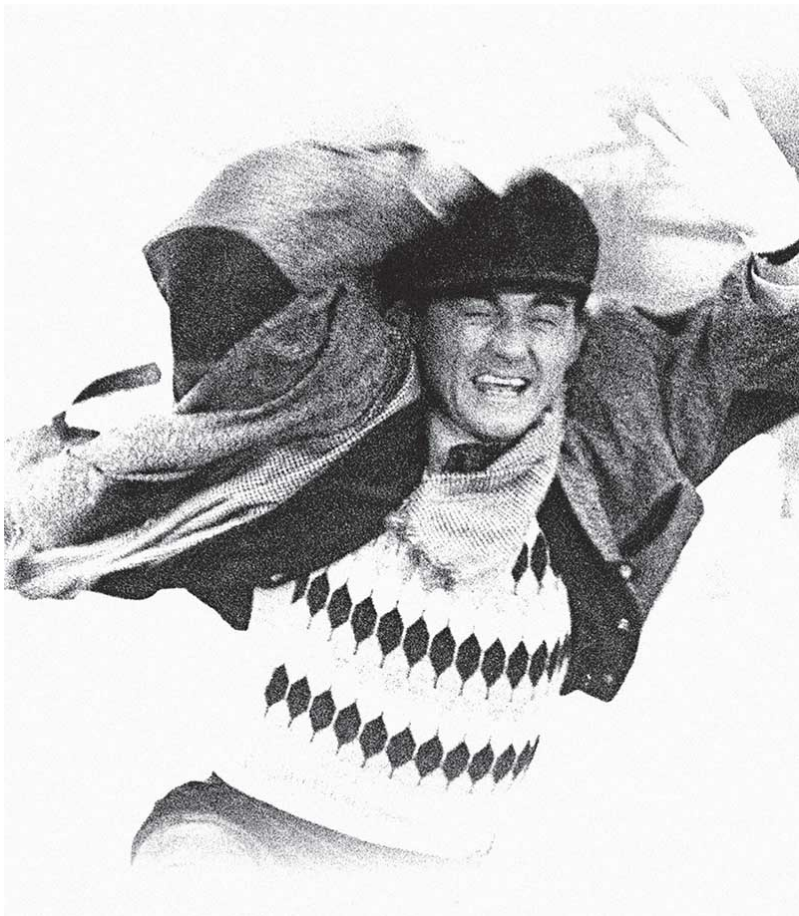
– Jednak chyba nie wiem. Czy to, co mówię, jest jasne?

- Absolutnie.

• • •

- Autorzy, którzy mi proponowali napisanie książki o mnie, wywiady rzeki i tak dalej, tak naprawdę się wożą na osobie, z którą rozmawiają, i nie mają nic do zaproponowania, i w istocie nie rozumieją dziesiątków kontekstów, nie tyle mojej osobowości, bo nie uważam, że ona jest szczególnie interesująca, ile tego, co naprawdę chcę powiedzieć. To, co się ukazuje, to barachło. To są właściwie materiały z kolorowych gazet. Obrzydliwe. Poniżające. Nie chcę tego. Mnie nie interesuje przechodzenie do historii, która jest dla mnie przedmiotem manipulacji wyłączonej. Zajrzenie w głąb człowieka, w tym wypadku mnie, jest ciekawe. W takim zwierciadle, które ty mi podstawisz.

• • •



Święta były wspaniałe. I straszne. Jak zawsze u nas. Ale tym razem jeszcze straszniejsze. Dwudziestego szóstego grudnia tata miał zawał i prawie umarł. Rano zrobił się całkiem szary i w samych majtkach położył się przy kominku. Upierał się, że jedziemy na spacer do lasu i że potrzebuje powietrza. Zamiast do lasu pojechaliśmy do szpitala. Wszyscy mieli kaca, tylko ja i tata nie. Tata, bo już wieczorem źle się czuł, a ja nie wiem dlaczego. Prowadziłam samochód przez puste miasto, aż dojechaliśmy do szpitala, gdzie wcale nie było pusto. W święta jest najwięcej zawałów, za dużo alkoholu, miłości i żalu. Serca nie nadążają. Serce taty też się zmęczyło. Ale odratowali go i z kawałkiem metalu w aorcie wypuścili do domu w sylwestra.

– Dobrze się czujesz? Nie chcesz wody?

• No co ty.

– Przecież zawał miałeś pięć dni temu.

• No i co?

– Prawie umarłeś.

• ...

– Ale powiesz mi, jak będziesz się źle czuł?

• Powiem.

ZAKRĘT

– Sytuacja jest taka, że ja, Maria, znajduję siebie jako człowieka, ale też jako artystę, w dupie i stwierdzam, że to nie jest przyjemne miejsce. Nie jest tak, że to całkiem nowe dla mnie miejsce, że ja tu nigdy wcześniej nie byłam. Jasne, że byłam. Ale tym razem skala jest inna. Zakręt totalny, nie mogę oddychać. A jak nie mogę oddychać, to nie zaśpiewam, a jednak bym chciała.

Więc przychodzę do ciebie. Może mi powiesz, czemu to wszystko, o czym tyle razy gadaliśmy, nie działa? Może trzeba było, jak ci kiedyś Wiesiek Ochał, elektryk, powiedział – wychować córkę na kurwę, a syna na alfonsa, a nie jakieś ideały. Bo to nie działa, tato. Przychodzę do ciebie, bo wydajesz się szczęśliwy. Chciałabym się dowiedzieć, jak to robisz.

- Ciekawe pytanie. Ono mi każe zbadać ten stan, który nazywasz szczęściem.

– Albo jasnością.

- Albo nieodczuwaniem frustracji. Rzeczywiście mam poczucie spełnienia. Mogę umrzeć bez żalu. Mam to od dość dawna. Gdybym nagle umarł, na przykład te pięć dni temu, to miałbym poczucie, że mnie to nie zaskakuje. Że odchodzę w poczuciu nienarobienia jakiegoś bałaganu w życiu, nienarobienia zasadniczych krzywd ludziom i poczuciu wartości mojego życia, czymkolwiek ono jest.

Na pewno w wymiarze czasowym życie nie jest w porządku; że żyjemy te kilkadziesiąt lat i to nam musi wystarczyć. Ten proces od dzieciństwa, młodości, wieku średniego po powolne zbliżanie się do starości – właściwie ona już przyszła – tak zawsze mi się wydawało i zawsze to mówiłem, że się nie udały te proporcje. Poniżający jest ten stan agonii. Że to, na co całe życie pracowaliśmy, ten ogromny potencjał nadziei, planów, obraca się w jakiś długo trwający koniec, niegodny właściwie niczego. I nawet to ulega teraz jakiejś spokojnej rewizji.

– Ale zdarzały ci się sytuacje, kiedy wszystko, w co wierzysz, przestawało nagle mieć jakiegokolwiek znaczenie?

- Wbrew wszystkim opiniom, jakie zbieram o sobie, jestem człowiekiem szalenie optymistycznym. To znaczy emocjonalnym i w gruncie rzeczy bardzo niedojrzałym. Na przykład kompletnie mnie nie uczą porażki czy zawody w życiu, tyl-

ko ciągle mam głupią nadzieję i ostatecznie wiarę w człowieka, który jest wewnątrz mnie jakimś pojęciem ideału.

– Ale nie odpowiadasz mi na proste pytanie.

• To znaczy?

– Czy zdarzały ci się momenty, kiedy miałeś wrażenie, że to, w co wierzysz, nie działa. Kompas się zepsuł i co wtedy?

• Zawsze, kiedy o czymś takim myślę, przychodzi mi do głowy okres w moim życiu, kiedy jeszcze byłem młodym aktorem i Kazimierz Dejmek zaprosił mnie do Łodzi.

– Czyli „okres łódzki”.

• „Okres łódzki”. Miasto dla mnie nieakceptowalne pod każdym względem, gdzie z już, że tak powiem, istniejącej prosperity zawodowej jako młodego aktora we Wrocławiu – wspaniałego miejsca, cudownych ludzi – znalazłem się, jak to mówisz, w dupie. I czułem się oszukany, ponieważ ten człowiek mnie zaprosił tam, do siebie, i cztery lata kazał czekać. Nie wiem na co, na rolę, na pracę? I ja nie byłem w stanie tego zrozumieć. Byłem szalenie rozgoryczony, ale jeśli mam ci odpowiedzieć jakoś prosto...

– Tak by było najlepiej.

• Trwałem w tej sytuacji, nie potrafiąc jej zrozumieć. I to jest paradoksalne, ale nie miałem do niego żalu. Dziś mogę powiedzieć, że mógłbym mieć żal, że on mi tego nie wytłumaczył, nie powiedział wprost. Może powinien był to zrobić.

– A co sprawiło, że przetrwałeś? Bo dodatkowo przecież życie było wtedy straszne, sytuacja polityczna koszmarna. Mrok, komuna, wszystko było...

• ...no strasznym szambem! To był schyłkowy Gierek i tak dalej. Ja wtedy wpadłem w alkohol, w bardzo złe towarzystwo...

– Ale jakie towarzystwo?

• No koleżków takich.

– Ale to byli koledzy aktorzy?

- Nie, ale ze środowiska. Ludzie obrotni, agenci na przykład, którzy wykorzystywali moją słabość do rozrzutności, że stawiałem drinki, że mogłem się okazać kimś, kto ich akceptuje bardziej niż ich własne środowisko. A ja potrzebowałem normalnego wzmocnienia ludzkiego, akceptacji.

To był klasyczny zakręt, jedyny zresztą tej skali w moim życiu, kiedy nagle wiele rzeczy zaczęło się wymykać. Przestałem bywać w domu, u osoby, która mogła być dla mnie przystanią, czyli Teresy, a zacząłem korzystać z ułudy tych rozmów...

– Dyskusji.

- Przede wszystkim z alkoholu. Wracałem o świcie, matka była kompletnie rozbita. Pierwszy raz wylądowałem wtedy w izbie wytrzeźwień, co było dość trudnym przeżyciem. Wyciągnęła mnie z tego Karola, czyli moja matka, która akurat była w Łodzi. Przyjechała do nas w odwiedzin i zrobiła tam po prostu porządek, walnęła w stół i tak dalej...

– W domu czy w izbie wytrzeźwień?

- W izbie wytrzeźwień. Ale to mi w ogóle nie pomogło w zrewidowaniu jakoś tych rzeczy. Naszemu małżeństwu groziło totalne rozwalenie, Teresa była na skraj wyczerpania nerwowego, a ja tego nie rejestrowałem, byłem w ciemnym tunelu. To była otchłań, gęsta mgła.

Robiłem oczywiście rzeczy, które niby powinien robić mężczyzna, który zawsze uważał, że musi dać domowi, a więc żonie, rodzinie i dzieciom, schronienie ekonomiczne. Więc brałem nędzne chałtury, na przykład grałem po przedszkolach na bębenku dla dzieci na nocnikach o siódmej rano. Program za bezcen. Po szkołach jeździłem z Norwidem, z *Pożegnaniem z Marią* po domach kultury, świetlicach...

– Takie zapewnienie ekonomicznego minimum?

- Raczej iluzja, że coś robię. Podejrzewam, że głównym motywem było, żeby pracować, żeby nie zwariować. Jak człowiek zapada się w mrok, to próbuje się wydostać. Za wszelką cenę. Czasem po omacku.

– I to był twój zakręt?

- Z całą pewnością.

– I co pozwoliło ci przetrwać?

- Nie ma jakiegoś konkretnego wydarzenia, które to spowodowało.

– Normalny człowiek powiedziałby: dzieci, żona. Albo na przykład Bóg.

- Bóg na pewno nie. On już wtedy dawno mnie opuścił, a ja jego. Natomiast z całą pewnością osobą stabilizującą sytuację była prosta kobieta ze wsi, twoja niania, babcia Janeczka z Węgrzynowic podłódzkich. Miała zdroworozsądkowe podejście i interweniowała w ten swój prosty, otrzeźwiający sposób, z jakąś pierwotną mądrością. Ale też wytrwałość Teresy i jakaś jej nadludzka siła. Gdyby tego zabrakło, myślę, że to by się skończyło źle. Mógłbym się stoczyć w prawdziwe otchłanie. Zawsze byłem ekstremalny i w życiu poszukiwałem niebezpiecznych podniet. Potrafiłem wchodzić w najgorsze dzielnice, pociągali mnie niewłaściwi ludzie.

– Chcesz wody?

- Poproszę. Ale będę mówił.

– Ja słucham.

- Czasami mnie z tego ratowali koledzy, na przykład Mikołaj Grabowski, który śledził mnie, bo był też ciekawy tych moich dziwnych penetracji, ale też najzwyczajniej się o mnie bał. Zawsze mną kierowały aktualne emocjonalne uwarunkowania, w których byłem, ale przede wszystkim totalna zachłanność życia i drugiego człowieka.

– Absolutnie nie jesteś w stanie mi odpowiedzieć, co też jest w sumie odpowiedzią.

- Nie, nie jestem w stanie ci odpowiedzieć. Leciałem w przepaść, ale nie potrafiłem odejść od Dejmka. To było bardzo dziwne, wiesz, jak syndrom szwedzki.

– Chyba sztokholmski?

- Tak, sztokholmski. Idziesz do mordercy, prawda... Morderca idzie do ofiary? Nie.

– Chodzi ci o uzależnienie ofiary od kata i odwrotnie, tak?

• Uzależnienie od kata, tak. I to począwszy od ciosu, który mi zadał na pierwszym spotkaniu: „Myślałem, że pan jest przystojniejszy”. Nie wiedziałem, czy to były jakieś homoseksualne sugestie i czego oczekiwał. Pamiętam tylko odejście. To było w jakiejś skrajnej już rozpacz. Ja się na przykład upijałem na trzeciej generalnej, po prostu się przewracałem. Koledzy mnie brali pod zimny prysznic w kostiumie i tak dalej. Oczywiście to wszystko było podyktowane rozpaczą.

– Ale w końcu odszedłeś.

• Dostałem propozycję gościnnego grania w Jaracza, znanym już wtedy teatrze, od Mikołaja Grabowskiego, który był moim kumplem ze studiów. Do trzech głównych ról. To był amok, moja kompletna porażka. On kazał mojej partnerce pokazywać mi gołe cycki, żeby mnie jakoś pobudzić. Ja nie byłem w stanie się wydobyć.

– Z tego dołu?

• Z ciemności. Nie byłem w stanie dotrzeć do podstawowych odruchów aktorskich, emocjonalnych. Wydawało mi się, że jestem totalnie wyniszczony, wypalony, jak stępiony ołówek, który próbuje coś narysować i nie może. Pamiętam ten stan. I kiedy on mi tę propozycję złożył, to zerwałem umowę z Dejmkim.

– Ale przez te cztery lata nie zagrałeś w teatrze nic? Przyjechałeś z Wrocławia, gdzie były fantastyczne główne role, nagrody; przywlokłeś mamę z maleńkimi dziećmi w nieznanne i tylko na bębenku po przedszkolach?

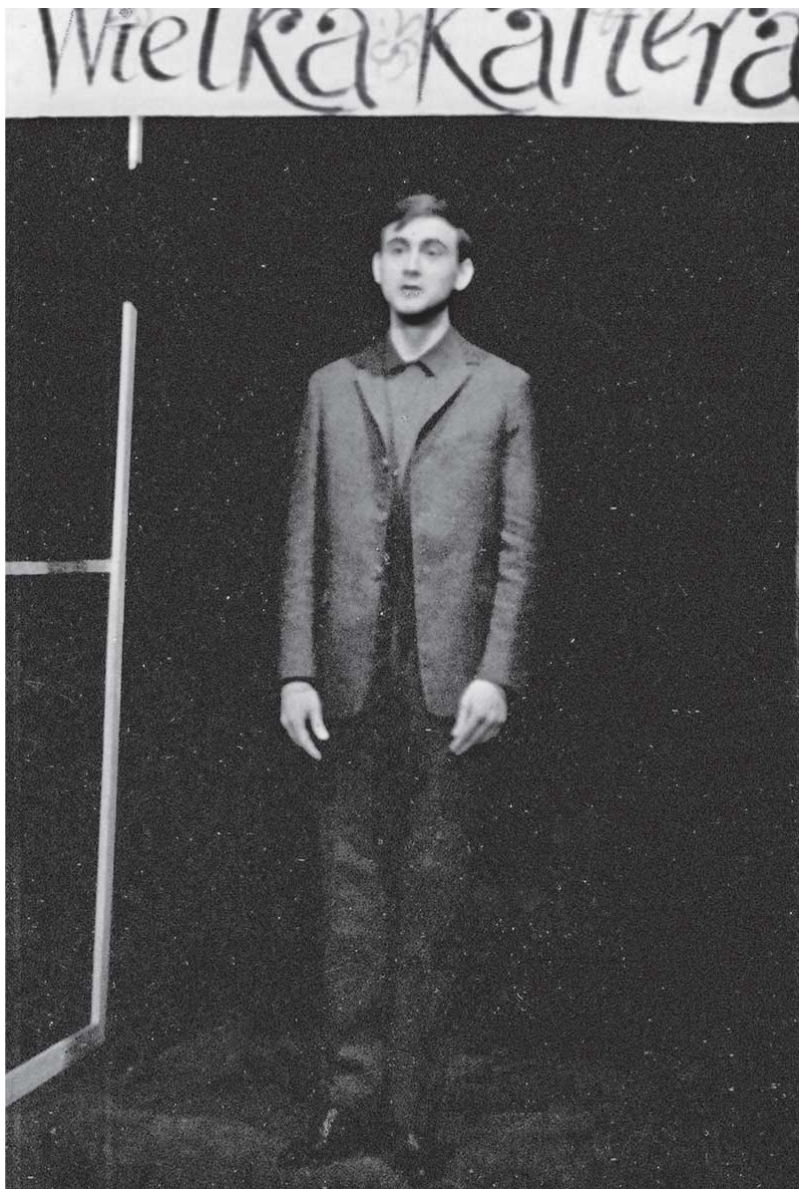
• Tak. I wtedy Dejmek mi powiedział: „Pan jest chuj”. Na co ja się odwróciłem i powiedziałem tym samym tonem: „To pan jest chuj”. I wyszedłem.

– I co to spowodowało, ulgę?

• Powiem ci, że nie pamiętam. To jest dziwne, Marysiu, ale jak wyście się urodzili, to też nie spowodowało to we mnie poczucia ojcostwa. Byłem waszym ojcem, ale jakby żadnej zmiany. Ja sobie często wtedy zadawałem pytanie, czy przy całej mojej emocjonalności, uwielbieniu ludzi – bo oni są potwierdzeniem tej krótkiej chwili... Bo jedno wiem na pewno, że jestem chwilę. To wyniosłem z domu, od dziadków. I to, że jestem na chwilę, zawsze mi przynosiło niezwykłą ulgę i usprawiedliwienie wszystkich niedomogów.

Więc jak on mi powiedział, że jestem chuj, ja się odwróciłem i powiedziałem, że on jest chuj, to nie wiem, czy poczułem ulgę. Ale też ta dygresja, że jestem tyl-

ko na chwilę, i to ojcostwo moje... Wiem, że was strasznie kocham, tak samo jak w bardzo szczególny sposób kocham, może podziwiam, nie wiem, no coraz inaczej oczywiście, Teresę. Ale jednocześnie często w życiu zadaję sobie pytanie: czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości?



– Zmęczyłeś się. Napij się wody i przerwa.

Wiesz, że już przy pierwszym pytaniu uzmysławiam sobie, że nie dostanę żadnych odpowiedzi? Chociaż to jest dla mnie teraz ważne. To znaczy nie dostanę wprost. Może przebieg tej naszej podróży, bo raczej tak widzę to, co nas czeka, uzmysłowi mi pewne rzeczy albo da wytchnienie, ale od ciebie ja go nie dostanę.

Często strasznie do ciebie tęsknię i chcę się spotkać. Przyjeżdżam po jakiś rodzaj schronienia, ulgi. Po wsparcie albo podpowiedź, po to, czego brakuje, kiedy się jest kimś, kto ciągle szuka i kto dodatkowo dokonał w życiu wyborów nieszczególnie bezpiecznych. To znaczy takich, które nie mają za bardzo wzorców i które są społecznie niezbyt akceptowane czy rozumiane. W związku z tym funkcjonuję poza, a w najlepszym przypadku obok tej wspólnoty, której zresztą nigdy nie chciałam być częścią. Ale to obok niekoniecznie jest przyjemne i czasem jest tam najnormalniej w świecie pusto.

I często cieszę się na to nasze spotkanie, tak na nie bardzo czekam, a potem ono boli. I to się tyle razy powtarza, że w sumie nie wiem, na co ja tak ciągle czekam. Przecież nigdy nie dostaję tego, po co przyjeżdżam. Najczęściej frustracja i to moje rozedrganie tylko się powiększają. Przyjeżdżam tutaj, żeby się poczuć bezpiecznie, bo po to się przyjeżdża do domu. A często to wy z mamą wierzgacie jak bachory rozbastwione, które mają swoje potrzeby i trzeba się nimi natychmiast zająć. Przyjeżdżam obolała i myślę, że się tu skryję. Teraz na przykład. I pierwsze pytanie, które zadaje, prowokuje szereg opowieści, które uzmysławiają mi, że moje wrażenie twojego szczęścia jest złudne albo że ono polega na czymś innym.

Każdy normalny człowiek przez chwilę by pomyślał o tym, że może tę ciemność przetrwał też dzięki rodzinie, dzieciom. Że to była naturalna kotwica, żeby się całkowicie nie zgubić. A to nie jest odpowiedź, która ci przychodzi pierwsza do głowy. Więc chyba ta rozmowa nie będzie taka znowu przyjemna.

- No właśnie. W pewnym sensie dajesz odpowiedź także mnie, krążąc wokół pytania, które często sam sobie zadaje: czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości? Czasami mi się wydaje, że nie.

– To jest kokieterijne pytanie?

- Nie. Jest jak najbardziej serio. Czasami się zachowuję tak egocentrycznie, że wtedy odpowiedź jest prosta: nie jesteś zdolny do miłości. Oczywiście zawsze ta odpowiedź jest post factum, kiedy się kogoś porani, kiedy się przekroczy granice. A ja naprawdę nie wiem, czy jestem zdolny do miłości. Na przykład przygoda

z mamą: na początku jakaś niesamowita namiętność, która potem się zmienia w coś zupełnie innego. Na ogół ludzie tego nie wytrzymują, frustrują się i rozchodzą. Myśmy przetrwali, znaleźliśmy inne wartości, nawet nie w dzieciach. W tym punkcie, wydaje mi się, obydwójce byliśmy szalenie odpowiedzialni. I wtedy w Łodzi nigdy nie padł ze strony mamy argument dzieci, rozwodu. Nigdy o tym nie mówiła, nie groziła. Nawet kiedy wracałem nad ranem.

– Nawet jak była w dziewiątym miesiącu ciąży, a ty ją ciągałeś po imprezach ze spuchniętymi nogami i mówiłeś: „Bądź Europejką”?

• Przecież my nie jesteśmy idealni, wręcz przeciwnie. Ale nie mówmy teraz o paradoksie małżeństwa. Próbując zreasumować okres łódzki, myślę, że gdyby nie „pan jest chuj”, tobym nie odszedł. No i gdyby nie Mikołaj Grabowski, który był niesamowicie wytrwały i nie przejmował się początkowo absolutnie przeciętnym rezultatem. Tylko wierzył we mnie.

A potem wydobyłem się. Trafiłem, właśnie za sprawą Mikołaja, na Gonzala, który wszystko uwolnił. Jakbym nagle wyskoczył z wrzątku na wolność i leciał. I naraz wszystko się stało na odwrót. W ciągu dosłownie miesiąca, paru chwil. I gdyby nie ten zwrot, to prawdopodobnie ja bym się pogrążył w ciemny świat totalnie przegranego człowieka.

Wiem, że za dużo mówię, ale mówiąc pewne rzeczy, sam próbuję teraz z perspektywy czasu to zrozumieć.

• • •

Z Mikołajem Grabowskim jest taka historia. Miałam pięć lat i była impreza u nas na Traktorowej. Siedział na kanapie, a ja wskoczyłam mu psitką na twarz i przykryłam głowę spódniczką. Majtek nie nosiłam już wtedy. Potem przeturlałam się na poduchy i z nogami opartymi o ścianę, ssąc dwa palce i gmerając pod spódniczką, śpiewałam, patrząc mu prosto w oczy: „Lubię swoją pracę”. Fajny był z Mikołaja wujek po prostu. Mam z nim jeszcze parę innych wspomnień, jak reżyserował mnie w teatrze, kiedy miałam jedenaście lat, albo jak miał romans z tatą, chociaż to nieprawda jest. Chyba.

• • •

– Pamiętasz, jak mnie zrobiłeś? Jeżeli możesz mi opowiedzieć trochę o okolicznościach, byłoby super.

• Przecież nie wie się kiedy. Że o! Planujemy teraz zrobić dziecko i najlepiej, żeby to była córka.

– [macając pod blatem stołu] Przepraszam, ale czy tu są baby jakieś? Znaczą gile z nosa, suche? Tu pod stołem?

• Nie. Moje na pewno nie.

– Jak nie? Przeczuwam, że to baby zasuszone.

• Nie, to nie są baby, Marysiu. To są drzazgi z drzewa.

– Dobra, przepraszam. Ale wiesz, wydawało mi się, że była jakaś mityczna opowieść o moim poczęciu.

• Nieee. Tak samo nie wiem, jak zrobiłem Błażeja. To znaczy nie powiem ci: to była ta noc. Mimo że mama podobno wiedziała, bo doradzała znajomym, jaki seks się stosuje, żeby mieć córkę, a jaki, żeby syna. To są bajki oczywiście, ale wtedy były inne technologie. W ogóle inny był świat. Ale na pewno był to okres bardzo, powiedziałbym, burzliwego seksu.

– Ale to była zima czy lato?

• Wydaje mi się... No, łatwo to obliczyć, Marysiu, ponieważ jeżeli urodziłaś się we wrześniu, no to dziewięć miesięcy do tyłu... To jest sierpień, lipiec...

– Styczeń. To była noc sylwestrowa i była skrzynka szampana.

• Mieszasz dwie opowieści. To znaczy była skrzynka szampana, a dokładnie pięć butelek szampana, które mama wypła w sylwestra. To był taki pijany sylwester, bardzo pijany. W Andrychowiu w szkole numer cztery. A po sylwestrze okazało się bardzo rychło, że mama jest w ciąży. No, troszkę się zdenerwowała, bo pięć butelek szampana, a z tobą w ciąży.

W tymże Andrychowiu moja siostra, a twoja ciotka, Marlena, była nauczycielką, i bardzo jej zależało na pani dyrektorze. I na tym sylwestrze były też dwie moje kuzynki. Nieżyjąca już Jadźka Bogaczowa i Marysia Zachara, świeżo upieczona wdowa, w której się podkochiwałem i która mnie zresztą jako mężczyznę odrzuciła. Pamiętam, jak ją całowałem w piwnicy, w bloku gdzieś. No ale nie traktowała mnie poważnie, bo była ode mnie starsza.

W każdym razie to był bardzo pijany sylwester i myśmy się szybko upili. Mama wypła pięć butelek szampana, bo piła tylko szampana, więc pamiętała. I moje kuzynki też się upiły. Była taka sąsiadka, Kiznerowa, straszna plotkara, która po prostu co chwila: „Panie Peszek, kuzynka rzyga”. No więc leciałem do damskiego sracza, gdzie Jadzia Bogaczowa, kapitanowa lotnictwa, rozumiesz, od ściany do ściany. Kobiety, wiesz, zarzygane przez nią. To była jakaś masakra.

Wróciłem. Napiłem się parę wódek i znowu: „Panie Peszek, kuzynka rzyga”, Kiznerowa mówi. No to lecę, ale już nie była to Jadźka, tylko Marysia, która się zaszyła w płaszczach, w takiej kupie płaszczy w garderobie, i tam rzygała. Po czym wróciłem, napiłem się, no to: „Siostra jest niedysponowana”. Marlenka gdzieś tam wymiotowała, ale postanowiliśmy ją przenieść do gabinetu pani dyrektor. No i ze szwagrem czy z bratem, nie wiem, ciągniemy ją do fikusa, bo czujemy, że ona będzie womitować. A tu wchodzi cała dyrekcja z panią dyrektor: „O! Jest Marlenka”, i rozumiesz, dramat, bo ona kompletnie nieprzytomna, ale na szczęście za fikusem. No więc przejęliśmy tam te toasty i tak dalej.

Więc nie pamiętam samej nocy, jak cię zrobiłem, natomiast na pewno uwielbialiśmy seks. Był super. Był czymś wspaniałym, bo mama była ciekawa wszystkiego nowego, co wnośliłem, wszystkich nowych propozycji.

– Czyli ty zdobywałeś te umiejętności i pokazywałeś mamie?

• No tak. W każdym razie chcę powiedzieć, że byliśmy, wydaje mi się, bardzo dobrą parą, jeśli idzie o seks. Na początku to w ogóle były jakieś szaleństwa bez opamiętania: dużo, interesująco i szalenie intensywnie. Na pewno więc zrobiliśmy cię w trakcie dynamicznego i fantastycznego, spełnionego seksu, co jest ważne, bo wtedy dzieci są silne i coś innego jakby ten...

– Myślisz, że jeżeli dzieci są płodzone w udanym seksie, to dla nich lepiej?

• Absolutnie w to wierzę, choć się na tym totalnie nie znam.

– Ciekawa hipoteza.

• Jestem przekonany, że wtedy się co innego przekazuje. To jest jakiś...

– Rodzaj euforii?

• Inne zestawienie energii, po prostu. I dla dzieci to ma znaczenie, czy się jest zrobionym w euforii czy z obowiązku. To się może oczywiście, jako amatorskie, laickie, wydać infantylne i nieuzasadnione naukowo, ale ja na to czniam, bo jak

się pewnie w naszej rozmowie nieraz okaże, znam cały szereg uzasadnionych naukowo teorii, które się w ogóle nie sprawdzają w życiu. Więc ja swoje kuję na gorąco. Po swoimemu.

Wracając jeszcze, bo ci nie odpowiedziałem. Znaczy nie skomentowałem tego, co powiedziałaś, że w gruncie rzeczy nie jestem w stanie ci odpowiedzieć. Przecież w jakimś sensie jednak wyjeżdżasz od nas wzmocniona, bo od kogoś, komu ufasz, uzyskujesz konkret. Na przykład: „pierdol to” albo „życie jest jedno”, albo „oliwa sprawiedliwa...”.

– Chyba musisz już odpocząć.

• Nie. Chcę powiedzieć tylko, że w ostatecznym rozrachunku zawsze ty musisz to rozegrać ze sobą. Nikt, nawet twój ukochany, nawet twoja najbardziej oddana przyjaciółka, nie potrafi...

– Przecież ja nie mam przyjaciółki.

• Wiem, że nie masz. Ja też nie mam. Nigdy nie miałem przyjaciół i w tej chwili już nawet nie tęsknię.

– Ej, ale za dużo już. Nie możesz się tak eksploatować.

• Nie potrafię inaczej. Ja ci powiem, Marysiu, jak się naprawdę źle poczuję.

– Odetchnij.

• Natomiast...

– Odetchnij. Wody się napij.

• Tylko to zdanie chcę skończyć: ostatecznie to ty sama ze sobą w swojej samotności musisz rozstrzygnąć, zdecydować i rozwiązać daną sytuację.

– Sama? Mam teraz poczucie, że sama to ja siebie w jakimś sensie w chuja zrobiłam. Wydawało mi się, że jakoś to jest rzecz święta. I lojalność. Powiedz mi, czy świat się zmienił?

• Nie, tak było zawsze. Zawsze jakoś przegrywała ze śmieciami, tylko że były inne proporcje. I inne priorytety, tak jak na przykład jeszcze do niedawna można było mówić o konkretnych ludziach jako autorytetach...

– Takich wektorach.

• Tak. Ludziach, którzy dają ci nadzieję, że świat nie zwariował. Teraz ich nie ma. Autorytety się pochowały przed barbarzyńcami. One oczywiście dalej istnieją, zmieniają się tylko skale tych autorytetów, ale autorytet zawsze przecież wiąże się z jakością, obojętnie, czy to są czyny czy tylko poglądy. Ja na przykład – to też jest moja cecha, której ty do końca nie ogarniasz w tej chwili, ugodzona w samo serce i zraniona brakiem lojalności właśnie – wierzę w człowieka, bo inaczej życie nie ma po prostu sensu. Rozumiem to jako wzajemne wyławianie się z masy, z tego stada ludzkiego, równie samotnych osobników, które sobie potwierdzają złożoność życia. I się wspierają.

– Albo sensu. Jakiegokolwiek.

• Albo sensu. W tej kałuży, która raz jest ciemniejsza, raz jaśniejsza, poruszamy się po omacku strasznie samotni w tym zagubieniu, w tej mierzwie ludzkiej i... Kurwa! Czekał, bo chciałem coś ważnego powiedzieć.

– Ale co?

• Mogę pierdnąć?

– Tak.

• [puszcza bąka] Że... yyy...

– Zanotowane.

• W tym sensie wiara w człowieka pozwala mi przetrwać. Mimo że absolutnie przewiduję charakter końca, to jest we mnie nieustanna chęć rozwiązania tej zagadki.

Ja wiem, że jestem wędrowcem, który błądzi, raz ma oczy szerzej otwarte, raz ma totalnie zawiązane, ale nie mogę ustać w tym poznawaniu. Dlatego ten „okres łódzki” i to niezrozumienie, dlaczego tak się stało, to jest trochę to, co ty masz teraz. Podobny ból. I jak mnie pytasz, co mnie wtedy uratowało, to na pewno nie przekonanie, że musi być jakieś rozwiązanie, bo ja wiedziałem, że go nie ma. Uratowała mnie potrzeba zrozumienia. Zagładnięcia za te kulisy, za którymi jest ciemność.

– Czyli aktywność. Bo najgorszą rzeczą, jaką można w takim momencie zrobić, to obrazić się na świat, wczołgać do nory ciemnej i tam kwilić?

- Absolutnie.

- Bo co komu z rozgoryczonego artysty, ze zranionej pieśniarki z dziurą po sercu.

- Nic. Należy trwać przy swoim, nawet mając przekonanie, że można ostatecznie...

- ...przegrać. Gorycz jest najgorsza. I żal.

- Żal niszczy cię totalnie.

- Dopóki nie weźmie się całkowitej odpowiedzialności za własne, kurwa, szczęście, to nie można być wolnym. Dlatego mój ateizm jest dla mnie tak ważny. Nie ma Boga, na którego można liczyć i czekać, że cię uratuje.

- Albo usprawiedliwi.

- My ciągle czekamy, że nam jakiś Jezus albo ksiądz, prezes czy rząd coś załatwi i ciągle mamy żal. I wszystko, co jest jeszcze piękne, te resztki piękna w Polsce, są tak chwastami żalu zarośnięte, że ledwo dyszą.

- Mam ten sam pogląd.

- Też cię wkurwiają ludzie, którzy z żalu robią sens życia? Bo u nas cierpienie, najlepiej zbiorowe, jest tożsamością narodową. Polska to wspólnota oparta na ranach, którym nie dajemy się zagoić. Ze strachu, że jak się zagoją, to stracimy siebie? Czym byśmy byli bez tego cierpienia, skoro tylko w nim się jednoczymy? I tylko w nim jesteśmy naprawdę dobrzy.

- Cierpienie tak naprawdę jest potwornie egoistyczne. Rozumiem cierpienie, które ma prawo się pojawić w życiu każdego człowieka, natomiast u nas ono jest przejawem skrajnego egoizmu. Ono zawsze, w sensie egzystencjalnym, jest przejawem egoizmu, ale w innych kulturach ludzie sobie z cierpieniem radzą jednak inaczej, a przynajmniej dają inne sygnały. Polak, cierpiąc, ma poczucie, że posiadał straszliwą władzę i ta władza go opanowuje. I niszczy wszystko. To się bierze oczywiście z naszej strasznej historii katolicyzmu, który jest najciemniejszą religią na świecie. A w polskim wydaniu to jest w ogóle piekło. I jeżeli szatan istnieje, to jest nim instytucja polskiego Kościoła.

• • •

Chodziłam się modlić do Bożego Ciała. Pachniało liliami i śmiercią. Czarny Jezus na krzyżu patrzył z góry, czy równo klęczę. Lubiałam ból kolan i litanię do Najświętszej Krwi. Naszą wspólną z Jezusem samotność. Coraz mocniejsze zaciskanie dłoni w „amen”, zaciskanie ud, sine usta i odlot. Nagle prąd, zdziwienie i słodko. Prawie zemdlałam. A to cud. Pierwszy orgazm. Z Jezusem.

• • •

– Wiesz, jakie jest moje pierwsze, absolutnie pierwsze wspomnienie z dzieciństwa? Że jesteśmy nad morzem, na plaży; piasek. Mam na sobie biały szlafrok frotowy z kapturem. Za duży, mieszczę się cała w kapturze. Jesteśmy z Błażejem sami zostawieni na tej plaży i wy idziecie z mamą pływać. Mama ma taki kostium w kolorowe romby. I odpływacie. I na początku jest super, bo was widzimy, ale później płyniecie dalej i ja mam jakiś totalny telep i się boję. Strasznie. I my z Błażejem z tego przerażenia, to znaczy ja przerażona jestem na pewno, jemy wafle, chyba malinowe. Czy coś takiego mogło się w ogóle wydarzyć?

• Tak, tak. To były Górkki Wschodnie i ty byłaś maleńka, miałaś dziewięć miesięcy. Lecieliśmy do Gdańska samolotem, a z lotniska taksówką, czarną wołgą, pamiętam, do tych Górek Wschodnich. Ja dopiero dziś, po tylu latach, łączę pewien fakt, którego ty nie możesz pamiętać, z tym właśnie. Byłaś ubrana na nagie ciało, żeby cię słońce nie paliło, w biały szlafroczek z amerykańskich zrzutów, po Błażaju zresztą, z kapturem. I były wafle, rzeczywiście, kupowane w geesie, obrzydliwe, z malinowym nadzieniem, różowym.

– Jesteś tego pewien?

• Absolutnie! Były też kawowe, bo ja nie cierpiałem malinowych. Zresztą czemu truskawkowego też nienawidzę. Były bladoróżowe i ciemne kakaowe. Masa-kra smakowa, ale uwielbialiśmy to wszyscy w czwórkę. Ty przez cały pobyt miałaś taki zwyczaj – bo Błażej dał się upilnować, uwielbiał skakać na falach ze mną albo z mamą – że z wydmy na czworakach, bo wtedy raczkowałaś, zawsze się kierowałaś w stronę morza i myśmy tego nie rozumieli i patrzyliśmy na ciebie, a ty po prostu szłaś do morza. Jak żółw. I oczywiście w odpowiedniej chwili szedłem, brałem cię na ręce i odnosiłem na wydmy. Posiedziałaś chwilę i znowu szłaś w stronę morza i to było dla nas totalnie niezrozumiałe, mama to potwierdzi.

Teraz rozumiem, że to musiało się brać ze strachu. Że pierwszy był lęk, że myśmy zniknęli. I te twoje pielgrzymki do morza były jakąś atawistyczną próbą ratowania rodziców.

– Myślisz?

• Tak to teraz rozumiem. Niesamowite w ogóle złożenie.

– Chcesz mi powiedzieć, że dobrze pamiętam? To jest bardzo silne wspomnienie, z detalami. Pewnie ten kostium z później mi się nałożył, bo przecież mama miała go paręnaście lat. Wiesz, taki w romby.

• Wiem, w zielono-amarantowo-brązowe romby.

– Z sukienki przerobiony.

• Tak, najpierw to była sukienka, amerykańska.

– Z paczki. Więc kostium chyba później mi się nałożył, ale strach był z wtedy. Bo ja przez całe dzieciństwo, przez bardzo długi czas, bałam się zostawać sama w domu.

• No wiem. Nie odstępowałaś mamy, bo głównie mama była. Ja jeździłem, pracowałem i tak dalej, więc pojawiałem się co jakiś czas w domu. Nawet siku mama musiała iść z tobą na rękę. To było dziwne. Miałaś dwa palce w buzi, które ssiałaś, i często zadawaliśmy sobie pytanie, czy my popełniliśmy jakiś błąd, że ty tak strasznie się boisz.

Mama nosiła cię. Rozumiała to, bo jak wiesz, została sierotą wcześniej. Jej mama umarła, jak ona miała dziewięć lat. I Teresa pamięta z tamtego czasu kota i nieustanne, samotne w wielkim domu w lesie czekania na ojca, do nocy. Siedziała po ciemku na szafie z kotem i czekała.

– Wszystko wiem.

• Jej ojciec był leśniczym i myśliwym. I być może, rozumiejąc tę traumę, choć mdały jej ręce, nosiła cię, jak robiła grysik czy tam coś, do sracza szła z tobą. Ja też, jak przychodziłem, stale cię nosiłem. Ale ty zawsze byłaś zanurzona w jakimś stanie niecałkowitej obecności. Zobacz swoje zdjęcia z dzieciństwa. Z rzadka jesteś uśmiechnięta, nawet kiedy z Błażem szalejecie, on uwielbiał cię rozśmieszać, ale w gruncie rzeczy byłaś dość... Nie chcę powiedzieć smutnym, tylko refleksyjnym i oddalonym dzieckiem. Byłaś w jakimś swoim świecie.





– Szczerze mówiąc, to z dzieciństwa pamiętam głównie strach. A przecież wydaje mi się, że teraz jestem jednak jasną osobą, a na pewno taką, która potrafi się cieszyć i wygłupiać. Ale gdy myślę o dzieciństwie, to... No, jest tam ciemno.

- Babcia Janeczka powiedziała kiedyś: „Panie, to dziecko jest mundrzyjsze od człowieka!”. Oczywiście każdy rodzic będzie mówił o wyjątkowości swojego dziecka, ale miałaś dziwne, abstrakcyjne złożenia, nieprawdopodobnie trafne. Błażej na przykład był długo bałaganem. Natomiast ty byłaś niezwykle konkretna. Dość szybko zaczęłaś mówić i charakter twoich reakcji był dorosły, w gruncie rzeczy dojrzały. Stąd chyba ta opinia twojej niani.

• • •

- Miałem teraz taką chwilę kryzysu i przypomniałem sobie, że kiedyś nosiłem holtera. Czyli serce, lata temu, już coś zgłaszało. I z całego zapisu, a wydarzyło się w tej dobie, w której był monitoring, bardzo dużo rzeczy, które powinny znaleźć odzwierciedlenie... Grałem tego dnia, z tym holterem, Fiora w *Operetce*, bardzo eksploatująca rola – nic. Najsilniejszym zapisem była nocna rozmowa z Błażem, która wykazywała przekroczenie normy. Lekarz mnie pytał: „Co się o tej godzinie stało?”. Ja powiedziałem: „Rozmowa z synem”. Ona oczywiście była ekstremalna, trudna. Już nie pamiętam, czego dotyczyła.

I przez moment teraz moja myśl odleciała, kiedy ciągle pytasz: „Dobrze się czujesz?”. W jakimś stopniu mnie to teraz po prostu angażuje, a jestem w sytuacji, w której nie powinienem się tak eksploatować emocjonalnie, ale nie ma przecież nieemocjonalnych sytuacji. I teraz pomyślałem sobie, że może rzeczywiście masz rację, że trzeba skończyć. Chociaż czuję, że właśnie wpłynąłem na właściwe tory.

– Tylko te ciągle dygresje. Lubię formy skupione, nie przepadam za rozwlekłymi. Ale to jest bardzo charakterystyczna twoja cecha. Jesteś gadułą.

- Ja myślę o tym trochę inaczej. Wydaje mi się, że konkretne odpowiedzi są ograniczone. My jesteśmy przecież w nieustannym ruchu.

– My, ludzie?

- My, ludzie, nasze umysły. Szamoczemy się i ciągle czegoś szukamy. Na przykład ja trwam w optymizmie, choć jak wiesz, potrafię być skrajnie cyniczny, bezwzględny i okrutny.

– Nie! To jest już wnerwiające. To twoje przeświadczenie...

- Że co?

– Że „potrafisz być skrajnie cyniczny”. Nie potrafisz. Albo że jesteś „rekinem”. Musisz sobie uzmysławić, że to nieprawda. Ty nie masz w sobie grama cynizmu.

• No, może cynizm nie, ale rekin tak. Wiesz, że w sytuacji, w której cokolwiek by wam się stało...

– To jest wilczyca, która broni stada. Rekin to jest ktoś, kto morduje dla smaku krwi.

• Ktoś mi kiedyś powiedział, że dam sobie w życiu radę, bo jestem rekinem.

– A ty się tego uczepliłeś, bo to jest atrakcyjne.

• Tak. Fúj...

– Co jest?

• Puściłem bąka.

– Znowu?

• Bardzo przykrego. Przepraszam. Nie chciałem głośno tego robić i to jest okropne. Fúj!

• • •

• To moje pytanie: czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości...?

– Trudno mi to zrozumieć, ale...

• Czasami mam wrażenie, zwłaszcza w relacjach z wami... Znaczący na pewno u podstaw tego pytania leży tak naprawdę nierozwiązywalność zagadnienia jako takiego. Nie ma w życiu zjawisk, problemów, które można jednoznacznie, definitywnie i ostatecznie rozwiązać.

– Ja nie wiem, czy to się uda. Ta książka.

• To będzie trudne. Dla ciebie. Musisz wykazać pewnie cierpliwość...

– Wykazuję.

• Bo ja jestem dość nieuchwytny w tym względzie.

– No raczej.

• Bo sam nie mam, że tak powiem, wyrazistych odpowiedzi. Ale też może dlatego trwam w ciągłej aktywności i jest we mnie ciekawość. Tak jak ze *Scenariuszem...*^[1] Pytają mnie, czy mi się nie nudzi, jak to gram czterdzieści lat. Ja zawsze odpowiadam, że mi się totalnie nie nudzi, bo ciągle wierzę w to, co mówię. I przed wejściem na scenę robię jedną jedyną rzecz – zadaję sobie pytanie: czy jeszcze raz chcę to głośno powiedzieć? To, w co wierzę. Ale czy ja sam siebie nie kokietuję? Czy rzeczywiście tak jest?

– Ja proponuję skończyć już dzisiaj.

• Mam wrażenie, że ci nic nie powiedziałem.

– Bardzo możliwe.

• Próbuję zrozumieć, co mówię. Czym to naprawdę jest. I stąd te ciągłe dygresje. To po prostu takie lustra, w których się coś odbija. A może to tylko złudzenie? Dla mnie jakimś najważniejszym obrazem, który się z dzisiaj wyłania, jest plaża.

– Może to właśnie tak trzeba robić?

• Ja jestem wyuczony na partyturach Schaeffera, w których są elementy totalnie nieprzystające. Co będę gadał, pokażę ci. Mam tu akurat tę partyturę, którą pewnie znasz, dziesiątki razy to ćwiczyłem. Nie pamiętam, czy z wami też?

– Z nami też.

• Po prostu jest kilkanaście elementów i każdy z nich zawiera inne akcje, zupełnie inny świat. I konstruowanie całości polega nie na tym, że ja wiem, co będzie, że jeden element wynika z drugiego. Chuja tam! One są niezależne. Żadnych logicznych powiązań! Emocjonalny przepływ asocjacji, po prostu. Dopiero fakt zestawienia poszczególnych elementów składa się widzowi w całość.

– Wszystko to wiem.

• I być może jakaś dziwna opowieść, dygresja, dużo drobnych tutaj wokół jest po to, żeby nagle wyskoczyło w innym miejscu coś.

– Masz rację. W muzyce też najlepsze rzeczy powstają, kiedy składasz przypadkowe części.

• No właśnie!

– Ale jestem niecierpliwa i podejrzewam, że pojawią się momenty przeciążeń, znużenia.

• Przede wszystkim ja tak dużo gadam. To będzie dla ciebie potworna praca.

– Chyba mi znowu Edek będzie musiał pomóc. Jak zwykle.

• • •

• Jak mówiłaś o tej plaży, to ona mi stanęła przed oczami. Pamiętam Teresę, jej ciało, zapach przede wszystkim. Ona zawsze pachniała mlekiem, jej skóra, usta. No nie ona jedna, bo...

– Ale ludzkim?

• Tak, takim mlekiem.

– Ludzkim? Czy w ogóle mlekiem? W sensie od krowy?

• Tak, tak. Ale też od razu, wiesz, przypomniał mi się lot tym samolotem, jak Błazej krzyczał: „O! Lodziki, lodziki!”, jak chmury były. Bo on już wtedy dużo gadał, po czym natychmiast rzygał do torby. A ja z tobą chodziłem i potem stewardesa wzięła cię do kokpitu, jak Błazej rzygał. To był mały samolocik i pamiętam, szczęśliwa była ta stewardesa. I ty taka nieobecna w tym samolocie. To pozornie nie ma żadnego związku, a jednak ta twoja samotność, ten smutek, nieobecność, to się teraz wyjaśnia. Ty nie płakałaś, nie śmiałaś się, byłaś po prostu w swoim świecie, strasznie silnie zatrzęsnięta. W przeciwieństwie do Błazeja, który był zawsze na zewnątrz. A teraz wydaje się, że jest dokładnie...

– ...odwrotnie.

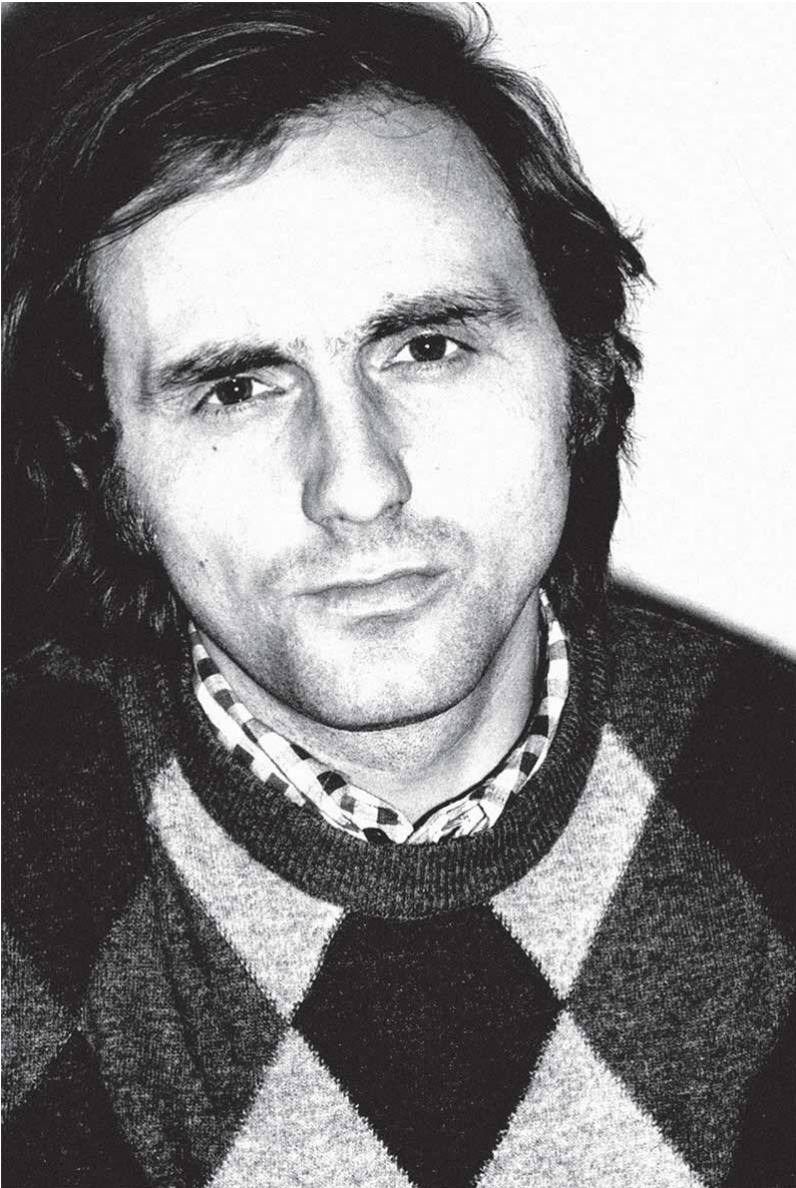
• Odwrotnie się ułożyło w życiu, więc jakby nie ma recepty. Jak mnie student pyta: „Jak żyć, panie profesorze?”, to ja z całą świadomością głupoty tego pytania mówię: „Fajnie”. No bo co można powiedzieć na coś takiego? I on to kupuje. To na marginesie ograniczoności. Po prostu życie jest nierozwiązywalne.

• • •

„Jestem robakiem. Robakiem w jabłku. I nie wyjdę stąd” – odpowiadam mamie, która mówi, że kolacja i że mam już wyjść z tego swetra taty i coś zjeść. Jesteśmy na feriach zimowych w górach, sami z mamą. Tata w teatrze. Pracuje i dojeżdża do nas, kiedy może. Czyli nieczęsto. Sweter jest szorstki, bordowy w zielone mazy. Z golfem. Mieszczę się w nim cała. I jest mi fajnie. Siedzę w nim godzinami i podglądam przez włóczkowe prześwity. Sweter pachnie jabłkami i wodą po goleniu taty. I jeszcze tęsknotą. Tęsknię na wciąż.

• • •





– Wynika z tej pierwszej rozmowy, że nie będzie to wcale przyjemne. Chociaż dla ciebie na pewno bardziej.

- Ale patrz, jak wspaniale spędzamy czas.

– Pomyśl też o rzeczach, o które ty chciałbyś mnie zapytać. Na pewno takie są. Zapisuj.

- Ja mam dobrą pamięć. I mnie bardziej ciekawi, jak odpowiadam.

– Aha.

- Myślę, że za wcześnie jest mówić o tym, o czym chciałbym mówić. Wiesz?

– Dobrze, ale ustalmy, proszę, jedno na sztywno: jak puszczasz bąka, to idziesz w kąt, do geranium, dobra?

- [puszczając bąka] Ale ono usycha...

– Ciekawe, jak nieobliczalne to może być, żeby ktoś chciał to czytać.

- To musi być nasze, twoje, moje, jakby omijając rafy tego całego, przepraszam cię, gówna wokoło. Bo to jest gówno. Tak naprawdę wydaje mi się, że... Kiedy mówisz, że przyjeżdżasz tu po jakieś schronienie, tak teraz wspólnie próbujemy odpowiedzieć na pewne rzeczy, a raczej zbliżyć się do zrozumienia pewnych rzeczy, które się w naszym życiu wydarzyły, które nas, jako artystów, dotyczą. I raczej chodzi o próbę zrozumienia, czym to wszystko jest, a nie o odpowiedź.

– Ale też jak śpiewa Peszek: „Czasy takie niespokojne”. Ta nasza podróż może być rodzajem schronu, tunelu równoległego wobec nieciekawej rzeczywistości, w jakiej się znaleźliśmy.

- Może też być tarczą, która odbija gówna, którymi do nas strzelają.

– To mam na myśli! A jak mnie pytają „Jak żyć?”, to wiesz, co mówię? Że tata mnie uczył, że remedium na demony jest praca. I totalnie w to wierzę. A teraz wyruszamy w podróż. Lubię to określenie, jest otwarte. Podróż też może być remedium na demony, rozczarowania, zakręty. I na gówna, którymi do nas strzelają.

- Nie stawać, bo jak staniesz, to właśnie cię opanują demony. A jak idziesz, to je z siebie strącasz.

– I nie mogą się uchwycić.

- Ani utrzymać.

– I gównem, którym strzelają, też się nie przylepi.

- Prędej cię trafią, jak stoisz.

– I tym optymistycznym akcentem kończymy.

- A ty to nagrywałaś teraz?

(Cieszę się, że nie umarłeś, tato!)

GRZYBY

– Pamiętasz dziadka Szprucha? Jak byliśmy mali i jeździliśmy na wieś do babci Janeczki, to tam był dziadek Szpruch. Chodził po lesie i niszczył muchomory badylem. Pamiętasz go? Takiego starego dziada?

- Pamiętam doskonale.

– Kijem walił w grzyby, które się nie nadawały do jedzenia.

- Tak.

– I my z Błażem to podchwyciliśmy i też waliliśmy. Ale kiedyś byliśmy z tobą w lesie i ty nas okropnie nastraszyłeś. „Absolutnie nie wolno wam tego robić!”, powiedziałaś. „Grzyby od spodu trzymają kulę ziemską. Są połączone specjalnymi nitkami i w ten sposób korzeniami trzymają Ziemię w kosmosie. Jeżeli będziecie je niszczyć, to ona się zerwie i spadnie”.

Wierzyliśmy w to przez kilkadziesiąt lat. To było tak mocne i definitywne. Dopiero całkiem niedawno dotarło do nas, że to jest wymysł. A przez te wszystkie lata opowiadaliśmy o tym kolegom w szkole. Nawet jeszcze Edkowi mojemu mówiłam: „Nie niszczy tych grzybów, one trzymają kulę ziemską! Chyba, kurwa, nie chcesz, żeby spadła?”.

- Konfabulacja jest podstawową cechą naszej rodziny. Uwielbiamy wymyślać. Grzyby, które opasują grzybnią kulę ziemską...

– I trzymają ją, to bardzo ważne, bo dzięki temu się nie urwie.

- A jeżeli się przerwie ten system, to ona polecą w jakąś czeluść, gdzieś. No tak. Całkowicie się to zgadza.

– Ostatnio z Błażem rozmawialiśmy o tym i że ludzie na nas patrzyli jak na kretynów.

- Odklejonych. A powiedz mi, Błażej to samo pamiętał?

– Tak!

- Więc musiałem to powiedzieć. Ale nie mogłem przewidzieć, że się będą z was śmiać.

– Błazej mówił, że dopiero się zorientował, ucząc tego samego Zośkę, czyli całkiem niedawno.

- Niesamowite!

– A mi chyba Edek zwrócił uwagę na tę grzyboprawdę, którą głoszę. W każdym razie chciałam to wyjaśnić. Rozumiem, że podtrzymujesz?

- Oczywiście. Grzyby są nieobliczalne.

– Ale okazuje się, że są rzeczy, które identycznie pamiętamy z Błazejem, i takie, które zupełnie inaczej. Na przykład różnie pamiętamy dzieciństwo. A czy w twoim dzieciństwie było coś, o czym wiedziałeś, że na pewno nie chcesz tego powtórzyć z nami?

- Tak. To jest bardzo proste skojarzenie. Jeżeli miałbym w jakimś duchu was wychowywać, nie precyzując konkretów w tej chwili, to w duchu Karoliny, mojej matki, która była osobą szaloną, otwartą, o wiele bardziej tolerancyjną. Natomiast ojciec był przede wszystkim ortodoksyjnym katolikiem. I pomiędzy mną a matką była jakaś więź. Ja się uczebiałem jej, będąc zresztą przekonany, że jest krzywdzona przez ojca. A ojciec nakładał mi pęta, jako katolik. Sam do końca nie wiem, czy naprawdę wierzył. Myślę, że sobie z tego nie zdawał sprawy, że nie wierzył tak naprawdę.

– Te pęta to były kary, wymagania, poczucie winy?

- Wszystko to i dużo więcej. Dam ci przykład. Był taki folksdojcz w Andrychowie, Pszczelarski, który wpuszczał do kina Beskid. I ja kiedyś, namówiony przez starszego kolegę Marka Młyńca, który powiedział, że idzie do kina, bo fajny film leci, *Miłość po południu*, od osiemnastu lat, też poszedłem. Miałem wtedy siedemnaście lat. Film absolutnie niewinny z Gregorym Peckiem i Audrey Hepburn. No po prostu sentymentalny romans. Wpuścił mnie ten Pszczelarski. I ja szczęśliwy po kronice już, bo najpierw była kronika, siedzę. Już zgasło światło, myślę: Boże, wspaniale. Pamiętam to przeżycie, serce mi waliło strasznie. To było irracjonalne, ale bałem się nie wiadomo dlaczego, że ojciec może mnie nakryć. I siedziałem za Markiem, a tu nagle zapala się światło na dole, wchodzi Pszczelarski,

za nim ojciec w kołnierzu z kota, w kurtce, bo jesień była, i Pszczelarski palcem pokazuje do góry. No i cała sala się odwraca...

– Folksdojcz donosiciel.

• Ojciec wyciągnął rękę, pokiwał palcem i ja ze spuszczoną głową, z bijącym sercem, wyszedłem z tego kina za nim. Ojciec po prostu przechodził obok kina, a folksdojcz powiedział mu, że syn wszedł na film od osiemnastu lat. Idziemy z ojcem, on co chwilę przystaje, łapie się za serce i dokądś idzie. No to ja za nim, stoję, milczę, ani słowa. Idzie na plebanię ze mną do księdza Sanaka, naszego ka-techety.

– Odkupić winy.

• I kazał mi czekać za drzwiami. I ksiądz Sanak, którego zresztą rondo imienia jest w Andrychowie, wybitny człowiek, słyszę, jak mówi: „Niech wejdzie Januszek”, bo ja Januszek byłem wtedy. „Nie. Ma tam stać”. „A czy pan, panie Janie, w tej sprawie?” Ojciec pyta: „W jakiej sprawie?”. „No w sprawie tego zeszytu”. A pech chciał, że tego samego dnia zarekwirowali mi zeszyt z powodu rysunku. Kochaliśmy się wszyscy w takiej geografce, nazywaliśmy ją Cizia. Była superpiękną, młodziutką, po studiach. I ja ją narysowałem. Ale była też koleżanka bardzo gruba, Maryśka Ściga, i ją też narysowałem. Obydwie. Na karuzeli. Nagie oczywiście, rozdziawione cipy. Maryśka potwornie gruba na dole i oczywiście Cizia, też z rozdziawioną cipulą, na górze, rozumiesz, z podpisami, ze wszystkim. I geografka zwinęła mi ten zeszyt i dała księdzu. No wiesz, mała miejscowość i tak dalej. Ojciec pyta: „Jakiego zeszytu?”. „Nie, nie, panie Janie, w ogóle nie ma o czym mówić”, ale ojciec: „Nie wyjdę stąd, póki nie zobaczę”. Sanak dał mu ten zeszyt. Ojciec to obejrzał, znowu się złapał za serce, a ksiądz pyta: „Ale w jakiej sprawie pan przyszedł do mnie?”. „Wobec tego, co mi ksiądz pokazał, to już nie ma o czym mówić”. Dobra. Wracamy w milczeniu oczywiście. Było tego milczenia potem dwa tygodnie, tej obrazy. Karą był zakaz jakichkolwiek spotkań z koleżankami, kolegami. Ja myślałem, że dostanę lanie. Bo to był czas, kiedy byłem przez ojca bity. Bardzo bity.

– To bicie też wiążesz z katolicyzmem? Że kara musi być dotkliwa?

• Wiesz co, niekatolicy też biją dzieci. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że nie próbowałem ojca zrozumieć. W gruncie rzeczy bardzo mało go znałem. Nic nie wiedziałem, na przykład, o tej traumie wołyńskiej, kiedy jego matka spłonęła w domu. Babcia Weronika się zaparła i nie chciała uciekać, a oni byli powiado-

mieni przez Polaka, że mają piętnaście minut, bo za chwilę będzie rzeź. I oni wszyscy uciekli, ale matka spłonęła. To jedna wersja. Nie wiedziałem też, co przeżywał w niemieckim stalagu, do którego trafił.

– A wiesz coś o jego ojcu?

• Nic nie wiem. Nie mam zdjęcia, nic.

– Nie dziwi cię to, że nic nie wiesz o ojcu własnego ojca?

• Nawet nie wiem, jak miał na imię, chyba Franciszek, babcia była Weronika. Jest jej jedno jedyne zdjęcie.

– Straszliwe.

• Podobno była surowa i oni mieli z nią trudne dzieciństwo w jakiejś okropnej biedzie na wsi. Po prostu strasznie ich biła. No i druga wersja tej historii wołyńskiej jest taka, że oni celowo zostawili Weronikę w płonącym domu, uciekając. W obydwu wersjach spłonęła.

– Ta wieś się nazywała Łany?

• Nie. Bóbrka obok Łanów, większej wsi pod Stryjem.

– Ale dlaczego bicie kojarzy ci się z katolicyzmem?

• Dam ci inny przykład. Przybiegła któregoś dnia, miałem sześć, siedem lat, sąsiadka Kiznerowa z krzykiem, że ukradłem Basi, jej córce, gliniany...

– Co za miasteczko! Najpierw folksdojcz donosiciel, teraz oskarżenie o kradzież.

• No wiesz, małe miasteczko to piekło. Ale patrz, jaki ja jestem pogodny w gruncie rzeczy człowiek.

– Ukradłeś jej gliniane co?

• Garnuszczyk jakiś dla lalek, taki, który dziś by kosztował sześćdziesiąt groszy. I ojciec mnie, przy krzykach matki, pamiętam: „Zabijesz go!”, po prostu prawie zlinczował. Nawet nie zadał pytania: „Czy ukradłeś?”, rozumiesz? Tylko zdjął pas... A ja się zamknąłem w ubikacji; taka była wspólna, na końcu balkonu, zawsze nam tam dupy marzły, bo była na zewnątrz...

– Pamiętam. Nad Cyganami.

- Jak ty to możesz pamiętać?

– Bo mi pokazywałaś. Babcia Karola też mi pokazywała.

- No i długi taki balkon... Tam rodzice wynajmowali piętro.

– I się zamknąłeś w kiblu.

- W kiblu. Ojciec wyrwał drzwi z zawiasami, bo podejrzewam, że tym podniosłem jego agresję, no i bardzo grubym pasem na gołą dupę zlał mnie do krwi. I jakby tego było mało, wziął mnie i sprowadził na dół do piwnicy, która była tak niska, że miała może osiemdziesiąt centymetrów, metr, gdzie lażyły szczury. Rzucił mnie tam na węgiel i zamknął. I siedziałem tam w całkowitej ciemności. Pamiętam, że nie mogłem oddychać.

– Ze strachu?

- Ze strachu. Bo było pełno szczurów. I z klaustrofobii, bo ciasno i absolutnie ciemno.

– I długo tam byłeś?

- Nie wiem. Długo. Na pewno całą noc.

– Dowiedział się kiedykolwiek, że nie ukradłeś?

- Nie badał tego. To była oczywiście nieprawda, ale nigdy tego nie sprawdził.

– I nigdy się to nie rozwiązało?

- Nigdy. Nie mówię oczywiście o śmiesznych rzeczach, jak ta, że kiedyś w Boże Narodzenie, jak śpiewało się kolędy, no to wszyscy przeinaczają, nawet dorośli i po prostu w kolędzie: „a Józef stary, a Józef stary”, ja śpiewałem: „a Józef Stalin, a Józef Stalin, on je pielęgnuje”, i dostałem w łeb od ojca. Nikt nie wiedział, o co chodzi, on jeden to usłyszał, wiesz. I też mi tego nie wytłumaczył.

– Ale tylko ty jako najstarszy syn byłeś bity, czy twój brat Bartek też? Albo siostry?

- Bartek też; wyczekiwany, ale lany.

– I tobie się to bicie jednoznacznie kojarzy z katolicyzmem dziadka?

• Bo te moje przewiny zawsze się wiązały z takimi wzorcowymi grzechami, których się nie wyjaśnia, a źródeł się nie bada. I z moralnością.

– Rozumiem, że dziadek Jan nie czuł się sam ze sobą dobrze? Nie można go nazwać wolnym człowiekiem?

• Absolutnie nie.

– Pamiętam dzień, w którym umarł, superwyraziście. Miałam pięć lat. Mieszkaliśmy w Łodzi. Było bardzo zimno i przyszedł telegram. I ty od razu wybiegłeś, ale wróciłeś po czapkę. Została w przedpokoju na regale.

• Tak. Była zima stulecia.

– To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Że wróciłeś po czapkę.

• Ja się z ojcem nie pogodziłem. Nie zaakceptowałem i nie potrafiłem zrozumieć jego alkoholizmu. Bo ojciec był alkoholikiem. I moje siostry tam przeżywały gehennę. Ja się od tego uwolniłem, po prostu wyjechałem. W związku z moim zawodem byłem we Wrocławiu, w Łodzi, a w Andrychowie bywałem. Pamiętam, że tamtej zimy spędziliśmy tam niezwykle rodzinne święta, było bardzo dużo osób. Ojciec nawet nie pił dużo, tylko pamiętam koniaczek i taki był szalenie ciepły, ujmujący. On uwielbiał Teresę. Zawsze ją wyróżniał i był szczęśliwy, że jest moją żoną. I te święta okazały się uroczne, bez napięć, jakiś był taki pogodny.

– I zaraz po świętach umarł.

• Dwudziestego ósmego grudnia. Rozległy wylew.

– Wybaczylesz mu?

• Nie daruję sobie, że nie wykonałem ruchu, nie chciałem go zrozumieć. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale wiesz, pamiętam wiele scen, no okropnych. Że matka stała pod oknem domu, już mieszkaliśmy na Traugutta, tam na piętrze był gabinet ojca, i czekała, aż on jej łaskawie zrzuci jakieś grosze, żeby poszła do piekarni kupić bułki i po dżem. Bo to było w okresie, kiedy został usunięty przez komunię z funkcji kierowniczej przychodni przyzakładowej i po prostu żeśmy klepali biedę. Było naprawdę trudno i tylko dzięki pacjentom ojca, którzy nas ratowali jajami i chlebem, jakoś żyliśmy. Pamiętam, że ojciec rzucił jej pięćdziesiąt zło-

tych. Wtedy to było jak dzisiaj pięć złotych. I mama się schyliła po to i tak strasznie płakała.

Jest jeszcze jedna historia, która jest bardzo dla mnie zagadkowa. Próbuję zrozumieć i nie znajduję odpowiedzi, czym to było podyktowane, poza tym, że musiało to być jakieś poczucie winy.

– Mówisz o tej żałobie babci?

• Tak. Że piętnaście lat, najpiękniejszych lat życia matki, ona w imię miłości, tak to rozumiem, zgodziła się nosić żałobę po matce ojca.

– Czyli po Weronice?

• Po Weronice, której w ogóle nie znała. I jest takie zdjęcie: Karolina w tych pięknych włosach, a miała zawsze wspaniałe włosy, i ojciec, obydwoje ubrani na czarno. To ich zdjęcie ślubne. Matka w czarnej eleganckiej sukience, ojciec w czarnym garniturze.

– Ale dlaczego piętnaście lat?

• Nie wiem. Ale tyle to trwało. I matka znosiła to, zawsze w czerni. Pamiętam taki obraz: mama podkładała do pieca i strasznie płakała, po prostu wyła. Potem się uciszała, szła do drugiego pieca, podkładała... Miała na sobie czarną wieczorową suknię z takimi wyszywanymi... Ona szyła u pani Pinecowej, to były czasy, kiedy się szyło na miarę. Mama była zawsze zgrabną piękną kobietą. I ta suknia była niezwykła: czarna, bardzo prosta, z naszytymi magentowymi cienkimi zawijasami, jakiś labirynt z siutażu. Coś pięknego. I w tej sukni płakała i podkładała do pieca. Jak się potem okazało, co mi wytłumaczyła chyba kuzynka, wtedy czas żałoby już prawie minął i ojciec postanowił, że pójdą na Redutę. Reduta to były coroczne tańce. Wielkie bale karnawałowe. Matka uwielbiała tańczyć, śpiewać i w ogóle była osobą niesamowicie witalną, ku życiu. I w ostatniej chwili, kiedy już wszystko było załatwione, bilety i loteria wykupiona, a mama się cieszyła i włożyła tę sukienkę, ojciec powiedział, że nie pójdą. Strasznie płakała.

– A te rzeczy, których byłeś pewien, że ich nie chcesz w wychowywaniu własnych dzieci?

• One dotyczą przemocy.

• • •

*Mieszkanie na Traktorowej było maleńkie. Miało 44 metry, ale trzy pokoje, przedpokój, kuchnię i łazienkę. Wydawało nam się z Błażem ogromne. Mieszka-
liśmy na parterze. Niskim bardzo i często żule łódzkie, sikając, zaglądały nam
przez okna. Więc tata wymyślił, że pomalujemy szyby. I pomalowaliśmy je plaka-
tówkami w superobrazy. I mieszkaliśmy z zamalowanymi do połowy oknami.*

*Ludzie gadali, że cygany albo wariaty tam mieszkają. I mieli rację. Byliśmy
szczęśliwi, że rodzice pozwalają nam malować po szybach. Zresztą po ścianach
też. Bo było też tak, że jak zostawałam sama w domu, to zdarzało mi się wygryzać
dziury w ścianach. Ze strachu. Ale pani doktor pediatra Sobień-Kopczyńska mó-
wiła, że w gipsie są zbawienne minerały i że dziecko wie lepiej, co dla niego do-
bre. Więc żeby nie trzeba było ciągle na nowo gipsować, tata wymyślił, że to or-
namenty. I pozwolił nam też rysować po ścianach.*

• • •

• Myśmy wobec Błażeja byli szczególnie przewrażliwieni. Karola, gdy przyje-
żdżała do nas, uciekała. Mówiła, że zwariuje w tym domu. Na przykład wstawali-
śmy w nocy z Teresą sprawdzać, czy on oddycha. No ale był wcześniakiem, cu-
downie urodzonym. Jechaliśmy w pociągu, kiedy zaczął się rodzić. Dwa miesiące
za wcześniej. W tamtych czasach to był praktycznie wyrok. Mama była w białym
futerku z królika, pamiętam. Pociąg ruszył i patrzę, a to futerko się robi czerwone.
Krwotok. W szpitalu długo nie było wiadomo, czy przeżyją. Jakiś doktor kazał mi
wybierać, kogo ratować: Teresę czy Błażeja.

Pamiętam, był listopad i chodziłem oszalały nad Odrę we Wrocławiu, rósł tam
duży dąb. I powiedziałem sobie, że jeśli wszystkie liście spadną, to oni nie prze-
żyją, a jeśli chociaż jeden zostanie, to może tak. I stałem przy tym dębem całymi
dniami, patrząc, jak te liście spadają, bo strasznie wiało. Ale przeżyli. Patrzyliśmy
na to w kategorii cudu. A potem ta sytuacja ze śmiercią niani na pasach. On tam
długo leżał pokrwawiony...

– Sam?

• Tak, na jezdni. Zanim przyjechało pogotowie i zanim go zabrali. Potem też
był sam. W szpitalu i na pogotowiu ratunkowym, paręnaście godzin. Myśmy
wszędzie go szukali, ale nie było telefonów. Z perspektywy czasu, jestem o tym
przekonany, dziecko to wszystko odbiera. Rejestruje niewiadomymi kanałami. No
i potem wcześniej trafił do żłobka. Może za wcześniej? Ale przecież wtedy się nie
wiedziało tylu rzeczy.

Żłobek przeżywał traumatycznie. On po prostu, wiesz, jak Fryga, która się trzęsła na dwa kilometry przed gabinetem weterynarza, to on, jak jechał... Jechał, fajnie, fajnie, ale już widziałem w tych ślepiach: „Gdzie mnie wieziesz?”. I już, kiedy mijaliśmy określone skrzyżowanie, bośmy z wózkiem szli pieszo, to nie było daleko we Wrocławiu, od razu mu się w podkówkę usta układały, oczy napełniały łzami i płakał. Serce się kroilo, a nie było wyjścia. Teresa o szóstej rano w pracy, ja na próbę albo gdzieś jechałem za chlebem. Bardzo wtedy chorował.

– No i husiał się.

• Husiał się.

– Przeszło mu, dopiero jak zaczął się spotykać z dziewczynami. Tak naprawdę dopiero wtedy mu przeszło.

• Tak. Sieroca choroba.

– A ja z kolei bałam się strasznie zostawać sama w domu, długo. Tyle lat.

• Musiałaś być bez przerwy przy kimś, noszona. Mama do sracza z tobą musiała chodzić. Zwłaszcza że mnie nie było. Ja byłem taki do zabawy, jak przyjeżdżałem.

– I z tego strachu czasem te dziury w ścianach.

• Ty się z kolei strasznie długo rodziłaś. Poród trwał pięćdziesiąt sześć godzin. Dziś pewnie by to było nie do pomyślenia. I ja dzwoniłem do szpitala co chwilę i w końcu portier mi powiedział: „Tak, tak. Teresa Peszek urodziła”. Więc ja buch, lecę z kwiatami. A lekarka mnie zatrzymuje i mówi: „Gdzie pan? Jeszcze nic nie ma”. To Teresa Ptaszek urodziła. No i jeszcze było dwa dni czekania na ciebie.

– Dużo ta mamy psitka przeszła.

• Bardzo dużo.

• • •

Zdarzyło się kiedyś, jak byliśmy mali, że się z Błażem ganialiśmy po domu. I uciekając, stanęłam na sedesie i wpadłam nogą do środka. I wtedy Błaż powiedział, że teraz to on już się ze mną nie ożeni.

• • •

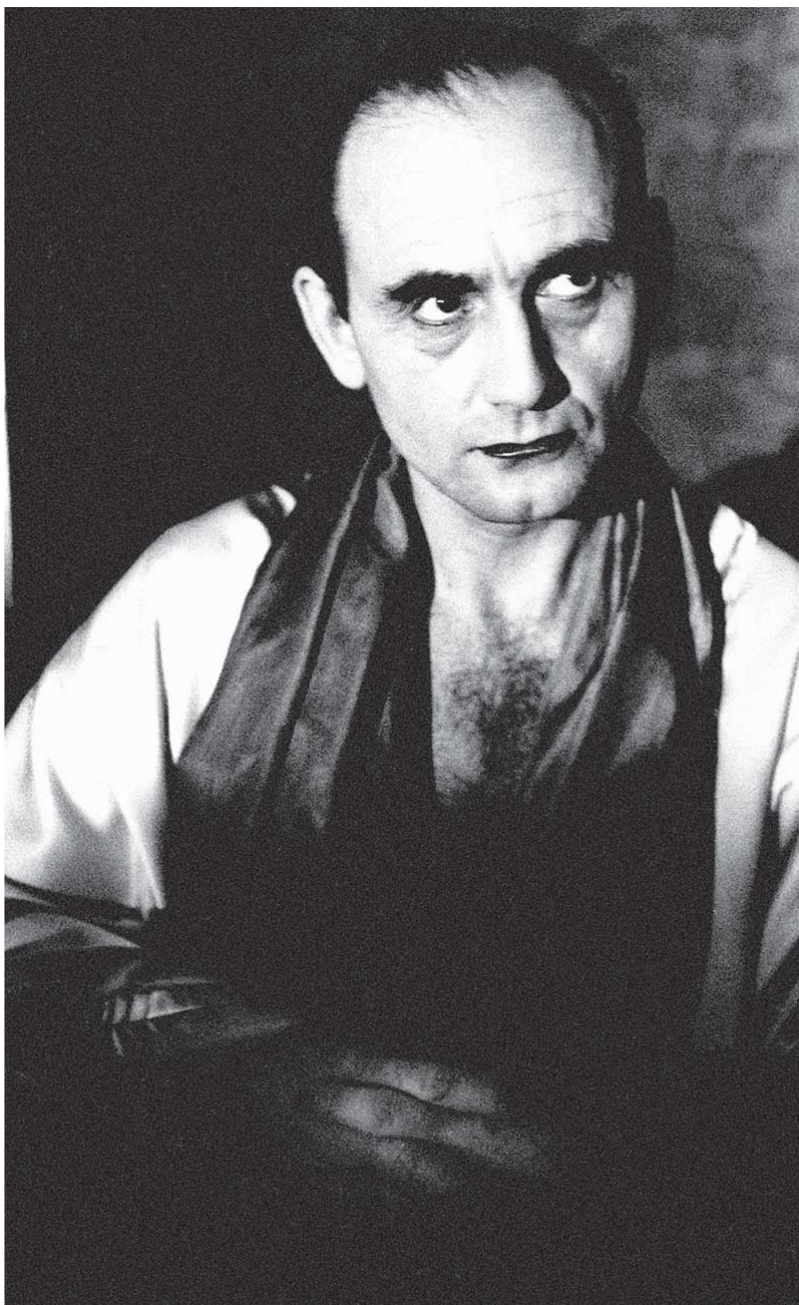
– Nie chcę cię już męczyć za bardzo...

• Nie męczysz.

– Bo widzisz, to wszystko jest ważne dla mnie. I zanim umrzesz...

• Chcesz wiele rzeczy wypełnić.





– Chciałabym zrozumieć, dlaczego jesteś taki, a nie inny. Silny w pewnych rzeczach, w innych kompletnie bezbronny. I zanim umrzesz, chciałabym zrozumieć,

z czego to się bierze i dlaczego jest tak, a nie inaczej. Czego ty ciągle szukasz? Dlaczego jesteś ciągle w drodze? Większość twoich rówieśników już nie szuka, jest skupionych na trwaniu albo na walce z bólem, albo już właściwie na „tam”. A ty ciągle jeszcze jesteś bardzo „tu”. Wzrusza mnie to. To szukanie.

Myślę sobie, że jak zrozumie trochę ciebie, to może uda mi się zrozumieć siebie. Skąd we mnie ta ciemność. Ta dziura w sercu. Jak ostatnio składałaś mi życzenia urodzinowe, to powiedziałaś, że nie do końca się czujesz moim ojcem. I że nie wiesz, z czego to wynika, ale nie do końca wiesz, co to znaczy być ojcem. Dlaczego tak powiedziałaś?

- Nie wiem. Dostarczacie mi obydwoje, i ty, i Błażej, pewnych przeżyć, poprzez które ja się czuję ojcem. To na przykład poczucie dumy, satysfakcji albo radości; chęć obrony w przypadku waszego potencjalnego zagrożenia. Wtedy się zachowuję jak zwierzę i nie daję żadnej taryfy ulgowej. Nie ma nic pośredniego. Natomiast z perspektywy odpowiedzialności za was, która się sprowadza do stworzenia wam warunków do jak najlepszej orientacji, czym jest życie...

– Z czego to się bierze, że nie do końca czujesz, że jesteś naszym ojcem?

- Bo oczekiwałem, że we mnie się coś zmieni, a nic się nie zmieniło. Była absolutna normalność, która towarzyszyła mi przy waszych narodzinach. To znaczy brak zmiany albo nieumiejętność jej rejestrowania. Nic się we mnie nie zmieniło poza świadomością, że mam syna, cudownie uratowanego, i córkę, która się strasznie długo rodziła.

– Ale minęło już czterdzieści parę lat.

- Pamiętam Hankę Lutosławską, która mówiła: „Ty jesteś nienormalny! Jesteś nieodpowiedzialny! Jesteś ojcem! A wskakujesz w biegu do tramwaju?!”. No ale ja mówię: „Bo się spóźnię na próbę”. „Jesteś ojcem! Masz dla kogo żyć!” Ja tego wysłuchałem, ale to nie zrobiło na mnie wrażenia w tym kontekście, że jestem ojcem i w związku z tym mam zmienić swoje życie. Owszem, mam dla kogo żyć, ale nigdy nie miałem poczucia, że mój ryzykancki czy ekstremalny sposób życia powinien ulec zmianie.

– A nie sądzisz, że bycie ojcem i bycie artystą to są rzeczy, których się nie da do końca pogodzić w intensywności?

- Trudno z tym pogodzić potrzebę wolności. Dlatego na przykład model ojca rysowany przez katolicyzm, zwłaszcza polski, że idę do kościoła, śpiewam pieśni,

jeszcze pachnę wczorajszym alkoholem, ale przyjmuję komunię, a potem, wiesz, leję żonę, molestuję dzieci i dalej do tego samego Boga i w ogóle, że jak po kaczkę spływa... Ja bardzo szybko wszystko to odrzuciłem, dokładnie wszystko. Dlatego powiedziałem, że mi się katolicyzm kojarzył z nietolerancją i bezwzględnością mojego ojca, z przemocą. Ostatecznie to był bardzo dobry człowiek. I nie mam do niego żalu.

– Nie masz?

• Absolutnie nie.

– Tylko smutek, że się nie udało?

• Smutek. Teraz, kiedy mnie pytasz, nazywam to po imieniu. Ale przez całe życie związane z wami instynktownie czułem, że wszystko, co ma być obecne w naszym domu, ma być jak najdalej od tego, co oferował katolicyzm ojca. I dlatego to tak nazwałem. A przecież kiedy ojciec umarł... Pamiętam, jak przyjechałem w tę zimę stulecia i stałem z bukietem białych goździków na mrozie, nie czułem zimna. Przeciekał dach i rynna była ogromnym wodospadem z lodu, zamarznięta. Ja się tego chwyciłem i wyłem z rozpacz. Nie, że ojciec umarł, tylko że już nigdy nie wykonam ruchu, który powinienem był wykonać. Że wszystko stracone. I nie byli w stanie mnie odciągnąć. Mogłem zamarznąć przy tej rynnie. Nie wiem, jak długo tam stałem. Po prostu nie potrafiłem wejść i popatrzeć na niego. A jak matka umarła, to patrzyłem na nią godzinami, jak leżała. I tylko się dziwiłem, gdzie się podziały jej piersi. Te ogromne piersi.

– Stała się taką kruszynką, pamiętam.

• Była w tej sukience amerykańskiej, w której...

– Nie. Była w sukience, którą razem kupowałyśmy w sklepie dla puszystych pań na Starowiślniej.

• W Dużym Rozmiarze, tak?

– W Puszystej Pańci. Czarno-fioletowa, błyszcząca. Jej ukochana.

• Tak. Z cekinami.

– Razem kupowałyśmy.

- Tak, rzeczywiście.

• • •

Tata szył mamie kiecki. Na przykład raz uszył jej sukienkę z zasłony. Zdjął zasłonę, udrapował na mamie i zaszył. Była to piękna suknia w śliwkowo-amarantowej mazy z grubego miodowego aksamitu. Zrobiła furorę. Przymierzali ją wszyscy. Najlepiej wyglądała na wujku Leonie, którego chłopak, do kompletu, został w samych majtkach i wyszywanym cekinami krawacie.

• • •

– Przez te czterdzieści parę lat mogłeś się przyzwyczać. I jakoś się oswoić z tym, że jesteś ojcem.

- Ale masz pewne poczucie oddalenia ode mnie, jak ja coś takiego mówię?

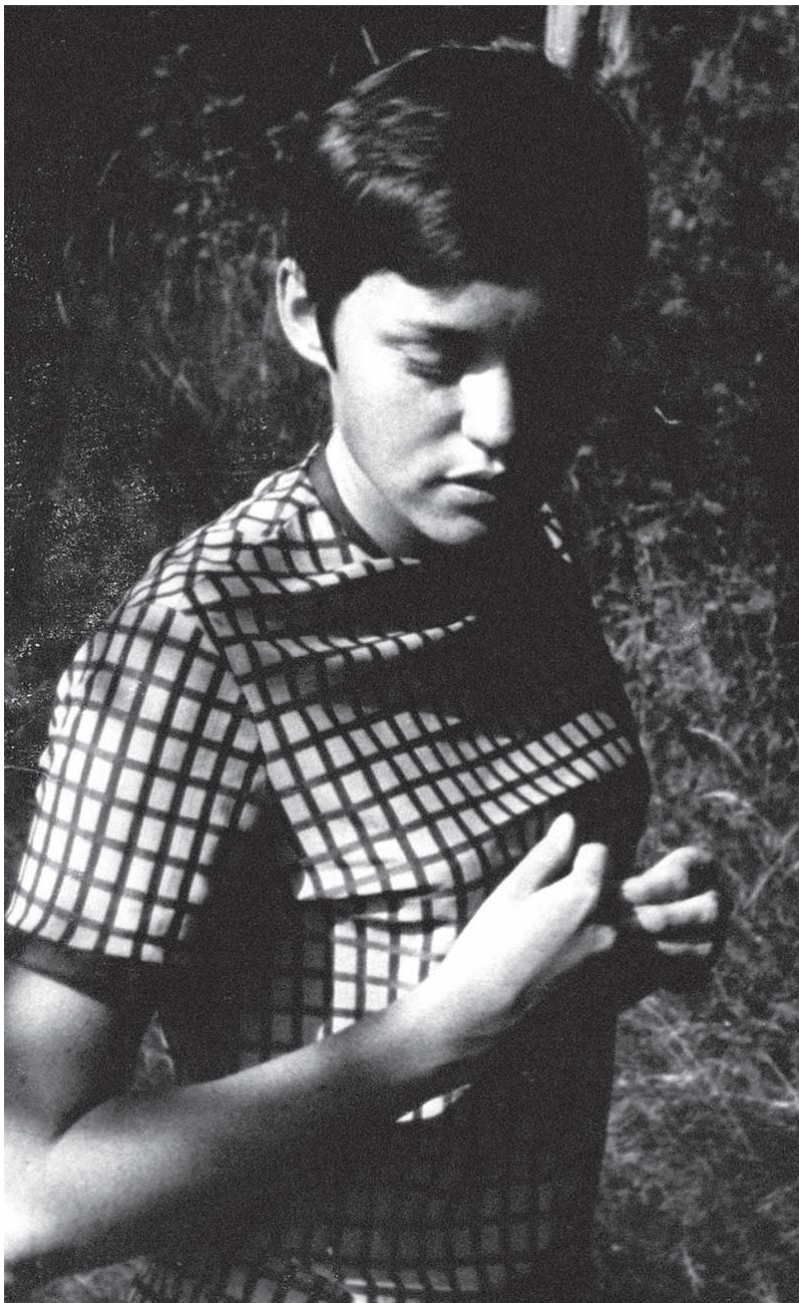
– Nie. Zaciekawia mnie to po prostu. A teraz bez zastanawiania, bez dygresji i anegdot dokończ zdanie: Jestem...

- ...człowiekiem.

– A ja, kiedy zadano mi to pytanie, bez sekundy zastanowienia odpowiedziałam: artystą.

- Ale wiesz, prędzej bym powiedział, że jestem ojcem, niż że jestem sobą.

• • •



– A jest coś, czego żałujesz, jeśli chodzi o nas? Jakies prawdziwe błędy albo naprawdę złe rzeczy, jakie się stały?

• Nie wiem. Ale przed chwilą... To dziwne, że zadałaś to pytanie, bo ono jest echem myśli, tylko już nie chciałem gadać. Kiedy cię słuchałem, jednocześnie snuł mi się wątek rodziców i że co by było, gdyby ojciec był podobny do matki, i to by się tak sielankowo układało. Czy przypadkiem z tego antynomicznego złożenia, czyli matki takiej pogodnej, radosnej, dowcipnej, naprzeciwno której stał ojciec: ortodoksyjny, rygorystyczny, wymagający, ostry...

– Pozamykany.

• Słabo tolerancyjny, smutny. I że dopiero ten związek daje doświadczenie, które najprawdopodobniej z perspektywy czasu człowieka harmonizuje. Daje mu stanąć na dwóch nogach, a nie na jednej, i od czasu do czasu się wywracać. Mnie się wydaje, że to jest prawidłowe. I to jest po części odpowiedź na twoje pytanie. Tak miało być. Jeśli jesteście tak wrażliwi, to czy to błąd? Czy jednak trzeba było posłuchać Ochala – i syna wychować na alfonsa, a córkę na kurwę, bo wtedy doskonale dadzą sobie w życiu radę.

– To ci się nie udało.

• Ale co to znaczy: „dadzą sobie radę?”. Że co, że będą skurwysynami politykami, że będą bardzo bogatymi nieszczęśliwymi ludźmi? Więc jeśli nawet popełniliśmy błędy, to nie uznaję tych błędów za błędy. Jeśli nie jesteście parą pogruchootanych psychicznie ludzi, to...

– Jesteśmy ludźmi po bardzo specyficznym dzieciństwie. W pewnym momencie życia, starając się zrozumieć siebie, szukasz wśród innych jakichś pokrewieństw losów. I dla nas to jest trudne, ponieważ my tak naprawdę nie jesteśmy w stanie znaleźć tego pokrewieństwa.

Wasze dzieciństwa były podobne do dzieciństw rówieśników. A nasze jest z niczym nieporównywalne. To nie jest zarzut. Uważam, że to jest w bardzo dużym stopniu coś, co mnie skonstruowało. Ale nasze dzieciństwo było bardzo szczególne i niełatwe. Właściwie nie znajduję w rozmowach z ludźmi jakiegokolwiek płaszczyzny porównawczej. Nasz dom od samego początku był bardzo inny. I nie chodzi mi o to, że byliśmy dziećmi aktora i artyści bywali u nas w domu, to jest pierdoła.

Często mnie ludzie pytają, skąd we mnie ta anarchia. Dlaczego ta wolność jest tak ważna? Dlaczego tyle o tym śpiewam i właściwie tylko o tym. I czemu to jest dla mnie takie istotne? Ta inność. W jakimś sensie ta odrębność naszego domu, to bolesne odstawanie mnie ukształtowało. Bo to był dom bez ścian.

- No... absolutnie tak.

– Ale długo byliśmy bardzo samotnymi ludźmi w tej odrębności. Ja na pewno. Myślę, że Błażej też. Ostatnio zaskoczył mnie swoim żalem. Jego siłą. Ogromem żalu, którego długo nie mogłam zrozumieć.

- Ale żalu do kogo?

– Do was. „Przecież oni nas mieli w dupie”. „Zostawiali nas w tych Węgrzynowicach i zajmowali się sobą”.

- Próbuję to zrozumieć, ale to bolesne... O, i w tym momencie na przykład się odzywa ojciec we mnie. Zaboląło. Ojciec we mnie mnie zabolął! A jednocześnie od razu biorę w obronę matkę i siebie, że przecież myśmy wtedy ciężko harowali i wysyłaliśmy was do Węgrzynowic w poczuciu, że robimy wam dobrze. Najprawdopodobniej to był błąd.

– Ale to nie ma być jakaś pierdolona psychodrama. Jak będziesz czuł, że czegoś nie chcesz...

- Nieee. Ja raczej... Jeżeli coś mi towarzyszy, to ogromna ciekawość, dlatego że ja przez odsłanianie twojej przeszłości... Ja jednak mam ją w pamięci z natury rzeczy zupełnie inaczej niż ty. I teraz nie jest pora na analizowanie tego, bo te rozmowy nie temu służą; analizowanie przeszłości nic nie da. Tak samo jak nie da się czegoś cofnąć, ale gdybyś mnie teraz po raz drugi zapytała, czy jest taka rzecz, której żałuję, nawet teraz, po tym, czego się dowiedziałem, to krótko odpowiem: nie ma takiej rzeczy.

• • •

– Ponieważ nie do końca rozumiem siebie, więc może jeśli trochę zrozumiem ciebie, to będzie mi prościej pewne rzeczy zrozumieć w sobie? Czy to ma sens?

- Absolutnie.

OŚMIORNICA

• Ośmiornicę robię tak. Zamrażam ją, ponieważ nie mam sumienia walić nią o beton.

– A czemu trzeba walić?

• Żeby skruszała. Tak robią tubylcy, w Chorwacji na przykład. Więc kupuję ośmiornicę, najlepiej dużą. Mrozi się, aż przychodzi jej czas.

– A ile się mrozi?

• Minimum miesiąc. Następnie, jak już się rozmrozi, to same końcówki, te takie cienkie, które są już jak ścierki, wyrzucam. Kroję, jak sama nazwa wskazuje, osiem macek. Oddzielam głowę. Czasem się trafia dziób, którym ona chwytą ofiarę, i czernidło, więc z tego oczyszczam. Przykre są oczy.

– Ale przykre do wydłubywania czy do zjedzenia?

• Nie lubię się zajmować oczami ośmiornicy. Ona ma przepiękne oczy, kiedy żyje. Takie bursztynowe. Zdarzało się wielokrotnie, żeśmy z mamą obserwowali w Chorwacji ośmiornice, które polowały. Jak się wynurzały tuż pod powierzchnię, miały przepiękne bursztynowe mądre oczy. No więc mam to w pamięci. Następnie kroję końcówki tych macek.

– Ale płuczemy czy nie płuczemy?

• Nie! W żadnym punkcie nie wolno płukać! To rzecz podstawowa. Więc kroję końcówki macek na sałatkę. Jeżeli jest czworo gości, to zostawiam cztery macki do dania, a z czterech robię sałatkę. Jest dość prosta, a cała trudność polega na tym, żeby nie przekroczyć piętnastu minut gotowania. Żadnej soli, żadnych przypraw. Nic. Wrzątek. Wrzucam macki i głowę, która jest na ogół przekrojona na pół. Piętnaście minut z zegarkiem w rękę. Odcedzam, studzę. W międzyczasie kroję: dużo czosnku, czerwona cebulka w delikatne piórka, zielona pietruszka i ostra, ja używam toskańskiej, oliwa. Taka ostra oliwa. Nie chili, tylko ostra przez...

– Zielona?

- Z zielonych oliwek.

– Możesz się oprzeć, kochanie?

- Nie. Tak jest dobrze. Jak się oprę, to zasnę. I potem, jak ośmiornica się już ostudzi, kroję ją w plasterki. Tak samo kroję na drobne cząstki głowę. Oczywiście wcześniej próbuję, czy jest odpowiednio chrupka, czy się nie ciągnie jak guma. No ale wtedy jest już i tak za późno.

Czyli tak: wrzucam do stalowej miski, czy tam porcelanowej, cebulkę, dużo czosnku, pietruszkę. Wuuu, wszystko mieszam paluszkami. Zalewam ostrą oliwą, nie boję się jej nalać, i wtedy dużo pieprzu. I jeżeli się okazuje, że jest mało słona, to dosalam. I zostawiam pod przykryciem, najlepiej na cały dzień. Wieczorem jest gotowa. To bardzo proste.

SPALENIE. ABSOLUTNIE. KREMACJA

– Dlaczego tyle pracujesz? Nie możesz się zatrzymać czy nie chcesz?

• Jak się zatrzymam, to umrę. Uwielbiam pracować. Spełniam się w pracy jako człowiek, jako facet, mogę sobie coś udowodnić. Ale jeśli mam naprawdę jakoś głęboko uzasadnić fakt tej ilości pracy, to chyba się w niej zatracam. Praca jest rodzajem znieczulenia, które pozwala nie dostrzegać ułomności życia. Te wszystkie jego okropne aspekty nie dochodzą z taką wyrazistością. Trochę przybladłaś. Źle się czujesz?

– Jestem po prostu zmęczona. Czy to jest twoje własne odkrycie?

• O tym zatraceniu?

– Tak. Wielokrotnie słyszałam od ciebie: „Na demony praca”.

• To antidotum na wszystkie komplikacje.

– Odziedziczyłam to. Praca jako stabilizator.

• Ja czuję, to jest okropne słowo, nie lubię go, ale po prostu jestem przekonany, że właśnie praca pozwala mi utrzymać równowagę.

– Ale którego słowa nie lubisz w tym zdaniu?

• „Czuję”. „Czuję” to jest, jak się puści bąka, wtedy się czuje.

– Świetne zdanie! Chyba najlepsze dzisiaj.

• I instynktownie jakoś przeczuwam, że mam naturę strasznego lenia.

– Często to mówisz, ale myślę, że to po prostu fajnie brzmi w ustach pracoholika.

• Wiesz, dlaczego między innymi nie sięgam po komputer? Bo się boję uzależnienia. Że po prostu bym...

– Przepadł.

• I przejechała życie, a ja nie chcę go tracić. Nie chcę zmarnować jakichś ciekawych spotkań w życiu.

– Zapytałam, dlaczego tyle pracujesz i nie możesz się zatrzymać, i rozumiem, że odpowiedzią jest: że to cię stabilizuje?

• Tak.

– I chroni.

• I chroni. Tak, w gruncie rzeczy chroni.

– A jak przestaniesz pracować, to umrzesz, tak?

• Tak. Jak przestanę pracować, to przestanę dlatego, że już nie będę mógł pracować fizycznie i psychicznie. I wtedy to będzie mój koniec.

– A jaka jest twoja wymarzona śmierć?

• Mam dwie. Albo chciałbym odejść nagle, najlepiej we śnie. Oczywiście byłoby dobrze...

– Wiedzieć, kiedy to nastąpi.

• Chociaż tak trochę wiedzieć, żeby nie zostawić najbliższych w jakimś popłochu i na przykład zdążyć pozałatwiać sprawy. To mi się szalenie podobało u ojca Teresy, Tadeusza, że on wszystko przed śmiercią uporządkował i dopiero umarł. Na zawał serca. Myślę, że to jest pewien kanon postępowania z tamtej epoki. Dzisiaj ludzie na nic nie mają czasu, w związku z czym nie przygotowują tego. Tak samo jak kompletnie nie myślą o tym, że umierającemu należy się towarzystwo. To, co znajdujemy w całej ikonografii umierania, w malarstwie i tak dalej, to że te wszystkie śmierci nigdy nie są samotne. No, może z wyjątkiem śmierci na wojnach.

– Albo samobójczych.

• Że zawsze jest rodzina, która temu towarzyszy. W tym względzie jestem strasznie konserwatywny i uważam, że to jest piękne. I tak też bym mógł umrzeć. Ale chciałbym tak, że: „O! Za godzinę wiem, że umrę”, i proszę, schodzimy się i wtedy: „Kto się czego napije? Mamy koniaczek, wino, szampana”. No ale to pewnie jest niemożliwe.

– Czyli najlepiej nagle, ale uporządkowawszy sprawy.

• Albo samemu o tym decydując. Na pewno nie zniósłbym sytuacji, w której rejestrując mękę najbliższych i własną, nie mógłbym na to wpłynąć, i skazywałbym całe otoczenie i siebie na jakąś nadzieję. To mnie wcale nie bawi, to jest poza mną zupełnie. Obserwuję moich kolegów, na przykład po udarach, którzy robią postępy, nie robią postępów, i mnie to, jak by powiedział Gombrowicz, nie przewierca.

– Chciałbyś sam zdecydować, kiedy umrzeć?

• Chciałbym. To pewien paradoks, bo powinienem się tego życia, które tak uwielbiam, czepiać. Ale w którymś momencie ono przestaje mieć sens...

– W którym?

• Kiedy się zamienia w udrękę, w mękę moją i otoczenia.

– Czasami, to nie jest jednoznaczne. Twoja męka a męka otoczenia. Czasem ludzie, którzy cię kochają, chcą po prostu z tobą być.

• Mam dość prostacki pogląd w tej sprawie i on wynika z obserwacji bliskich ludzi nieuleczalnie chorych, którzy nie są w stanie decydować o sobie. I tak naprawdę żyją po to, żeby tamci znaleźli jakiegoś wyższego rzędu sensy. To może jest niesprawiedliwe, ale tak uważam. Cierpiąc, nadają sens egzystencjom tych, którzy się nimi opiekują. To fałszywe moim zdaniem. I okrutne. Chyba że ewidentnie chory daje sygnał do końca: „Róbcie wszystko, żeby nie umarł”.

– Powiedziałaś, że chciałbyś móc sam zdecydować. Chodzi ci o samobójstwo czy eutanazję?

• Eutanazję. Samobójstwo nie.

– Nie interesuje cię?

• Samobójstwo jest dla mnie niewyobrażalne. Jest kilka takich rzeczy w życiu: na przykład kompletnie niewyobrażalna jest dla mnie pedofilia. Mimo że niezwykle podobno wiarygodnie gram pedofila. Tak samo niewyobrażalne dla mnie jest samobójstwo.

– I nigdy w całym swoim prawie osiemdziesięcioletnim życiu nie przyszło ci do głowy, żeby w ten sposób odejść?

• Nigdy. Natomiast eutanazja tak. Można powiedzieć, że jest to pewnego rodzaju samobójstwo.

– To jednak trochę coś innego.

• Ja bym raczej komuś zezwolił na przecięcie strumienia mojego życia.

– Rozmawialiśmy o tym i wielokrotnie podkreślałeś, mama też, że będziecie chcieli tę sferę uporządkować i uzgodnić z nami.

• Tak. Ale jesteśmy tak zapracowani, że ciągle nie znajdujemy czasu, żeby zając się własną śmiercią. Wiemy, że istnieje sporo adresów. W Polsce to jest niemożliwe z tysiąca powodów, ale kupuje się *one way ticket* i jedzie się do Szwajcarii, Belgii czy Holandii, i się to po prostu załatwia.

– Ale skoro nigdy tego wcześniej nie przegadaliśmy, to skąd będziemy wiedzieć, w którym momencie?

• W momencie, w którym...

– To może ustalmy to teraz? Jakie są wytyczne?

• No, nie wiem... To najlepiej przez przykład. No, gdybym uległ udarowi... z jakimś totalnym paralizem, że kupa, siku ode mnie nie zależy, że nie ma kontaktu, że nie daję sygnałów, to wiesz... Ale to jest dla mnie za skomplikowane, ja tego nie ogarniam.

– Czyli że mózg nie działa.

• Udar, mózg nie działa albo śpiączka, albo... Nawet mniej. Dla mnie nawet mniej. Myśmy długo na ten temat z Teresą rozmawiali i obydwójce, wydaje mi się, w jakimś spokoju się z tym zgodziliśmy. Po czym w Teresie następuje szereg wątpliwości.

– Wydaje mi się, jeżeli naprawdę serio o tym myślisz, że chyba musimy znaleźć na to czas i jednak precyzyjnie to określić, bo inaczej nie będziemy pewni.

• Tak, też mi się tak wydaje. To kiedy? Może w najbliższe święta?

– Czyli reasumując. Wymarzony rodzaj śmierci: we śnie, uporządkowawszy sprawy i pożegnawszy się, albo z rodziną w fajnej atmosferze...

• Odchodzenia. Myślę też, przepraszam, że ci wejdę... Gdybym zachorował na raka, to oczywiście takie gdybanie w tej chwili... I nie wiem, skąd się bierze to poczucie, ale ja bym sobie z tym radził.

– Ja też mam takie poczucie.

• Nawet nieźle, i kiedy by się rzeczywiście... Bo to jest taka choroba, która po trafi wyznaczyć...

– ...koniec.

• I wtedy się schodzimy i wspólnie, trzymając się za ręce, odchodzimy.

– Wiesz, w wielu krajach jest to mądrze rozwiązane. To się nazywa *assisted suicide*, „samobójstwo wspomagane”. Lekarz rodzinny wstrzykuje odpowiednią dawkę morfiny i robi się to z rodziną. Jest w tym coś głęboko humanitarnego, wydaje mi się. Rozumiem, że coś takiego by ciebie interesowało?

• Tak, tak, tak! To poza wszystkim jest szalenie teatralne, co jest mi bardzo bliskie. I ludzkie.

– Wydaje mi się, że w ogóle teatralność jest bardzo charakterystyczną cechą naszej rodziny. A jeszcze à propos śmierci i porządkowania spraw. Miejsce na grób już wybraliście, prawda? Kwatera na cmentarzu w Andrychowie, z modrzewiem. Kamień nagrobny też zaprojektowałeś. Sama z tobą byłam na Rakowicach wybierać piaskowiec na nagrobek, więc można powiedzieć, że wiele lat przed deklajnem masz to obstalowane.

• To jest przygotowane. Grób już jest, przydzielony przez gminę. Dzisiaj, przy obecnym rządzie, pewnie bym tego nie otrzymał, w związku z tym być może to będzie cofnięte, co mnie nie martwi. Aczkolwiek ten kamieniarz, który wszystko wie i otrzymał projekt, jeszcze się za to nie zabrał.

– Czemu?

• Bo powiedział, że wykuł komuś nagrobek zawczasu i ten ktoś po prostu zmarł. I on nie chce. Ale w każdej chwili jest gotów. Ma materiał i wszystko wie. Kolor, napis, czcionka, treść. I on to robi.

– Rozumiem. Porządkujemy dalej. Spalenie?

- Spalenie. Absolutnie. Kremacja.

– A słyszałeś o moim zdaniem pięknej idei, o której właśnie rozmawiam z Edkiem, bo my mamy dość specyficzną sytuację... My naprawdę nie mamy za bardzo gdzie się ze sobą podziąć albo myśleć, że ktoś coś z nami zrobi. I jest taka idea, która mnie zachwyciła.

Przed śmiercią decydujesz, że jak umrzesz, to twoje ciało zostaje przygotowane w specyficzny sposób. Po kremacji mieszają w specjalnej kapsule twoje prochy, czy co tam z ciebie zostanie, i z tych resztek ciebie przygotowują taki kosmokompost. Wybierasz drzewo, które jest ci bliskie, gatunek drzewa. I sadzonka tego drzewa wyrasta z ciebie, z tego kompostu. I są całe cmentarze czy raczej parki umarłych. Wiem, że na pewno we Włoszech i w ogóle w Europie Zachodniej. I to drzewo korzeniami zużywa wszystko, co z ciebie zostało, karmisz sobą drzewo. Nie ma grobów, tylko na tych drzewach są tabliczki. Na przykład: wierzba płacząca – Maria Peszek. Tyle.

Strasznie mi się podoba ta idea. Jest konkretna i piękna. Tak bym chciała.

- Takie drzewo można objąć...

– Załatwionych jest wiele spraw. Nie ma grobu, który trzeba pielęgnować. Odpadają znicze, te pastowania. Jest drzewo. Konkretna energia wyszana korzeniami. I jednocześnie twoi bliscy mogą przyjść do ciebie. Posiedzieć w twoim cieniu. A nie że rozrzucasz te prochy, gdzieś w pizdu.

- Pierwsze słyszę. Rzeczywiście to bardzo piękne, bo grób, obojętne, czy to jest nagrobek, pomnik, czy jak to się nazywa... Lapidarium?

– Kolumbarium.

- Grób z ciałem obliguje. Zobowiązuje właśnie do czyszczenia, do kwiatków, zniczy...

– Zapada się albo coś się tam dzieje.

- I to jest sprawa...

– Hieny cmentarne okradają.

- ...beznadziejna. Natomiast, że proch, to na pewno. Na pewno nie ciało do ziemi. Na pewno nie.

– Dlaczego?

- To jest dla mnie irracjonalne. Nie, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Tak jak Blaga Radošević, nasza chorwacka znajoma. Oni rozsypali prochy Borysa, jej męża, w morzu. Zresztą długo nie mogli. Przez dwa tygodnie był sztorm, w związku z czym, czekając, aż się morze uspokoi, dwa tygodnie pili. A on tam leżał razem z nimi. W prozku. A potem, jak morze się uspokoiło, część rozsypali w jego rodzinnym mieście, czyli Splicie, a część w zatoce przy Zlarinie. I Blaga, jak płynię z Szybenika, zawsze kupuje różę i wrzuca do morza. To oczywiście patetyczne i sentymentalne...

– Mnie się podoba. To bardzo czułe.

- My też to robimy. Bo to nasi znajomi. I nie ma ciała, nie ma grobu. A w tym samym miejscu go rozsypali, gdzie ja zgubiłem kapelusz, bo mi wiatr zwiął i poszedł na dno. Widziałem, jak się topi i tak się to wszystko miesza. Ale to z tymi parkami umarłych to jest piękne, naprawdę.

– Ale na pewno nie chciałabym być brzozą, a ty?

- Zastanawiałem się, co bym chciał, żeby ze mnie wyrosło.

– No?

- Miłorząb japoński. Uwielbiam to drzewo.

– Wiem. A dawniej było tak, że swoich zmarłych chowało się po prostu w ogrodach. Przy domu, blisko. A popatrz, w tej naszej cmentarnej kulturze to jest niewyobrażalne. A uważam, że to piękne.

- To jest wspaniałe.

– Jak widzę wasz ogród na przykład, jeżeli ten dom jakkolwiek zostanie w rodzinie, to myślę sobie, że to by było coś niesamowicie cudownego mieć taką bliskość. Dlaczego na cmentarzu? Przecież to jakaś obca przestrzeń. Bezsens.

- Cmentarz to miejsce takich kolonii, na które się umawiamy. To jest dla mnie fakt odpychający. Tamten grób, który żeśmy otrzymali w Andrychowcu, jest na

dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

– A potem co?

• Wtedy będziecie starszkami. Będziesz miała dwa razy tyle, ile masz.

– Dziewięćdziesiąt lat.

• No.

– Jak o sobie myślę, no to gdzie ja po tej śmierci? Przecież ja nigdzie nie przynależę. Wiesz, jak mnie ludzie pytają, skąd ja jestem, to nie wiem. Urodziłam się we Wrocławiu, potem mieszkaliśmy w Łodzi, potem w Poznaniu. Ludzie mówią, że jestem z Krakowa, a mnie tak to wkurwia. „Jadę do tego twojego Krakowa”, mówią. A ja w Krakowie mieszkałam tylko paręnaście lat, potem jeszcze Alaska i Warszawa już prawie dwadzieścia lat, w międzyczasie parę lat w Azji. Ja nie mam swojego miejsca.

• No, ja też nie. Zrobiony w Królewcu, urodzony w Szrensku, żydowskiej miejscinie w jakiejś piwnicy...

– Nie w piwnicy. Byliśmy tam. Na zaszafiu, tak bym to nazwała.

• Na zaszafiu. Potem wychowany w Andrychowie i Zieluniu.

– No i potem po całej Polsce.

• Najdłużej żyję w Krakowie, którego najbardziej nie cierpię. Nie akceptuję tego miasta.

– A pamiętasz, jak jeździliśmy dawniej do Andrychowa z tych różnych miast i po drodze zawsze był ten Kraków, taki ostatni już przystanek. I zawsze wydawał się ziemią obiecaną, lepszym światem. I jak się tam sprowadziliśmy, to tak jakoś się okazało inaczej. Znaczy byliśmy tam bardzo szczęśliwi, to są w ogóle niesamowite lata, ale to nie jest nasze miejsce.

• Nie jest.

– Teraz ty zbladłeś.

• Ja zbladłem? Neeee. Nie zbladłem, nie zbladłem...

WESOŁOWSKA UMIERA

• Jak byłem bardzo małym chłopcem, mogłem mieć sześć lat, w Zieluniu biegaliśmy z chłopakami nad rzekę pływać. Uwielbiałem to. Tam były torfowiska, więc się obrzucaliśmy torfem, takie błotne wojny. I wtedy któryś krzyknął: „Chodźcie szybko! Wesołowska umiera!”.

Babcia Stefania robiła genialne faszzerowane szczupaki, które dostarczał właśnie Wesołowski, mąż umierającej. I jak Wesołowski dostarczał szczupaka, to on miał metr długości, no, osiemdziesiąt centymetrów. Cała rodzina skórowała. Babcia nacinała tego szczupaka przy głowie i ściągała skórę tak, że musiała być cała. Potem go gotowała i przygotowywała farsz. I całą tę skórę z ogonem i głową faszzerowała tym szczupakiem. Tym, co tam z niego zostało. Zasztywniała brzuch i zapiekała w piekarniku. I cały szczupak wędrował na półmisek.

To był taki ceremoniał w Zieluniu. Wesołowski oprócz szczupaków dostarczał małe okonki, które z kolei Adela robiła w occie. Smaki z dzieciństwa. Więc kiedy ten chłopak krzyknął, że Wesołowska umiera, oczywiście poleciliśmy.

Bo to była pierwsza śmierć, której byłem świadkiem. I chyba jedyna. Nie! Jeszcze chłopaka zabiło we Wrocławiu na moich oczach, na ulicy. On wysiadł przede mną, następny byłem ja, z autobusu. I taksówka go rozwalila. Pamiętam tylko, że wyleciał metr nad ziemię, upadł i z uszu zaczęła mu lecieć krew.

Natomiast śmierć Wesołowskiej strasznie nas wszystkich zawiodła. Siedziały czarne baby i mówiły: „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...”. Modliły się, modliły. Wesołowska leżała w takiej chustce czarnej zawiązanej pod szyją, na czarno ubrana, różaniec w dłoniach. Strasznie chuda, stara. Miała otwarte usta i tak: „Hrrryyy!”. Tak chrapała. I jak przestawała, to te wszystkie baby uciszały się.

– Że już.

• Że już. No ale ona znowu: „Hrrryyy!”. I to trwało bardzo długo, więc: „Chodźcie, chodźcie!”. „Nie! Zostańmy jeszcze!” I ona znowu: „Hrrryyy!”. Więc one przestały się modlić i tak została. I wtedy one wszystkie gruchnęły płaczem. No i myśmy byli okropnie zawiedzeni, że ta śmierć jakaś nieatrakcyjna, nic się nie wydarzyło, głupie baby tam się modliły, przestawały i płakały, a ta chrapała.

I takie mam wspomnienie pierwszej śmierci, które teraz wydaje mi się zjawiskowe. Jak sobie przypominę koloryt, tę bidę w Zieluniu i tę umierającą kobietę

z tymi płaczkami, to było coś niesamowitego. Ale wtedy tego nie doceniałem.
Nie mogłem się doczekać, żeby pływać po tym torfie w rzece.

JANECZKA

Babcia Janeczka była jak stary indiański wódz. Wielka, mądra, gruba, z siwym tłustym warkoczem. Tęczówki jej oczu miały różny kolor. Prawe niebieski, a lewe żółty, dodatkowo z bielmem. Pachniała starą kobietą ze wsi i ciastem. Wszystko miała wielkie; ramiona, uda i brzuch. Ale największe miała serce. Uwielbiałam zasypiać, słuchając, jak dudni gdzieś pod wielkimi cynamonami. Opatulała mnie nimi jak pierzyną, a mój smutek się topił i skapywał babci na brzuch.

– Skąd się wzięła babcia Janeczka?

• Pojawiła się w sposób jakby oczywisty. Zawsze uważaliśmy, że potrzebna jest osoba, która będzie nianią, kimś domowym, kto wniesie ciepło, kawałek swojego domu. I na ogół nam się to bardzo udawało.

Tak jakoś zupełnie przypadkiem się złożyło, że raczej to ty miałaś nianie, a Błażej chodził do państwowych instytucji. Choć przecież zaczęliśmy we Wrocławiu od znalezienia kilku nian dla niego, ale niektóre po prostu przy nim nie wytrzymały. Był szalenie pobudliwym dzieckiem. Na przykład umiał rozkręcić łóżeczko, choć zaledwie raczkował. Śrubki go interesowały. Albo potrafił się wdrapać na parapet i walić drewnianym klockiem w szybę na dziesiątym piętrze.

– Ile miał wtedy latek?

• No, ze dwa. Albo wysmarował kupą, rzecz jasna własną, wszystkie szczebelki, rozkręcił łóżeczko i wylazł.

– I tego niania nie zdzierzyła.

• Powiedziała, że niestety, ona nie jest w stanie sprostać. Wtedy znaleźliśmy panią Annę, była żoną fabrykanta z Gdyni, wspaniałą osobę, szaloną. Piekła cudowne ciasta. Podejrzewam, że przez własne roztargnienie wpadła pod auto, wracając z Błażem z parku Południowego we Wrocławiu, gdzie chodzili na spacer, i w tym wypadku zginęła. Nie od razu. Już nie pamiętam, ale chyba to był piątek, a w czwartek w następnym tygodniu zmarła, nie odzyskawszy przytomności. I pamiętam zapach ciasta ze śliwkami, który się roznosił w domu, a myśmy szaleli, nie mogąc jej znaleźć. W ten sposób jakby urwała się opieka nad Błażem. Potem, jak już Błażej chodził do żłobka, pojawiła się pani Irenka.

– Ta od kluseczek z jagodami? Serowych?

• Nie. Kluseczki z jagodami to była właśnie pani Anna. A te to były kluski na parze...

– Nie, serowe.

• A może serowe. I na to był polewany mus z jagód, to pamiętam. Była też pani Jadzia, niezwykle wspaniała osoba, jako ostatnia już, bo pani Irencie się chyba urodził wnuk. No w każdym razie przewijały się te nianie i zazwyczaj mieliśmy dużo szczęścia.

Kiedy się przeprowadziliśmy do Łodzi, też znaleźliśmy taką osobę, ale moja wewnętrzna czarownica od razu mi mówiła, że to nie jest ta osoba. Przede wszystkim była potwornie chuda, żylasta. Nawet nie pamiętam, jak miała na imię, ale któregoś dnia po prostu nie przyszła. Więc chodziłem po blokowisku i zaczepiałem jakieś pańcie, które wydawały mi się jako takie, siedziały na ławkach, nic nie robiły. A one mówiły: „Nie, nie, nie. Dziękuję”. Aż jedna powiedziała, że tu obok jest dom starców i że tam się nudzą ci ludzie i proszę tam pójść, na pewno pan kogoś znajdzie.

Więc poszedłem do tego domu starców i tam się natknąłem na taką panią, która niosła pranie, bo w tym domu starców pracowała w maglu. To była Maryla. I ona mówi, że tu nie. „Ci starzy ludzie, oni nie. Oni tu się kłóć i mają swoje sprawy, na pewno to jest zły adres”. Ale – mówi – mam teściową, która wprawdzie mieszka częściowo na wsi, ale bardzo lubi dzieci. I następnego dnia się umówiliśmy. No i przyprowadziła babcię Janeczkę, która wcale nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia na początku.



– Dlaczego?

- Wydawała mi się brudna.

– Chodzi ci o specyficzny zapach babci Janeczki?

- Miała jakiś sweter przepocony, czarne paznokcie z brudu. Nie za długie, ale niestety, niewyczyszczone, a do tego tłuste włosy. I bardzo się podejrzliwie patrzyła spod brwi jednym okiem w jednym kolorze, a drugim okiem w innym, co mi się wydawało dziwne, bo nigdy nie widziałem kogoś takiego. Miała też lekkiego zęza. I była okropnie gruba; ogromne piersi płaskate w tym nieświeżym swetrze.

Siadła, stęknąwszy przy tym, myślałem, że się załamie pod nią krzesło. A ty od razu do niej na kolana, palce w buzię, między cycy i bum. Dla Teresy to był sy-

gnał oczywisty. A ja nie byłem przekonany: ona taka brudna, dziecko będzie zaniedbane, tego... Ale umówiliśmy się na okres próbny.

Okazało się, że ty nie mogłaś bez niej żyć. Była bardzo dowcipna. Wspaniale gotowała i prasowała. I nagle okazało się, że wy przede wszystkim byliście do niej szalenie przywiązani. Błżej też. I zdarzało się coraz częściej, że on szedł do przedszkola i tak tęsknie, jak ona to mówiła, się oglądał w stronę okna sypialni naszej, w której stała babcia Janeczka z tobą na ręku, a jej się serce krajało. Więc otwierała okno i: „Błżyj! Wracaj!”. I on leciał z powrotem z tym workiem z papkami, ciągnąc go po ziemi, gubiąc nogi, i był przeszczęśliwy.

– I zaczynały się nasze z babcią zabawy.

• My nie wiemy, co się działo, ale byliście dziećmi otwartymi. Na przykład z tą brzydulą w Poznaniu...

– Z jaką brzydulą?

• No, z Nikiforem...

– Krysią Feldman!

• Z Krysią Feldman żeście robili hece. W Indian się bawiliście. Związaliście ją i strzelaliście do niej z łuku, a ona to uwielbiała i się śmiała. Z kolei jak była Janeczka, ty byłaś fascynatką *Czterech pancernych*, więc oczywiście udawałaś Janka Kosa, a babcia Janeczka złego Niemca i pakowaliście ją pod kanapę, w garnku na głowie.

– To był hełm.

• No i nie mogła tam się wcisnąć w tym hełmie.

– Babci Janeczce uciekaliśmy też na naszą drabinkę gimnastyczną i nie mogła nas tam trafić ścierą.

• No, ścierki były osobliwie brudne, rzeczywiście. Myśmy je prali często, ale nie dało się nad tym zapanować.



Lubiliśmy siedzieć pod stołem, jak babcia Janeczka prasowała, i słuchać jej wsiowych piosenek. Zawsze było coś o zwłokach. Ktoś wywoził kogoś na łączki

i tam łamał mu rączki. Podolanka truła brata węzłem z wiśniowego sadu, a pa-luszki zaduszonych niemowlaków jak przebiśniegi wystawały z czarnej ziemi. Za-wodziła i płakała. A my pod stołem, pobudzeni, zaglądaliśmy jej pod spódnicę, która jak wigwam skrywała wielkie majtasy.

• Janeczka szybko się stała nieodzowna. Ale też jakby opanowywała swój te-ren, nasz dom, i o wielu rzeczach potrafiła decydować. Jak wyjeżdżaliśmy z mamą, to się przeprowadzała do nas i spała z wami, na przykład jak pojechali-śmy na pogrzeb mojego ojca. Wróciliśmy bardzo późno w nocy, właściwie nad ranem. W tę zimę stulecia nie wszędzie grzali, na Teofilowie nie. Cała Łódź, pa-miętam, ciemna. Szwagier mój z latarką szedł przed maluchem, a my jechaliśmy za nim, żeby nie wpaść gdzieś, bo nic nie było widać. I wchodzimy do domu na Traktorowej, też ciemno. Świeczka się tylko pali, a wy szczęśliwi, rumiani w łó-żku z babcią Janeczką. No ale ona wam dała sok malinowy ze spirytusem, więc wyjście byli po prostu upici. Ale przeżyliście tę zimę w zdrowiu i babcia też ra-zem z wami.

– Babcia miała męża Szprucha...

• To był jej drugi mąż. Wyszła za niego z czystego wyrachowania. On był jej ojczymem. I jak umarła mama Janeczki, to ktoś się musiał nim zająć. A że miał emeryturę wysoką, kolejową, i mieszkancko na Tuwima...

– Myśmy tam dużo czasu spędzali z Błażejem.

• Szpruch był cichym człowiekiem, wycofanym. Nigdy nie wchodził w żadną paradę i sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego przez nią. Nie żeby ona nim jakoś pomiatała, ale była między nimi dziwna tajemnica.

– Pomiatała. Babciu, weź patelnię i walnij dziadka w głowę. Błażej tak mówił i babcia brała patelnię, tak się zamierzała i myśmy się śmiali. Dziadek Szpruch miał szuflady z orderami, bo on walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej. Miał też demencję i mamrotał rozkazy do siebie. Ale tak naprawdę matecznik babci Ja-neczki to była wieś.

• Węgrzynowice. Jechało się na Brzeziny, potem na Budziszewice i na Jeżów, gdzie się cud zdarzył z Matką Boską. Na szybie...

Cuda się działy w białej kapliczce w polach, za wsią. W maju przychodziły baby na majówki. Śpiewały „Po górach, dolinach”, paliły szatnię, przebierały

ziola, karmiły dzieci cyckami, zadzierały spódnice i pokazywały sobie brzuchy i resztę. Śmiały się, płakały, skarżyły na swoich chłopów, opowiadały o duchach i o tym, że Staszka dała dupy którejś mężowi. Potem kielicha i znowu „Po górach, dolinach”. Śpiewałam i świeczki Matce Boskiej paliłam z nimi. A ona patrzyła gipsowymi oczami na to wszystko.

- Węgrzynowice się pojawiły w sposób naturalny. Nie że my was gdzieś zsyłamy, tylko babcia zaproponowała, żebyście przyjechali na wieś. Ja miałem malucha, więc jechaliśmy...

Tęskniliśmy tam bardzo za wami. Zbieraliśmy dla was skarby, żeby były, jak przyjeździecie. Ze smoły lepiliśmy mamie pierścionki z brylantem z rozbitej butelki. Wisiliśmy całymi dniami na bramie, z której było widać asfaltową drogę, hen. I jak się w końcu daleko pojawiał maluch, to lecieliśmy naprzeciw z bukietami.

- Też pamiętam, że później mieliśmy rudego kota, który był okropny, złośliwy. Ja go wziąłem z teatru, bo nikt inny nie chciał. Poniszczył meble, podarł firanki, srał w kable pod kanapą. To było trudne kocisko, więc wywieźliśmy go na wieś i on tam się doskonale poczuł, zaanektował dom.

– Rozumiem, że myśmy tam spędzali dużo czasu?

- Dużo. To oczywiście była propozycja babci, my byśmy nigdy na to nie wpadli. I to się chyba zaczęło w wakacje albo ferie. Nie było wtedy takich możliwości jak obecnie. Albo były żniwa i ona musiała pojechać. Gotowała. No bo jednak oni mieli pole, a same kobiety. Bo tam mieszkała jej córka Halina.

– Halina Duczek, też już wdowa. Z zębami złotymi z przodu. Pracowała w zlewni.

Raz w nocy się tam zakradliśmy z Błażem, do zlewni. Ona były w dawnym dworku. Podchodzimy, a tam śmiechy jakies. I podpatrzyliśmy Halinę i cztery inne kobiety, jak w tych kadziach z mlekiem się kąpią. Gołe, tłuste, rumiane. Kleopatry.

- W każdym bądź razie myśmy byli przekonani, że jedziecie w bardzo dobre powietrze, zdrowe, na piaski, w mazowieckie. No, nie mazowieckie, tylko... No właściwie już mazowieckie. I mleko zdrowe, prosto od krowy. Na sianie się spało, bo nie było miejsca w domu, jak wszyscyśmy zjechali, prawda.

– Tak, bo to był dwuizbowy dom. Była kuchnia i izba. Tyle.

A obok obora dla zwierząt. I one grzały swoim ciepłem tę izbę. Na początku nie było też prądu. I sowa mieszkała na strychu. I jak się zasypiało, to słychać było zza ściany odgłosy zwierząt i sowę, jak huczał ogień z pieca i jeszcze różne ludzkie odgłosy, jakieś westchnienia, jęki, czyjeś drapanie się w piętę, a czasem też pierdy nocne.

• Pamiętam, że raz spałem, bo nie było miejsca, ze Szpruchem, i to było okropne przeżycie.

– Błazej też spał ze Szpruchem!

• Pod pierzyną. Specyficzne zapachy, ale jak już się z tym człowiek pogodził, no, to jakoś było. W każdym razie w tych lasach było cudownie. Te wędliny, po które się jeździło. Myśmy mieli poczucie, że wy jedziecie tam po samo zdrowie.

– Do raję.

• Do raję. I babcia zawsze nas, że tak powiem, gościła jakoś niezwykle serdecznie, zawsze rosół czy tam coś. I myśmy po prostu w każdej wolnej chwili do was przyjeżdżali. Nie znaliśmy drugiej strony medalu, czyli co się po latach okazało, jakie wyście mieli gry z tymi kurami zdechłymi, jakie po lasach zabawy i tak dalej...

Dzieciaki nam pokazały, że jak się taką zdechłą kurę znajdzie, ale świeżą, w sensie parodniową, to jak się na nią skoczy, to ona jeszcze gdacze. Powietrze się chyba w kurze zbierało i póki nie stężała, to była zabawa. Inna rzecz była taka, że jak babcia ucinęła kurze łeb, takiej właśnie na rosół, to często ta kura jeszcze biegęła po podwórku, już bez głowy, bluzgając krwią na boki.

• Ja tylko mam nadzieję, że to jakoś się nie odłożyło źle w waszych psychikach.

– We mnie na pewno nie.

Ale jak kablem z prądem zabijali Reksa, żałuję, że widziałam. Bo nijak nie chciał umrzeć i wyl, a pijani faceci się śmiali, bo śmiesznie wierzgał. W końcu jeden wziął siekiere i obuchem rozwalił Reksowi głowę. Ale po pijaku źle wycelował i Reks z rozpołowionym łbem jeszcze skowyczał i jednym okiem patrzył na mnie.

- Babcia uwielbiała pogrzeby. To była jej ulubiona rozrywka. Dla ciebie to był chleb powszedni. I oswojenie twoje ze śmiercią było za sprawą babci Janeczki, bo pogrzeby były po prostu atrakcją tam na wsi.

Raz przyjechałem i dowiedziałem się od Haliny, że jesteś z babcią na cmentarzu, bo pogrzeb. No i tam, na placu przedcmentarnym, pełno furmanek, może ze dwa samochody i pogrzebnicy. Oczywiście babcia na jakimś poczesnym miejscu, mimo że to w ogóle nie rodzina, nad samym tym otworem, przy którym trumna stała. I ty z taką dużą tytką, torebką papierową w rękę, w różowej sukience, zjadająca wafelki, neapolitanki czy coś. I tak się wgapiasz w ten dół. Kompletnie jakby z innego świata, rozluźniona, wcinasz wafle nad grobem i coś sobie śpiewasz. I to było dla mnie zaskakujące, ale bardzo pozytywne.

Trupów było zawsze sporo na wsi. I się przy nich czuwało, myło je, przebierało, no a potem grzebało. A jak chodził obraz po wsi i trafiał do domu z kimś niedawno zmarłym, to wtedy impreza, śpiewy, pijaństwo i wspomnianie.

- A raz zimą, pamiętam, przyjechałem i też ciebie nie ma. Że w lesie się bawisz. Ciemno już, zmierzch, więc się trochę martwię, a ty nagle z tego lasu wychodzisz, umorusana węglem czy ziemią strasznie, i krzyczysz: „Chodźta, chłopoki, bo was tam wilki zechlają!”. I zgraja wiejskich chłopaków wybiega z tego lasu za tobą.

To było chwilowe zawieszenie broni pomiędzy nami a bandą Radka. Bo Radek się we mnie zakochał i zrzucił mnie z gruszy na ziemię, w ulęgałki. I wytar mosił w trawie. Ale najpierw strzelił mi w głowę skoblem z procy. Potem mnie zaciągnął w opuszczone bunkry w lesie i przywiązał do sosny. On był synem sołtysa i miał seks ze swoją siostrą. Mówili, że od tego zrobił mu się niebieski siurek, a jej psitka większa.

– A jak wyprowadzaliśmy się z Łodzi, to było babci smutno?

- Bardzo. Miała chyba poczucie, że opuszczają ją bardzo bliscy ludzie, bo ona dzięki nam też chyba przeżywała coś ekstra. Przez gości, którzy przychodzili. Ona była zawsze szalenie podniecona, podekscytowana i tymi baczynymi oczyma patrzyła na ludzi i potem komentowała na przykład, żeby się lepiej z tym nie zadawać albo że ktoś był fajny. Miała, moim zdaniem, wysoko rozwiniętą intuicję, tak jak mi powiedziała: „Nie jedź pan tym autem dzisiaj. Tyle sypie, jest ślisko, po cholerę pan jedziesz, tym autem?”. Ja pojechałem. Bo się chciałem pokazać.

Autem, które kupiłem sobie pierwsze w życiu. Na Boże Narodzenie mieliśmy jechać, no i oczywiście zderzyłem się z tramwajem.

– A w Poznaniu babcia nas odwiedziła w stanie wojennym.

• No bo miała skończone sześćdziesiąt lat i w związku z tym mogła podróżować bez problemu, nawet chyba przekraczając godzinę policyjną. I ona nas odwiedziła w taką mroźną zimę, właśnie w stanie wojennym. Nie zapomnę tego, bo była straszna zamieć, a ktoś dzwoni do drzwi. Otwieram, a tam babcia Janeczka z walizką, a w niej pół świni. Powiedziała w Węgrzynowicach: „Łune tam umierają z głodu, ni majo co jeść. Tam wojna i Niemce. Weź Hala, jedź do Pietrzyka...”.

Pietrzyk, świniobijca, mieszkał w lesie. Bił świnię i parę razy w roku nadjeżdżał furmanką zawaloną kielbasami i mięsem. Jeszcze parującym, na przykład przed Wielkanocą. Boże Ciało przyjeżdżało. I wtedy była degustacja: kawał kaszanki się odkrawało, smakowało i zapijało wódką.

• Przecież Janeczka całą walizkę wędlin wtedy przywiozła, w ogóle się nie bojąc, nic!

W stan wojenny. Myślała, że Poznań to są Niemcy. I bała się tylko, jak się dogada na dworcu i jak nas potem znajdzie.

– A ty Janeczki z początku nie chciałeś.

• Mimo całej mojej intuicji.

– A pamiętasz, jak ostatni raz u niej byliśmy razem?

• Co Edka poznała. No, właśnie tak sobie myślę, że ona Edka tak strasznie zaakceptowała od razu i tak go przytuliła, i tak go ścisnęła.

– Już była ślepa, pamiętam.

• Przyjechaliśmy i czekaliśmy, aż babcia się obudzi. Była dziewiąta rano, śmiało się okropnie. I wszyscy czekali, mówili, że babcia leczy kaca, bo miała urodziny. No i ona już nic nie widziała. Wtedy się dowiedziałem, że ona przeżyła właściwie wszystkie śmierci. Najpierw Staszka...

Staszek bił swoją żonę. Mieszkali na odludziu i mieli nienormalnego synka. Kąpał go w takiej metalowej balii. I on tak walił w ten metal swoimi sztywnymi nóżkami i głową czasem też.

- Potem Halinki.

Halinka to ta z zębami ze złota, kierowniczką zlewni, co się kąpała z babami po nocy w mleku.

- Przeżyła śmierć wnuków. Pawła... Samochód go przejechał czy coś, nie wiem...

Był pijakiem. Nie lubiłam go, bo ciągle mówił: „Pokaż te swoje dokumenty”, i podciągał mi koszulkę do góry.

- Prawnuczki, tej upośledzonej córki Henia...

Henio był spoko. Tylko ciągle prosił, żeby go smyrać po pryszczatych plecach.

– Andżeliki.

Roślinka. Cichutka, bez kontaktu. Błąd lekarza przy porodzie, nie odratowali.

- I jeszcze dziecko Pawła zginęło. No, w każdym razie przeżyła wszystkie pokolenia...

– No i dwóch mężów.

- Szprucha i Duczka. Tak wyciągnęła ręce w moją stronę i ja po prostu do niej podszedłem, to ona mnie tak... Ona była zawsze potwornie silna, miała ręce jak kleszcze. Tak mnie zaczęła ścisnąć, tak mnie przytuliła i tak mnie trzymała, że ja myślałem, że będę miał sińce przez tydzień. I nie chciała mnie puścić.

– A babci odbiór twojego zawodu i sztuki w ogóle?

- Jakoś nie dyskutowaliśmy na ten temat. Chociaż często mnie pytała o różne rzeczy. Ona była szalenie prosta i, że tak powiem, obcesowa. Była na przykład na mojej premierze pierwszej, właśnie w Jaracza, no bo do Nowego nie miała na co chodzić, nie grałem wtedy.

Spektakl składał się z trzech jednoaktówek i mojego nieustannego gadania. I w którymś momencie jednego z moich monologów słyszę ewidentnie głos babci. Najpierw taki nierozpoznany, ale słyszę, że ktoś głośno gada, bo babcia była na dodatek przygłucha. Więc nagle słyszę: „Co łun tak szczeko? Szczeko i szczeko. Inne się pochowały, biorą te same piniondze, siedzą gdzieś tam z tyłu, a łun szczeko i szczeko”. Co oznaczało, że ja strasznie się męczę, dużo pracuję, a biorę

tylko samo pieniędzy co ci inni, co wejdą na chwilę. No ale tak sztuka była skonstruowana.

To było wspomniane przez długi czas z podziwem dla jej oddania. Oczywiście ja nie pytałem, co się jej podobało, ale wiem, że była pod dużym wrażeniem.

– Była też raz w teatrze w Krakowie, w Słowackiego. Zabrała ze sobą patelnię z pierożkami ruskimi z cebulką. Bo lubiła sobie podjeść i nie znosiła być głodna. I w pewnym momencie po prostu to odpieczętowała i pałaszowała ze smakiem, mlaskając. I ten zapach cebulki pamiętam doskonale i oburzenie krakusów w łóżkach.

- No ale też obowiązkowo odprowadzała cię na kółko baletowe czy tam taneczne.

– Małe Łowiczanki chyba...

- Ona cię traktowała jak gwiazdę. Błażeja bardzo lubiła, przede wszystkim uwielbiała jego prawdomówność. Jak wybił zęby...

– Kubie Skierce!

- Ponieważ ten Kuba rzucił jakieś słowo niecenzuralne w twoją stronę...

– I piasku w oczy nasypał.

- To Błażej mu wybił zęba.

– Kuba powiedział mamie, że my go napadliśmy, jak szedł do sklepu. Podarliśmy mu torbę i ukradliśmy pieniądze. I jego mama przyszła, żeby nas zabrać do domu dziecka, bo jesteśmy element. Kradniemy, drzemy torby i wybijamy zęby. A to była mleczna jedynka, co się ruszała.

- Na co babcia do niej powiedziała: „Wyjdz z tego domu, kobieto! Błażysz podły jest, bo podły, ale skłamać, nie skłamać”. I to były święte słowa.

– I mama Kubie Skierki przyszła potem przeprosić Janeczkę.

- Babcia była na pewno osobą niesamowicie waleczną.

– I prawą.

- Ona bardzo mało mówiła. Ale w milczeniu słuchała. Spod oka właśnie, jednego w jednym kolorze, drugiego w innym się przysłuchiwała i potem, jak tasiakiem, cięła jakąś bardzo prostą kwestię. Na przykład o tobie: „Mania? Panie! To dziecko jest mądrzyjsze od człowieka”.

Gotowała też zabielanekę...

– Zalewajkę. I kluski na parze z polewą krówkową.

- To rzeczywiście były wspaniałe smaki. I opowiadała czasami o swoim pierwszym mężu...

– Duczku.

- Jak się zsiusiała w noc poślubną do łóżka.

– Podlała mężusia. Z wrazenia, z miłości, ze wszystkiego. To słynna historia.

- Myśmy oczywiście się zaśmiewali razem z nią. To był dowód niezwyklej więzi. Niespostrzeżenie stała się częścią rodziny, niepasującą do nas pod żadnym względem, a jednocześnie szalenie pasującą, jeśli idzie o jakąś wylewność, werność, lojalność. Na przykład była nieprawdopodobnie punktualna. I nigdy się nie zdarzyło, żeby nawaliła. Po prostu. No, w każdym razie babcia była...

– ...ważną osobą.

- Niezwykle ważną. I w tym okresie moim życiowym w Łodzi, ekstremalnie depresyjnym, myślę, że oprócz wytrzymałości Teresy i nadziei, że to się jakoś skończy, to ona na pewno była stymulatorem pozytywnych przemian. Stabilizatorem, który tę sytuację uspokajał.

Pamiętam, jak byłem w Meksyku i na komunię Błażeja przywiozłem prawdziwego ananasa. Buczek mu szył takie ubranko z aksamitu...

– Nasz sąsiad Buczek?

- Krawiec ciężki męski. I on niestety zgnił.

– Buczek zgnił?

- Ananas, Marysiu. Sfermentował. Babci to nie szkodziło. Ona w życiu czegoś takiego nie jadła. Wzięła go, obrała, pokroiła i zjadła ze smakiem. Ja raczej rzad-

ko się myliłem w swoich instynktach, ale z babcią Janeczką się pomyliłem w stu procentach.

– Ale z brudnymi rękami zawsze coś miałeś, bo przecież pamiętam, że do szkoły na Wąskiej w Krakowie też nie poszliśmy, bo dyrektor miał brudne paznokcie.

• Nie. To było w Poznaniu.

– W Poznaniu chodziło o dentystkę. Nie wiem, jak ty mogłeś mieć kontakt z dentystką, kiedy poszedłeś sprawdzać naszą szkołę.

• Bo ona wyszła z gabinetu i miała ręce śmierdzące kupą.

– Chyba że tak.

• • •

Upadłam na głowę. Dwa razy. Raz w Żabiczkach, gdzie jeździliśmy na niedzielne spacery. Była tam w lesie Chata Wuja Toma – podłódzka knajpka. Dorośli przy stole kończyli pożarskie kotlety, a ja wyszłam przyjrzeć się chmurom. Zamyśliłam się i tak fajt przez murek prosto na głowę.

Widzę, jak Wuj Tom, właściciel, leci z mokrym ręcznikiem i coś do mnie mówi z całkiem bliska, aż mnie jego wąsy smyrają w policzki. I potem wszyscy lecą. Coś mówią przejęci. A ja widzę tylko, jak im się otwierają usta i trzęsą wargi. Ale nie słyszę. Aż tato przyniósł mi Złotej Rosy, taki napój z bąbelkami, i wszystko przeszło.

A drugi raz, kiedy mama była w delegacji i byliśmy sami z tatą. Bawiliśmy się na trzepaku przed naszym blokiem na Teofilowie. I Błazej mówi: „Chodź, siadź mi na barana, zrobimy razem fikołka”. I ja siadłam. A on wtedy hyc, fikołka do przodu. Ze mną na głowie. Tym razem wszystko słyszałam. Ale z kolei nie widziałam. Sąsiadki zaniósły mnie do domu i kazały tacie przyłożyć mi białko na guza. Sie-dział przestraszony i głaskał mnie po głowie. Lubiłam to. A rano już widziałam, tylko na poduszce było dużo włosów. I Błazej powiedział, że to się nazywa skalp.



TO COŚ

– Jesteście z mamą sześćdziesiąt lat, prawda?

• Tak, chociaż znamy się ponad siedemdziesiąt. Poznaliśmy się w przedszkolu, ale parą jesteśmy od sześćdziesięciu lat, od sylwestra w klasie maturalnej. Małżeństwem od pięćdziesięciu.

– Jak to się robi? Bo chyba ciągle się lubicie.

• Tak. Mogę powiedzieć, że się lubimy. I przy całym zużyciu, że tak powiem, części tego silnika, i czasami stukocie, i wrażeń, że on już chyba nie odpali, to dalej działa. Sam się zastanawiam jak. Dlatego że mama nie jest łatwym partnerem, a z kolei ja dopiero jestem trudnym. To jest, wydaje mi się, ciekawy związek. Zwłaszcza że wygląda na to, że jestem jedynym mężczyzną Teresy, to znaczy...

– To dokładnie to znaczy.

• Facetem konsumentem. W tym sensie. A przecież znam mężczyzn, którzy byli zafascynowani Teresą, bo mama była urodziwa. Miała fantastyczną figurę, boskie nogi i piersi, co się od razu rzucało w oczy. I to wszystko było dziewicze, nieskalane. I to oczywiście strasznie facetów pociąga. Ja nie byłem nigdy jakimś wielkim...

– ...Don Juanem.

• Ale byłbym kłamcą, gdybym nie powiedział, że wiele osób sygnalizowało fascynację moją osobą. Część z nich znasz. I teraz sam próbuję uchwycić, co jest istotą tego związku.

Wiesz, jak się ma siedemdziesiąt pięć lat, to pewne reakcje i zachowania partnera są przewidywalne. A jednak mama ciągle funduje mi, od czasu do czasu, kompletnie niespodziewane reakcje. I one się zawsze wiążą z jakąś niezwykłą tolerancją i zrozumieniem. I w tym względzie mama jest absolutnie wyjątkowa.

– Co jest najważniejsze w miłości?

• Mnie się wydaje, że ja nie wiem, co to jest miłość.

– No to w związku.

- Miłością zazwyczaj określa się coś, co jest szalenie efemeryczne, nieobiektywne, mianowicie namiętność. Namiętność, która jak burza szybko przychodzi i wtedy ludzie są wspaniale nienormalni, obłąkani i nieodpowiedzialni.

– A nie jest tak, że to funkcjonuje falami?

- Ale te fale są, powiedziałbym, coraz słabsze. I to jest normalne. Nawet nie chodzi tu o jakąś trwałość seksualną, erotyczną, tylko jednak pewną przewidywalność. Zna się już na pamięć ciało, odruchy i tak dalej. Chociaż dla mamy seks zawsze był jakiś wyjątkowy, czasami szokujący. Jednak ja byłem doświadczonym facetem. Mogę powiedzieć, że w momencie, kiedyśmy się spotkali fizycznie, byłem już...

– Oblatany.

- Oblatanym młodzieńcem byłem. Tak. A mama ma w sobie coś czystego, coś niezbrukanego i to jest nie do przecenienia. Chociaż oczywiście czasami doprowadza mnie do szału.

– Mówisz, że byłeś już oblatany, jak się z mamą zakochaliście. Możesz mi opowiedzieć, jak się pierwszy raz w życiu kochałeś? Fajnie było?

- Sam fakt, że tak powiem, seksualnego aktu nie był jakiś ciekawy. Natomiast przygotowania, ten cały wstęp, nieprawdopodobnie rozgrzawkowana preparacja, drżenie. To było super.

– To była starsza kobieta czy młodsza? Kto to był?

- Równolatka. Potem się starsze kobiety zdarzały. Ale jak już poznałem Teresę i im dłużej się znaliśmy, to okazało się, że nie jestem kochankiem, który by bił ilościowe rekordy. To mnie kompletnie nie interesuje.

Odkąd jesteśmy z Teresą, wiem, że przeżycie erotyczne wymaga również innych kontekstów – ufności, intymności, której przy byle jakiej znajomości się nie uzyskuje. I to wszystko potem było średnio ekscytujące.

– A monogamia jest ważną rzeczą w związku?

- Nie wydaje mi się, że to jest naturalne. Tak jak celibat. To absolutnie nie jest naturalne. Raz pamiętam, przeżyliśmy taką prywatkę robieraną...

– Ten grupenseks? Słynna historia!

- To nie był grupenseks. Po prostu chodziliśmy w czwórkę na golasa, gospodarz podawał koniak czy tam szampana, już nie pamiętam, co tam w komunie było...

– Czy to było u ulubionego wujka Andrzeja, co grał Koziołka Matołka?

- Tak, u Koziołka Matołka. I to było jakieś swobodne, pamiętam, i w wannie. Mama potem mi powiedziała, że oprócz członka swojego taty, którego kiedyś zobaczyła, jak poszedł siusiu, to był pierwszy...

– ...inny.

- Inny członek. I zobaczyła go pierwszy raz. I widziałem, że była tym szalenie podekscytowana. Ale tam nic się nie działo w sensie...

– ...akcji.

- Grupenseksu, absolutnie, co zresztą wtedy było modne, ale nie. Już nie pamiętam dokładnie, ale ja chyba wtedy zupełnie wprost powiedziałem: „Spróbuj. Spróbuj innego mężczyzny”. Dla mnie to było pozbawione pruderii i jakiegokolwiek prowokacji. Tak myślałem i myślę tak po dzień dzisiejszy.

– Ale mama z jakichś powodów nie chciała.

- Zdecydowanie nie chciała i nawet się przez moment, podejrzewam, czuła urażona, że ją namawiam. A ja po prostu wychodzę z założenia, że nigdy do końca siebie nie znamy. I naprawdę zakładałem taką możliwość, że inny mężczyzna, być może, by ją kompletnie inaczej, ciekawiej na przykład, zaspokoił. Bo jednak seks jest szalenie egocentryczny. Wydaje mi się, że ten okres namiętności był u nas jakiś szalony. Do dziś wspominamy ze śmiechem, wiesz, poparzenia w porzrywach, komary, co gryzły nas w tyłki, niewygody, teść w gaciach, co nas zaskoczył. Nasz seks był...

– Wolny?

- ...swobodny. I było go dużo. Wielu rzeczy w ogóle mama doświadczała, nie wyobrażając sobie, że one mogą mieć miejsce, i bardzo dyskretnie dawała znać, że tego nie. Na przykład nie lubiła miłości francuskiej. Więc ja musiałem być zawsze tą stroną operatywną, aktywną. Jakieś apogeum było w Bułgarii. Wiesz, kli-

mat i tak dalej. Dzień i noc kochaliśmy się na okrągło. Aczkolwiek na przykład pierwsza nasza noc, pierwsze doświadczenie...

– W akademiku.

• ...dla niej bardzo ważne, odbyło się na łóżku piętrowym. Ona na dole, na górze koleżanki, ja zestresowany. To było w gruncie rzeczy nieudane. Ale potem szczęśliwie odkorkowało i było wspaniałe szaleństwo przez wiele, wiele lat.

To zabrzmi może okropnie, ale wierność mamy mnie nigdy nie przewiercała. Ja naprawdę uważałem, że gdyby się na przykład zdecydowała na doświadczenie innego mężczyzny, to być może to by nas jeszcze mocniej scaliło. Albo by spowodowało jakąś dyskusję, może inny pogląd. To wszystko na marginesie, że życie jest jedno, prawda?

– Tak.

• No ale normy uczciwości wobec siebie ja niestety naruszałem.

– A ten brak wierności to były przygody zmysłowe czy zdarzało ci się zakochać w kimś?

• Nie. Ja bym sobie z tym nie poradził.

– Nie mówię o zauroczeniach, które się zdarzają, ale o czymś poważniejszym.

• Nie. Flirty tak, dziesiątki granicznych sytuacji, ale zdecydowanie nie było w tym miłości.

– A mama? Czy jak to się działo, to myślisz, że cierpiała? Bo teraz po latach rozmawiamy sobie o tym z wdziękiem i to wręcz ma spory urok. Ale wtedy? Przecież musiała sobie zdawać sprawę, jest zbyt inteligentną osobą.

• Mama jest jakimś nieprawdopodobnym sejsmografem tego typu ruchów...

– No właśnie!

• I wszystko widać na jej twarzy. Więc doskonale wiedziałem, kiedy sygnalizowała: „Zbliżasz się do bardzo niebezpiecznego momentu i będzie mi z tym źle”.

– Czyli stawiała granice.

- Tak. I ja to wyczuwałem. Po prostu mama ma taką właściwość, że nie jest w stanie ukryć tego, co się w niej dzieje.

– Czyli jeżeli nie przekraczałeś, jak rozumiem, granicy cierpienia, wykazywała się tolerancją, natomiast kiedy się do tego punktu zbliżałeś, to reagowała?

- Tak. Aczkolwiek zdarzyły się pewne sytuacje, które były dla niej drastyczne. I kiedy je obwieszczałem, to bardzo się z tym mocowała i na pewno cierpiała. Ale przetrwaliśmy. Mama jest w tym względnie heroiczna.

Gdyby Teresa mi coś takiego zrobiła, to nie wiem, jak bym się zachował. Choć u mnie się rany jak na psie goją. W tym względnie jesteśmy chyba wspólni. Tak myślę.



– A bywałeś zazdrosny o mamę?

• Nie. To jest okropne, że ja, wystawiając ją na dziwne próby, sam byłem po prostu jej pewien.

– A co byś zrobił, gdybyś się dzisiaj dowiedział, że to, co jest dla ciebie oczywiste, wcale takim nie jest?

• Że miała romans?

– Być może. Albo że były rzeczy, które w ogóle by ci do głowy nie przyszły. Siedzisz tutaj przede mną i opowiadasz mi, że jesteś mamy pewien...

• Ale hipotetycznie mówimy?

– Może. Może pewnych rzeczy nie mogę ci powiedzieć. Ale ciekawi mnie, jak byś zareagował. Czy byłbyś zazdrosny, zraniony?

• Nie. Myślę, że byłbym...

– Mile zaskoczony?

• Dziwnie zaskoczony, ale też nie czułbym się komfortowo, w końcu ja jej jednak powiedziałem. Nie rozumiałbym wtedy wielu reakcji mamy.

– Czyli można powiedzieć, że czystość waszego związku polegała i polega przede wszystkim na tym, że jest on absolutnie uczciwy?

• Jawny, tak bym powiedział.

– Jeśli się coś dzieje, to się o tym mówi, nawet jeśli to rani partnera.

• Tak.

– I nawet jeśli to jest bolesne, to nie ma podpierdalania.

• Tak. Zamiatania pod dywan, ściem. I myślę, że to jest strasznie ważny element związku.

– Uczciwość, która nie wyklucza bycia okrutnym, tak?

• Tak. Przy czym w uczciwości, o której mówimy, zawiera się... No, nie chcę nazwać tego zdradą, ale odstępstwo. Pod warunkiem, że zostanie ono ujawnione.

– Hmm... Ciekawe.

• • •

– Jak się dowiadywałeś tych rzeczy, będąc chłopcem? Przecież twój ojciec nie rozmawiał z tobą o seksie.

• Nigdy. Ale mama też nie.

– Karola też nie? Babcia wydawała się osobą bezpruderyjną.

• Tak, ale nie mówiła o seksie czy erotyce w ogóle. To jednak było tabu. Tego się nie tykało.

Dla mnie podstawowym przeżyciem, jeśli chodzi o brak pruderii, była kąpiel z dziadkiem Stefanem we Wkrze w Zieluniu. Dziadek się rozebrał do goła, bo zapytał mnie, czy się pójdziemy wykąpać po pracy w sadzie. Ja mówię, że chętnie. Od dziecka pływałem. Pamiętam, że był zachód słońca, taki absolutny kicz: czerwona kula, Wkra, przepiękna nizinna rzeka, łódki. I dziadek po prostu się rozebrał i spojrzał na mnie. Pamiętam, że ja byłem po lewej stronie. I wtedy pierwszy raz zobaczyłem...

– ...nagiego mężczyznę.

• Nawet nie chodzi o to, że nagiego, tylko że... No, fajfusa zobaczyłem! Że jest większy, że...

– Włochaty.

• No wiesz... Mimowolnie człowiek zwraca uwagę na miejsce, które zawsze jest zakrywane. I że jest pełno kudłów. To wyglądało o tym zachodzie, jakby było wymalowane węglem. No i tak się zagapiłem i zostałem oczywiście w spodenkach... W takich jakichś, nie wiem, co tam miałem, przecież nie było kąpielówek. I dziadek zaczął się śmiać. Klepnął mnie. Ściągnął mi te gacie i pchnął do wody. I pamiętam jakąś dziwną mieszankę, że zobaczyłem gołego faceta, że sam jestem goły...

– I że to jest fajne.

- Że to jest super.

– A swojego ojca nigdy nie widziałeś nago?

- Nigdy.

– A jak szliście siku na grzybach w lesie?

- To tyłem się odwracał. Może widziałem strumień moczu. Ale to w ogóle nie wchodziło w grę. Coś ty!

– A babcia Karola z jej taką, można powiedzieć... Jak to nazwać?

- Otwartością?

– Też, ale... Jest takie słowo, teraz mi uciekło.

- Dezynwolturą?

– Prostsze...

- Witalnością.

– Jeszcze coś innego... No że: „Dupa nie jest z mydła, nie wymydlisz się”...

- Ale to zawsze były jednak tylko słowa.

– A ją widziałeś nagą?

- Piersi widziałem. Ogromne karmiące piersi.

– A jak rodziła w domu?

- Porody to była akustyka. Trudne to były porody i słyszałem tylko krzyki, ale zawsze w drugim pokoju. Pamiętam, jak się urodziły Marlena i Ela. Był tylko rok różnicy między nimi. I mama do trzech lat karmiła, a one dały się na wrywki. I mama jedną do cyca, drugą do cyca. I pamiętam dzień, już byłem dorosłym młodzieńcem, licealistą. Mama karmiła wtedy jeszcze też chyba Bogdę i te dwie. I ja powiedziałem: „Daj się napić”. I zobaczyłem ogromną pierś z takimi żyłkami niebieskimi. Nacisnęła, to mleko zaczęło lecieć i po prostu się napiłem. Pamiętam do dziś ten smak. Napiłem się i to było wodniste, bardzo słodkie i pyszne. Lata-

łem z butelkami mleka, roznosząc je po Andrychowie do matek niekarmiących, które nie miały czym.

– Babcinego mleka?

• Tak. Mama pomagała, bo miała strasznie dużo pokarmu. Dzieci nie były w stanie tego przejeść.

– A ty do którego roku życia piłeś?

• Minimum do trzeciego.

• • •

W czasach łódzkich byliśmy też pierwszy raz maluchem w Bułgarii. U baby Spasiji, która mieszkała przy granicy tureckiej. Miała grube pięty spękane jak ser i podobnie pachnące. Zakradaliśmy się podglądać je w czasie sjeisty. Chrapała tak głośno, że się trzęsły szklanki w kredensie. Piliśmy wino do obiadu jak dorośli i było tam super. Albo jechaliśmy na wieś bułgarską do koleżanki mamy ze studiów, Magdy Bułgarki. Tam jedliśmy kwaśne mleko z bawolic krojone w plastry, a babcia Magdy ugotowała raz zupę z węża, którego przejechał nasz maluch.

• • •

• Seksualności uczyło się na podwórku z kolegami. Pamiętam na przykład, miałem takich kolegów Dworników. Dwaj bracia. Rysiek był starszy, w moim wieku. Potem mówiło się, że ten Rysiek zabił swojego ojca. Od nich na przykład pierwszy raz się dowiedziałem, co znaczy „pedał”; że to jest ktoś, kto sobie własnego kutasa wsadza. I ja pamiętam, że dłuższy czas wyobrażałem sobie, jak ten facet zawija tego swojego i sobie wkłada. I że oni się strasznie śmiali.

Pamiętam też Żywiołów, Kazka i Tadka. Mieszkali po drugiej stronie ulicy. Kazek, młodszy brat, bardzo uroczy chłopak, a Tadek, starszy, miał liszaje, takie tutaj jakieś coś... I właśnie Kazek przyleciał kiedyś i mówi: „Chodźcie! Chodźcie! To zobaczycie, bo Tadek może mieć już dzieci”. I wdrapaliśmy się na wielki stóg... To była fura z sianem przy łaźniach w Andrychowie.

– Gdzie?

• No, miejska łaźnia, gdzie Czeszka, pani Pękalowa, myła te wanny. I myśmy tam co sobotę mieli wynajęte dwie godziny. Cała rodzina szła przez ulicę się

kapać. Bo przecież nie było łazienek i wanien w domu.

I tam, na tym stogu, żeśmy byli, i ten Tadek po prostu walił konia. Normalnie się masturbował, a my jak sroki w gnat żeśmy się patrzyli. Ja, Kazek Żywioł i Jasiak Gustafiak patrzyliśmy się, jak on tak: „Już, już, już!” jęczał, aż coś tam wyszło, parę kropelek, i on wtedy: „O! To jest to. Mogę już mieć dziecko!”. Taka była edukacja.

Były też „świnki”. „Świnki” to było miejsce, gdzie się handlowało świniami. Raz w tygodniu na placu Targowica w Andrychowie nad Wieprzówką. Stały tam boksy, gdzie myśmy się uwielbiali bawić. Były podchody, partyzantka, przez takie z bali drewnianych płoty i tam świnie normalnie były. I trzeba było tak uciekać, żeby nie wpaść w to gówno świńskie, które tam było przez tydzień. No ale się w to gówno wpadało i to nam nie przeszkadzało. I raz Zośka, chyba Cyganka, już nie pamiętam, bośmy mieli wtedy po pięć lat, przybiegła ze strasznym płaczem, że jakiś kumpel, już nie pamiętam, kto to był, nasikał jej...

– Do psitki?

• Do psitki jej nasikał i że będzie miała z tego dziecko. I ona w rozpacz, oczy spuchnięte, płacz; my w tych gównach cali i debata. Debata, jak to jest, że jak jej naszczał, to będzie dziecko. No taka była, Marysiu, edukacja seksualna! Przecież ani w gazecie, ani w telewizji, bo było dwadzieścia minut programu tylko; kawałek kroniki i kawałek baletu sowieckiego. Koniec.

– A z kina z filmu o miłości cię folksdojcz wyrzucił. A to, że miałeś tyle siostr? To nie było pomocne?

• Ja ich nie cierpiałem, bo musiałem chodzić z nimi na spacer... Poza tym były dużo młodsze, więc w tym względzie mało przydatne. Ja się nawet nie bawiłem w doktora. Pamiętam, że w doktora bawiła się Teresa. Opowiadała, jak Krysi Okrzosównie, córce sąsiadów, którzy mieli owce, wsadzali piórko do dupy.

– I?

• Gęsie takie i zaklejali plastrem. I kazali jej to piórko trzymać. No i to były jakieś ekscesy, słuchaj. One były groźne. Te pielęgniarki. Ale ja w tym nie uczestniczyłem. Znam to tylko z opowieści.

• • •

• To było w klasie maturalnej. Ja uwielbiałem z Teresą tańczyć i wtedy już, że tak powiem...

– ...coś iskrzyło.

• Przede wszystkim rozstałem się z Marzeną.

– Marzena to kto?

• Marzena Karmowska, koleżanka z klasy. Miała takie mięsiste usta. Już nie żyje. I pamiętam, że na którymś z takich wieczorków...

– Dla nas to oczywiste, ale musimy powiedzieć, że wy z mamą chodziliście do jednej klasy w liceum.

• Tak, ale najpierw do jednej grupy w przedszkolu. I podobno, kiedyś, jak miałem sześć lat, wróciłem do domu i powiedziałem: „Ze wszystkich dziewcząt w przedszkolu najbardziej odpowiada mi Teresa i ja się z nią ożenię”. Do podstawówki chodziliśmy osobno, bo nie była koedukacyjna. Mama chodziła do żeńskiej szkoły, ja do męskiej. W liceum się znowu spotkaliśmy.

– I w jednej klasie byliście wy i ta Marzena?

• Tak, w licealnej. Marzena Karmowska, córka pani dyrektor Domu Kultury. I ja po prostu jakiś czas z nią chodziłem. I fajnie było, całusy, przymacanki...

– Ale się z nią rozstałeś.

• Bo ona zadała mi pytanie: „No to się zdecyduj. Czy ja, czy Teresa?”.

– No i się zdecydowałeś.

• A ja z Teresą nie jakoś tak na poważnie wtedy. Myśmy sympatyzowali, bo uwielbialiśmy razem tańczyć. Domy się znały, my znaliśmy się z przedszkola. Ale w liceum ona miała mnóstwo absztyfikantów. Mieliśmy klub trzynastu. No, takich naprawdę wybranych osób, które się same dobrały w liceum. Poezję żeśmy własną czytali. Był tam Maurycy, czyli Janek Pietras, który się strasznie w mamie kochał, pisał dla niej wiersze i malował jej portrety. Wiesz, ten obraz z przedpo-koju.

– Edek uwielbia ten obraz.

- To był sylwester i ja już się wprawdzie z Marzeną rozstałem, ale pamiętam, że wtedy na zabój na mnie leciała Maryśka Kuźmówna. Do dziś jak mnie spotka, staruszka, to wspomina. Była też Wiesia Babik, nazywaliśmy ją „Wiewiórka”, która bez przerwy chciała się ze mną całować z języczkiem. Fajne uczucie dla chłopaka, który, wiesz, no, najzwyczajniej w świecie ma powodzenie. I na tym sylwestrze byliśmy w zamku andrychowskim Bobrowskich; w jednym skrzydle, którego część zajmowała rodzina Adamczyków. To byli nauczyciele, rodzice Basi Adamczyk. I oni urządzili...

– Sylwestra dla młodzieży.

- Kazek Mądry, mój przyjaciel, robił wybuchy, spalił firany, no, afera. To był czas rock’n’rolla. Szał, przerutki, no wiesz... Mama miała szpilki, pamiętam jak dziś: czarne z obrączkami z przodu, wysokie. Więc tańczyło nam się po prostu cudownie. Spoceni i tak dalej.

Prawdę mówiąc, to się stało przypadkiem, gdzieś nas zaniósł. Takim korytarzem, pamiętam, w lewo do jakiejś sali. Ciemno jak w dupie, tylko z zewnątrz światła. Śnieg padał, no i pełno materacy. I ja sobie myślę: co mi tam, zemdleję. Wiesz, bliskość ciał, spoceni, zdyszani. Jeb na materac, zemdlałem. I nic się nie odzywam. I sposób...

– ...ratowania.

- ...a raczej reakcja Teresy, nagle uzmysławia mi... Chociaż wiedziałem, że tam wcześniej był Kazek Szczepański, który za nią szalał, że był Maurycy, że ona ma powodzenie. Była superdziewczyną i czułem, że jest mi fajnie w jej towarzystwie, ale nie był to obiekt pożądania jakiegoś. Aż tu nagle sposób, w jaki zaczęła mnie cucić... Skala przestachu, ten dotyk. Wszystko mi uzmysłowiło, że tu nie ma żartów. Że tu jest coś więcej. Przecież to się rozróżnia. Nie pamiętam konkretnych słów, zachowań, ale to było tak silne, tak bliskie i takie czułe, jakby nagle zemdlał ktoś najukochańszy. Może nawet Teresa nie ma tego tak w pamięci...

Prawdę mówiąc, w pierwszym momencie struchlałem. Oczywiście nie budzę się, mimo że to wszystko rejestruję. Ale nie było też tak, że od razu, wiesz, korzystam z sytuacji i buch w materace. Upłynęło sporo czasu. Chyba do tego stopnia, że dopiero jakoś wiosną na jednym z wieczornych spacerów przy stawie Anteciego...



– Pokazywaliście mi to miejsce. Taka studnia.

- Przy tej studni. „Stankowa studnia” się to nazywa. Była wiosna i Teresa zapytała, co ja myślę. Co i jak? I ja wtedy powiedziałem chyba coś bardzo poważnego. Że tak.

– Ale wtedy wiedziałeś, że będziesz z mamą całe życie?

- Myśmy się znali od lat. Natomiast nagle stało się coś takiego niesamowitego i już nie było odwrotu, jakby się samo zdecydowało. To coś.

– To coś.

• • •



– Myślisz, że seks to ważna rzecz w życiu człowieka?

- Podstawowa. Ale też zgodność i radość z niego. Szaleństwo, a nie jakiś, wiesz, obowiązek. I wydaje mi się, że myśmy z mamą potem popadli w pewien szal. A ponieważ mama była osobą...

– ...bezpruderyjną.

- Absolutnie, ale też dziewiczą i dopiero poznającą świat erotyki. To było dla mnie cudowne po prostu patrzeć, jak jej ciało jest szczęśliwe, i dostarczać czegoś takiego. To było świetne.

– A jak to ukochane ciało się zmienia, przemija szaleństwo namiętności, czy to jest bolesne? Jest w tym smutek?

- To zwyczajnie mija, u jednych wcześniej, u innych później, u mnie chyba wcześniej. Ale też, jak mówi Teresa, po prostu się wyprztykałem. Siałem, siałem, aż wysiałem. Nie mam z tym problemu, że to przemija. Problemem oczywiście jest mama. Bo mama, w przypadku jednego faceta, może mieć...

– Niedosyt.

- Po prostu. I chciałyby jeszcze. A ja nie zamierzam się ani szpikować jakimiś tam specyfikami, ani przymuszać. Ja to traktuję absolutnie swobodnie, prosto. Pewne rzeczy przemijają i do widzenia. Ale na przykład zmarszczki, zwiotczałe ciało, wiszące pośladki nie mają dla mnie znamion abominacji, wręcz przeciwnie.

Zawsze mamie powtarzałem, że to dla mnie kompletnie nie ma znaczenia. Raczej rozczuła mnie ta walka kobiet i patrzę z czułością, jak wklepują te tony kremów. Ja z nimi nie dyskutuję, bo się na tym nie znam. I walczą! Walczą o brak zmarszczki. A dla mnie starzenie się jest normalne, wzruszające. Dlatego na przykład źle znoszę farbowanie mamy. Teresa ma piękne wiotkie włosy w swoim kolorze. I po prostu chcę ją taką, jaka jest. Z taką, jaka jest, chcę iść przez życie.

– Czy zmysłowość się wypala dlatego, że energia w człowieku po prostu się kończy? Czy to jest tak, że ciało, którego pożądałeś, się zmienia albo się nim nudzisz?

- Nie. Ciało nie. Natomiast zachowania. Mama mówi, że cierpi od braku dotyku. I to bez sensu, bo myśli, że ja generalnie chcę się od niej oddalić. Nie. Jak na przykład wyjeżdżam, to od razu za nią tęsknię. I bardzo chciałbym ją przytulić, dotykać, być blisko.

– Rubaszność! Kurczę! Tego słowa mi brakowało, jeśli chodzi o Karolę!

- Tak. Ale rubaszność to był sposób na wypełnienie luki, a takiego sensualnego, erotycznego uwolnienia brakowało. Ta rubaszność to było uzupełnienie. Mat-

ka była zawsze, moim zdaniem, absolutnie wierna ojcu...

– A dziadek myślisz nie?

• Moim zdaniem dziadek też był wierny. Aczkolwiek jeśli ktoś kogoś zdradził, to na pewno ojciec matkę, a nie odwrotnie.

– Dlatego te opowieści były takie nad wyraz.

• I takie liczne. To była jakaś dziwna psychiczna rekompensata. Zwłaszcza że wiedziała, że jest niezwykle atrakcyjną kobietą i że mężczyźni za nią szaleją. I to nie byle jacy mężczyźni, tylko najpiękniejsi w Andrychowie. Nie ułamki zezowate, garbate, kulawe, tylko po prostu atrakcyjni...

– ...Żydzi z Piątej Alei. Bo najwięcej historii o babci podbojach było z czasów jej saksów w Ameryce. Kiedy pływała „Batorym” lepić pierogi w domach bogatych Amerykanów.

• I to by się zgadzało. Dodawała sobie animuszu, będąc ciężko pracującą matką sześciorga dzieci, która jednocześnie przeżyła jakąś nieprawdopodobnie silną namiętność w okresie wojny. I miłość.

• • •

– A u nas w domu było inaczej. Chodziliście przy nas na golasa od zawsze. Nagość nie stanowiła problemu. Jak myślisz, jak to się stało?

• To była chyba odpowiedź na tamto. Na tamte domy takie spętane. Myśmy poszli o krok dalej. Mama oczywiście przejęła to ode mnie, a ja skąd? Nie wiem na przykład, jaki wpływ na mnie miała awangarda. Chyba zasadniczy. Byłem chłopcem z prowincji, z tak zwanego dobrego domu, i awangarda... Mówię o jej sile burzenia, o sile prowokacji! Nie chciałbym tego fałszywie przeceniać, ale w myśleniu teatralnym to było kluczowe. A czy myślenie teatralne jest oderwane od myślenia w życiu?

– No nie.

• Jedno i drugie się ciągle przenika. Ale mimo że nie mam się czego wstydzić i wielokrotnie występowałem całkiem nago na scenie, zawsze mam z tym problem. Nie jakiś wielki, ale jednak.

– To jest naturalne, wydaje mi się.

- Czy ja wiem, czy naturalne, dlaczego? Wiem, że jestem świetnie zbudowany. A i tak wszyscy, i mężczyźni, i kobiety, patrzą w to jedno miejsce. Jaki jest długi, jaki szeroki, jaki po prostu jest. I to jest irytujące. Oczywiście mówię o naszej polskiej mentalności, ale też o tym wyniesionym z domu tabu. Że to jest coś przykrytego, niepublikowanego. Nie mam takiej jawności totalnej, mimo całego doświadczenia awangardy i pomimo mojej psychicznej tendencji do neglizmu.

– I do przekraczania.

- Do przekraczania i prowokacji.

– Jeden z naprawdę fantastycznych obrazów z dzieciństwa, jaki mam, takich wiesz, totalnie beztroskich, jest goły właśnie, z Łodzi. Jest już bardzo późno, a my z Błażem rozrabiamy i szalejemy w naszym pokoju. Wy już w łóżku, a raczej w łóżkach, bo przecież wasza sypialnia była tak mała, że nie mieścił się podwójny materac i mieliście łóżko piętrowe. I ty przychodzisz do nas już któryś raz i mówisz: „Macie się natychmiast uciszyć!”...

- Tylko że jestem goły.

– Tak! Golusieńki, ale chcesz być groźny. I za każdym kolejnym razem strasznie się starasz być poważny, ale ci się nie udaje, bo my cię rozśmieszamy, ale starasz się trzymać. W końcu przychodzisz z pasem w rękę, ale dalej goły, i mówisz: „Zamknąć jadaczki!”, a my w śmiech, bo to zestawienie nagości z pasem jakoś w ogóle nie jest groźne. Zwłaszcza że widzimy, że ci się wszystko od tego powstrzymanego śmiechu trzęsie. A najbardziej fajfus i jajka.

JAJKA

– Powiedziałaś kiedyś: z jajkiem trzeba побыć. Możesz to rozwinąć?

• Jajka, obojętnie w jakiej formie, nie wolno opuszczać. Czasem sekunda nieuwagi powoduje, że jajko zmienia totalnie swoją konsystencję, strukturę, charakter, a więc i smak. Na przykład mama powiedziała ostatnio w niedzielę, że jajka sadzone, które uwielbiam i umiem robić, mi nie wyszły, bo były za bardzo spieczone. W związku z czym w ogóle nie były podobne do jajek moich. Jajko ma się ruszać. Ja osobiście lubię półsurowe, ale są ludzie, i to rozumiem, którzy...

– ...nie tolerują gila.

• Właśnie. Tajemnicą jest sposób rozgrzewania patelni. Ja osobiście preferuję masło klarowane i to masło nie powinno się spiec. Natychmiast trzeba zmniejszyć temperaturę, bo jajka powinno się robić na nieostrym ogniu. Wtedy ono cały czas zachowuje konsystencję jajka. Białko jest ścięte, a żółtko ciepłe, ale surowe.

– Mówimy oczywiście ciągle o jajku sadzonym?

• Tak. Jeśli chodzi o jajecznicę, to nie trawię jajecznic, które są wcześniej rozbijane w misce, na dodatek z mlekiem.

– Albo ścięte.

• To już w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jajecznicę robię jak sadzone. Po prostu wrzucam jajka i one się właściwie robią jak sadzone, i dopiero w ostatniej chwili, zmniejszając ciągle temperaturę, mieszam tak, żeby żółtka miały charakter płynny i zmieszały się ze ściętym już białkiem. No oczywiście sól, pieprz, a jak ktoś lubi – cebulkę. Ja tam dodatków nie lubię.

– A jajko na miękko? Jaka jest twoja technika?

• Jajka mają okropnie zmienną naturę i czasami pękają, jak się je daje na wrzątek. Więc ja wolę zimną wodę albo letnią. Jajka nie znoszą szoku. Nie lubią być przenoszone z zimnego do ciepłego od razu, tylko muszą się oswoić. Pobyć chwilę w letniej wodzie, jak się je z lodówki czy ze spiżarki wyjmuje. No i jestem przy nich. Cały czas. Jak się tylko zagotują, czyli pierwsze bąble, zmniejszam

ogień, tylko żeby troszeczkę się gotowało. I nieprawdą jest, że całe *Zdrowaś Mario*. To absolutnie za długo. Najwyżej do: „między niewiastami”. Dosłownie chwilę. Uważam, że niedogotowane jajka są lepsze niż przegotowane.

– Ktoś cię uczył, jak się te jajka robi?

• Nie.

– Więc to jest twoja własna technologia?

• To jest moja, że tak powiem, intuicja.

PSITKI

– U nas w domu zawsze było dużo homoseksualnych osób, prawda?

• Tak. To byli często najbliżsi przyjaciele domu. Od zawsze. Marek Barbasiewicz ze swoim wieloletnim partnerem Włodkiem, Igor Przegrodzki, Erwin Nowiaszek, który fenomenalnie grał Marlenę Dietrich. Znajdowali u nas schronienie i akceptację, a my wspinałych, lojalnych znajomych, którzy zresztą często się wami opiekowali. To były głębokie więzi. Ja tych ludzi uwielbiam i podziwiam.

– A z mamą się przyjaźnili?

• Mamę po prostu uwielbiali! Igor, który po narodzinach Błażeja chodził ze mną po desach, żeby wyszukać brylant, bo syn to brylant, a jak się pojawiłaś ty – szmaragd. A potem po pracowniach krawieckich, gdzie wyszukiwał materiały specjalnie dla Teresy. A zaczęło się od totalnej nienawiści, jak mama się po raz pierwszy pojawiła na mojej premierze. W takiej ultranowoczesnej turkusowej sukni z aksamitu. Wtedy maxi, do kostek, czy tak do pół łydki. To był jakiś szok we Wrocławiu.

– No bo były mini wtedy, nie?

• No tak! I miała jeszcze buraczkowe lakierki od Diora. On dostał szału. Pamiętam, jak krzyczał po garderobach: „Co za bezguście! Jak on może się z kimś takim zadawać!”. A ja wiedziałem, że za chwilę się w niej zakocha i że będzie koniec.

To był czas we Wrocławiu, kiedy działał Teatr Laboratorium Grotowskiego i przyjeżdżał cały Zachód. Tłum osobowości artystycznych. Ale przede wszystkim była pantomima Tomaszewskiego, czyli świat bogów. Nawet nie homoseksualnych facetów, bo to byli po prostu zjawiskowo piękni ludzie. Ja chodziłem do nich na treningi, ćwicyłem z nimi do spektaklu Tomaszewskiego.

– A ty się kochałeś kiedyś z chłopakiem? Miałeś przecież niewiarygodne powodzenie. Nie wydaje mi się to niemożliwe.

• Było mnóstwo prowokacji, zawsze. Na przykład taki jeden Andrzej, który powiedział Iwonie Bielskiej, zresztą w dniu jej ślubu z Mikołajem Grabowskim, że ja jestem kochankiem Mikołaja.

– I że przez lata trwały ta wasza miłość i romans.

- Zresztą ten sam Andrzej, wcześniej we Wrocławiu, łapał mnie za rozporek. Ja się o tym dowiedziałem ostatnio od Teresy, której Iwona zwierzyła się na jakiejś imprezie, pytając, jak Teresa sobie z tym przez tyle lat radziła: że Janek z Mikiem.

– Ale nigdy ci się to nie wydawało możliwe?

- Możliwe mi się wydawało. Absolutnie. To mogło się wydarzyć. Było mnóstwo sytuacji sprzyjających, dotykalskich. To nie stanowiło problemu. Na pewno była cała masa sytuacji, w których, gdyby je sfilmować, to ewidentnie sugerowałyby relacje homoerotyczne. Na przykład objęci, przytuleni mężczyźni. W ogóle wtedy był czas, że wraz z uwolnieniem obyczajów, przekraczaniem granic pojawiła się prowokacja, wolna miłość, wszystko wibrowało.

– Ale nigdy ci się to nie wydawało ciekawe? Jak to jest?

- Samą sferą erotyczną nie jestem jakoś ostatecznie zaciekawiony. Natomiast na pewno mogę powiedzieć, że mam taką cechę, że strasznie łatwo... Teraz już rzadziej, ale jeszcze do niedawna ulegałem silnym fascynacjom.

– Ja też to mam!

- I po prostu: Boże! Co za człowiek! Na odludziu, gdzieś na jakimś zadupiu prowadzi taki Dom Kultury... Jadę tam! I wszystko bym mu oddał! Wszystko!

Ale też zmysłowość, erotyka, to jest dziwna sfera. Sam akt finalny, który uważany jest za zdradę albo za przekroczenie granicy, jest tak naprawdę mniej istotny od tego wszystkiego, co jest przed, gdzie buzuje wyobraźnia. Tam jest potrzeba niezwerbalizowanych zachowań. Nawet nie dotyków, tylko domysłów. Jakaś dziwna mieszanka. Moim zdaniem tam się czai zdrada. Jak daleko chcesz zejść? A bardzo często jest tak, że mężczyzna zdradza, nie konsumując. To konsumowanie jest w gruncie rzeczy...

– Takie biedne, nie?

- Mnie się to zawsze, przepraszam bardzo, kojarzyło z samotną masturbacją. Że to jest trochę takie bicie konia w towarzystwie pochwy. Czy tam ust faceta na przykład. Że tak naprawdę to jest dość...

– Smutne?

- Powiedziałbym nawet: okropne.

– Czyli że zdrada wydarza się bardziej w sferze emocji?

- Mentalnie. Absolutnie. I jak tam przekraczasz, to jest bardzo dziwnie, bo za to nie bierzesz odpowiedzialności.

– No ale to w sumie jest super, nie?

- No właściwie jest się bezkarnym. Możesz, za przeproszeniem, spuścić się, nie wykonując tego ruchu w pochwie czy w ustach faceta, tylko po prostu wystarczy ci kilka dotyków, przytuleń, może pocałunków takich niezobowiązujących i masz mokro w spodniach. I masz to samo. Więc ta kategoryzacja, ta systematyzacja ludzka, która doprowadziła do podziału, że dotąd można, a tam już nie można, jest bez sensu.

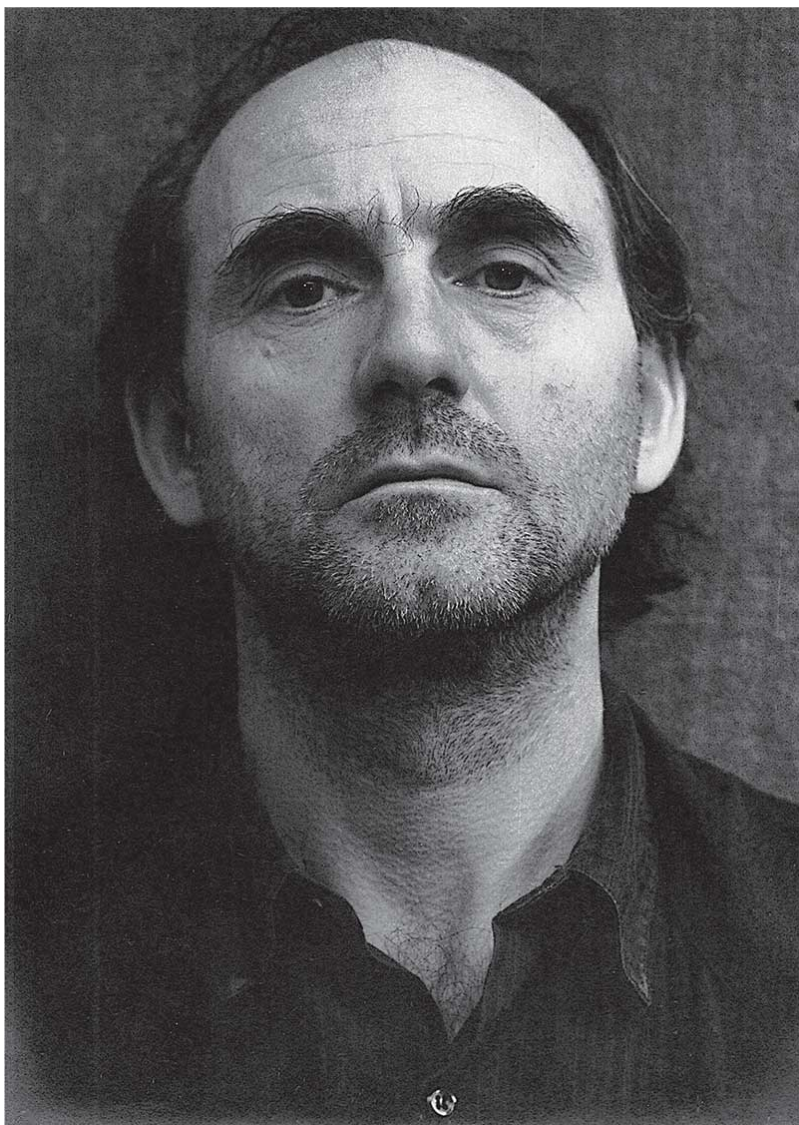
• • •

– Byłeś kiedykolwiek z prostytutką?

- Nigdy. Mogę prosto odpowiedzieć, że nigdy nie miałem doświadczenia z pro... Znaczący czekaj! No miałem. Raz. Z kimś, kogo można by nazwać prostytutką...

– Nie o to mi chodziło.

- Ale nie wiedziałem o tym i to się fatalnie skończyło.



– A jaki masz stosunek do prostytutek? Jak rozmawiam z mężczyznami o prostytutkach, to najczęściej mówią o nich we wspaniały sposób. Jest w tym duży szacunek. Też tak masz?

• Trudno powiedzieć, że je uwielbiam, ale na pewno podziwiam i myślę, że na przykład nie musiałbym wcale ruchać, żeby być z nimi we wspaniałych relacjach. Może to jest tylko kwestia mojej wyobraźni, ale mam dziwną czułość do nich.

– Ale że co? Że to jest rodzaj jakiejś usługi, misji?

- One są specjalne. One tak dla mnie są ważne w życiu jak aktorzy.

– A nie zastanawiało cię nigdy, że prostytutki są upokarzane głównie przez kobiety? Kiedy rozmawiam z mężczyznami, to zazwyczaj jest w tym właśnie czułość. I to jest zaskakujące.

- Jak również zaskakujące jest to, że mężczyźni nie mówią źle o męskich prostytutkach.

– Mówisz o żigolakach?

- No o tych, którzy dają dupy za pieniądze. Męska prostytutka może być obiektem dowcipów, ale na pewno nie jest to ten rodzaj pogardy, którą mają kobiety. Ja myślę, że u podstaw tej pogardy jest strach.

– A ja źle znoszę sposób, w jaki kobiety często rozmawiają o mężczyznach, zwłaszcza kiedy mówią o ich penisach. O tej strasznie czulej sferze w zazwyczaj dość nędzny sposób. To jest dla mnie coś, co wyklucza potrzebę bycia w takim gronie. Kobiety bywają bezwzględne.

- Być może wynika to z budowy narządów rodnych. Że nasze...

– ...są widoczne.

- Powiedziałbym: definitywne. Od razu widać, jakie to jest. Nieważne, czy to jest w akcji sprawne czy nie. No a wasze psitki nie są za bardzo widoczne. Z rzadka mają coś na wierzchu i są takie, powiedziałbym, uniseks. Znaczą one są jakby zunifikowane.

– Ja w ogóle myślałam przez wiele lat, że one są takie same. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wy, mężczyźni, tak się zabijacie za doświadczenia z różnymi psitkami. Bo mi się wydawało, patrząc na nie, że one są wszystkie identyczne. A one są utajone.

- Mhm.

– Dopiero później w rozmowach z mężczyznami dowadywałam się, że tam się otwierają niewiarygodne światy. Światy, które są nie do wyobrażenia i nie do przecucia, jak tylko patrzysz.

- Wypijemy?

- Ale będziemy pijani.

- Trudno. To są super tematy, wiesz.

- Jak to? Całą wypiliśmy?



PUSTE KOŚCIOŁY

– O co chodzi z tym macaniem Matek Boskich?

• Przede wszystkim macam nie tylko Matki Boskie, macam również zmarłych. U nas w domu w pokoju na dole, na który mówicie „Wawel”, wiszą zdjęcia tych, którzy odeszli... Co, nie nagrywa się?

– Nie wiem, gdzie tu jest mikrofon, ale wczoraj się świetnie nagrało, a chyba odwrotną stroną nagrywałam. Więc wiszą portrety zmarłych...

• Bardzo stare zdjęcia bardzo starych moich pradiadków, czyli twoich prapradziadków...

– Dagerotypy.

• Dagerotypy zrobione w Ameryce. Franciszek Dembowski i Michalina von Kobylński. Inni zmarli też tu są; wszyscy rodzice, dziadkowie, teściowie i tak dalej...

– Ale dlaczego ich macasz?

• To jest potrzeba więzi, oparcia, pamięci. Macam na dobranoc, na dzień dobry i przed jakąś dłuższą podróżą...

– Więcej niż raz dziennie ich macasz?

• Dwa razy dziennie to na pewno, a przy specjalnych okazjach, które uznam spontanicznie za wyjątkowe, robię to dodatkowo.

– Wszystkich po równo?

• No nie. Wszystkim po równo macham. To są dwa machnięcia dłonią. Teresa, jak mnie przy tym zastaje, kiwa głową, że chyba coś nie tak. A ja mam poczucie więzi z nimi i jakiś zwiększony współczynnik, powiedziałbym, bezpieczeństwa, że ktoś nade mną czuwa. Nie jednakowo. Do Karoli, na przykład, się uśmiecham, przy babci Weronice poważnieję. A jak już ich wszystkich pogłaskam, to potem im macham. I jeśli tego nie zrobię, to mam poczucie jakby niepełnego zaczęcia albo zakończenia dnia. To są jedne z pierwszych i ostatnich akcentów dnia.

– A Matki Boskie?

• Mam również zwyczaj związany z niektórymi Matkami Boskimi. Jest na przykład Matka Boska, która wisi u ciebie w Warszawie. To jest moja Matka Boska Krzywólka, czyli Matka Boska Częstochowska. Ona jest wyjątkowo niezadowolona i zawsze jest po prostu markotna i skrzywiona...

– I w związku z tym trzeba ją dużo macać.

• I to samo mam ze zmarłymi. Teresa mnie wczoraj zapytała: „Do kogo ty się tak żarliwie modlisz?”, wiedząc, że jestem ateistą. Trochę mnie zaskoczyło, że to wygląda na żarliwe, ale rzeczywiście tak jest. Wspomniałem o tych zmarłych, ponieważ oni mi towarzyszą. Człowiek potrzebuje jakiegoś oparcia, nawet jeśli jest irracjonalne. Matka Boska jest figurą w religii jakąś taką niezwykłą i najbardziej ludzką. A na przykład męka Chrystusa zawsze wydawała mi się niezwykle spektakularnym wymysłem Kościoła. Matka Boska jest bardziej człowiekiem. No, już pomijam fakt, że jest kobietą. Tylko że kompletnie nie jestem w stanie poważnie traktować...

– Gołębia?

• No, jej nawiedzenia przez Ducha Świętego. Babcia Janeczka, prosta kobieta o niezwykle przejrystym umyśle...

– ...i nieprzejrzystym spojrzeniu.

• Wynikającym z tego, że miała dwoje oczu różnych. I ona któregoś dnia zupełnie tak nagle, chyba przy prasowaniu, już nie pamiętam, powiedziała: „No, panie! No, jak to jest? Jaki Duch Święty? Z gołębiem? Puściła się, no! Panna z dzieckiem!”. I na pytanie: „Ale z kim?”, ona już tego nie badała. „Nie wiem z kim, z kimś”, mówi. „Może z Józefem? Ale on się raczej nad nią ulitował”.

I to była filozofia fenomenalna w swojej prostocie, że Duch Święty, który ma postać gołębia, w pojemność jej wyobrażeń w ogóle nie wchodził. I ja się też w to nie zagłębiał. Ale Matka Boska mnie wzrusza i mam żarliwość wobec niej. Ta kobieta poświęciła swoje życie jakiemuś mitowi i wiem, to jest irracjonalne, ale lubię ją.

– Ale czy ty masz słabość do Matki Boskiej jako takiej czy raczej do tych poszczególnych obrazków? Mnie się wydaje, że to są jednak konkretne przedmioty, z którymi ty się w bardzo specyficzny sposób obchodzisz.

- One uosabiają zawsze tę samą postać, tę samą figurę. Na przykład w kościele na Zlarinie, w Chorwacji, na tej małej wyspie, którą często odwiedzamy, są trzy Matki Boskie, ale tylko jedną głaskam. I to jest *Gospa od raszela*, czyli Pani od dzikiej wiśni, patronka tej wyspy. I ona nie jest szczególna, no, jakieś cuda podobno robiła, ale wszystko jedno...

Albo pamiętasz? W kościele Bożego Ciała w Krakowie jest taka Matka Boska Łaskawa, a w drugiej kaplicy tego kościoła, w rafałowskiej szkole wykonany obraz, maleńki, przez fundatorów tego kościoła ofiarowany, Matki Bożej Karmiącej, i akurat one mnie poruszają. Są blisko człowieka.

– Czyli te macania są bardziej pogańskie, bo nie głaszczesz wszystkich Matek Boskich, tylko te twoje, szczególne, wybrane.

- Tak!

– I musisz w konkretny sposób ten obrazek dotknąć, jeżeli tego nie zrobisz, to się czujesz źle?

- Niepełny się czuję.

– A czy można to w jakimś sensie porównać do tego, co robisz z drzewami? Bo masz swoje ulubione drzewa w miejscach, do których wracasz. I zawsze idziesz do takiego drzewa i je dotykasz.

- Obejmuję.

– Na przykład ten miłorząb przy bramce. Nie wyjdiesz i nie wrócisz, jeśli go nie dotkniesz.

- Miłorząb japoński. Uwielbiam to drzewo.

– A ile razy go dotykasz?

- Zawsze parzyście. Czasami dwa, czasami cztery, a czasami, jak mam czas, sięgam jeszcze do pnia, bo on jest bardzo gęsty i tam się dostać do niego trudno.

– Sporo masz rytuałów.

- Bez nich się czuję, jakbym czegoś nie wypełnił. Jest taki krzyżyk stary bardzo, wisi nad wejściem moim, czyli kuchennym, do naszego domu, i przed podróżą, ale też jak wyjeżdżam na krócej, nawet jak jadę do miasta, to go po prostu

cztery razy muszę, że tak powiem, dotknąć. Matki Boskie po dwa razy i wszystkich zmarłych po dwa razy. Ale na przykład nie mam potrzeby dotykania miśka od ciebie. Za to on ze mną wszędzie jeździ.

– Jakbyś go zapomniał, to by było bardzo źle, prawda?

• Cofam się po niego zawsze.

– A te słowa, które towarzyszą macaniu Matek Boskich, zmarłych i drzew, są zawsze takie same? To są strzępy modlitw katolickich czy twoich własnych? Co tam mamrociesz?

• To jest normalne *Zdrowaś Mario*. Uważam, że to jest niezwykle piękna modlitwa, i ja ją mówię zawsze dwa razy. Nie wiem, skąd się to wzięło, nie badam tego. Czasami mówię jeszcze coś, ale nigdy nie mówię tego tyle razy ile *Zdrowaś Mario*.

– Tak od siebie?

• Od siebie, ale mam wtedy złożone ręce, jakbym przystępował do komunii. Bywają też sytuacje szczególne i wtedy dorzucam ekstra *Zdrowaś Mario*. Czasem się zastanawiam, czy nie są to jakieś takie prymitywne żebry. Zwracanie się do Boga poprzez modlitwę i prośby jest czymś uwłaczającym i poniżającym Go, bo zwracający się do Niego jest w sytuacji, w której nie może sobie ze sobą poradzić i potrzebuje kogoś, kto niby za niego ma załatwić podstawowe sprawy, i to jest, wydaje mi się, sytuacja obrzydliwa i nie do przyjęcia.

Wiem, że to kompletnie sprzeczne i że tego nie da się logicznie połączyć. Że ja, osoba niewierząca, totalny wróg Kościoła jako instytucji, mam taką estymę gorącą, prawdziwą, żarliwą, poczucie związku i potrzebę bycia wysłuchanym przez Matkę Boską.

– A kiedy przestałeś wierzyć w Boga i czy był On ci kiedykolwiek do czegoś potrzebny?

• Kiedy się nad tym zastanawiam, to mogę odpowiedzieć, że Bóg nie był mi nigdy potrzebny do czegokolwiek. Choć nie miałem tej świadomości. Człowiek żyje w pewnego rodzaju uśpieniu, kiedy wierzy. Wiara zwalnia od szeregu pytań.

– A pamiętasz, kiedy przestałeś wierzyć? To był stopniowy proces czy konkretny moment?

- To się działo sukcesywnie. W uśpieniu byłem na pewno jako ministrant.

– No raczej!

- Na mnie robiły wrażenie dziewczyny, które przychodziły na procesję, patrzyły i się chichrały, jak ja tymi dzwonekami dyndam. Ale służenie do mszy było dla mnie katorgą. Zawsze było duszno i księża bardzo często śmierdzieli. Więc na pewno, że tak powiem, Kościół ze mnie wypędził księża. Najpierw zrozumiałem, że śmiertelnie się nudzę, ponieważ widzę ich niechęć. Bezmyślność w czytaniu Słowa Bożego, liturgii, lekcji albo na przykład nieznośny patos, albo jakąś totalną głupotę, albo po prostu odprawianie mszy na kacu.

Kiedyś w rodzinnej wsi dziadków spędziliśmy wieczór u proboszcza i zażyliśmy wspólnie dużo alkoholu. Pamiętam w pijackim zwidzie Teresę, która szalała, zadzieriała kieckę, ja proboszcza waliłem po plecach, żeby grał inne kawałki, bo on już upadał na klawiaturę, ale jeszcze grał na pianinie, i czasami leciałem do kuchni po schodach, gdzie przerażona gospodyni siedziała, ale nic nie mówiła, tylko patrzyła szeroko otwartymi oczami.

– To było w Zieluniu?

- To było w Zieluniu nad Wkrą. No i na drugi dzień była uroczysta msza za dziadków i ja myślę: „Matko, on ma chyba jakiegoś zastępcę?”. Poszedłem.

I jakież było moje zdumienie, kiedy widzę, że to on łamie hostię i ją przyjmuje, potem rozdaje i ma kazanie, i wiem, że cuchnie alkoholem. I mówi te wszystkie święte słowa zawarte w liturgii. Miałem wtedy kaca równie silnego i byłem otumaniony, ale na pewno to jest jeden z wyraźnych momentów, które zapoczątkowały odwrót.

Ta skala zakłamania i cynizmu: pijany ksiądz, który komunikuje, robiąc usteczka w dzióbek, wznosząc oczka. To niedopuszczalne!

– Czyli rozumiem, że wiara się wypalała wraz z twoim dojrzewaniem jako człowieka?

- Ale też coraz częściej dostrzegałem humbug, który się odbywa w kościele. Zwłaszcza w trakcie kazań. No po prostu bzdury i sam sposób przekazywania. Zdarzyło mi się kilka razy wyjść, bo już nie wytrzymałem.

– A jak to było z księdzem „Yodą”, co na ciebie nawrzeszczał, że „nie ma żadnej granicy”, gdy klęczałeś przy konfesjonale?

- Ja go uwielbiałem za mądrość. Był posiadaczem kilku doktoratów z bardzo rzadkich dziedzin. Niezwykle świątły ksiądz, którego z Błażem nazwaliście „Yoda”, bo był stary, łysy, pomarszczony i z wielkimi uszami, a przy tym superczłowiek. No, zawsze jak wyło pogotowie od tych kanoników laterańskich w Wigilię, tośmy wiedzieli, że „Yoda” się obzałł i znowu go wiozą na pogotowie, i to nas rozczulało.

Ten jego słynny okrzyk na cały kościół skierowany był do mnie w trakcie spowiedzi. No bo ja oczywiście powiedziałem, że nadużyłem alkoholu, ale nie przekroczyłem granic: „Nie ma żadnych granic! Oni tylko na to czekają, żeby cię uzależnić!”. Mówił oczywiście o komunistach, absolutny wróg komuny. Więc ja z rozczuleniem wspominam mądrych księży, bo spotkałem i takich, którzy po prostu wiedzieli, gdzie wytyczyć granice; którzy z wielu rzeczy zdawali sobie sprawę.

Katolicy oddalają się od Kościoła z kilku powodów, przede wszystkim wyprzedzają ich z kościoła księża...

– Ale też często, gdzieś po drodze, wiara przestaje być człowiekowi potrzebna albo wręcz zaczyna przeszkadzać. Jest czymś, z czego się najnormalniej w świecie wyrasta. Tylko jak wytłumaczyć, że Polacy jakoś nie dorastają? I tak bardzo są...

- Wierzący?

– Związani z Kościołem. No bo tak do końca przecież nie wiemy, czy oni wierzą czy nie.

- Mam bardzo prosty na to pogląd: ponieważ nasz naród składa się głównie z nieudaczników. A każdy nieudacznik musi albo znaleźć odwet na tych, którym się udało, albo dla siebie znaleźć pocieszenie i taki rezerwat, w którym czuje się bezpieczny ze swoim nieudacznictwem.

– I po to jest im Bóg?

- Nie, po to jest przyszłe życie, życie po śmierci. Po to jest im wspólnota, w której czują się bezpiecznie.

– Zwolnieni z odpowiedzialności.

- Czują się pełnoprawnymi członkami wspólnoty, nie są gorsi.

– I wspólnie cierpią.

- Wspólnie śpiewają pogodne pieśni i tak dalej. I też są to ludzie, którzy często z natury rzeczy mają straszny gust.

Ja nie generalizuję, ale procent ludzi w społeczności katolickiej, z którymi moglibyśmy na przykład rzetelnie porozmawiać bez poczucia, że dzielą nas ogromne przepaści, jest absolutnie promilowy.

– Może jest też tak, że naród, który jest sam ze sobą niespełniony i nieszczęsny, potrzebuje jakiegoś pasterza, kogoś, kto go będzie prowadził, czyli zdejmie odpowiedzialność za te wybory najbardziej podstawowe, ludzkie i usprawiedliwi to nieszczęście, nada tej miernej egzystencji jakikolwiek sens; więc w poczuciu własnej znikomości jednoczą się w imię Boga. Może o to chodzi? Kurczę, ale co to za frajda być Bogiem miernot? Dlatego teraz to zespolenie silne Kościoła i władzy w światopoglądzie i w myśleniu Polaków, ta otchłań.

Myślisz, że to jest nasza cecha narodowa i że to zawsze było, tylko teraz ma jakby większy zasięg? I że znowu wybucha ta ciemność, to niespełnienie czy że to zawsze było?

- To jest przede wszystkim nietolerancja. Kościół katolicki jest propagatorem najbardziej nietolerancyjnych cech i poglądów.

– A ten papież nasz, JP2... Miałeś przecież możliwość spotkania go. Co ty myślisz, co to jest za persona? Bo zawsze się wydawało, że to jest jakaś taka niewiarogodna osobowość, świetlista, a potem się okazało, że jednak był po prostu pracownikiem Kościoła.

- Jan Paweł to dla mnie mocno podejrzana figura. Ja się z nim wielokrotnie spotykałem, co nie ma żadnego znaczenia, ale fala polskiej megalomanii uniosła się do wysokości tsunami, kiedy Polak został papieżem.

– I męczennikiem do tego.

- Bo był postrzelony, a jeszcze przebaczył swojemu niedoszłemu mordercy i tak dalej. Ale jedno jest niewątpliwe...

– Że był charyzmatycznym showmanem?

- Był świetnym showmanem, bo to był przecież niespełniony aktor, no i też niespełniony dramaturg. Jego dramaty są potwornie niedobre, wiersze pretensjo-

nalne, okropne. I ja się dziwię poważnym ludziom, którzy przez uszanowanie albo lęk przed linczem tego społeczeństwa boją się powiedzieć, że one są nic niewarte. No ale nie zagłębiajmy się w jego twórczość...

– Nie, to nie jest ciekawe.

• Ale wiesz, to był facet, który naprawdę wspaniale czytał homilię. I tak jak mówisz, był wybitnym showmanem.

– W najlepszym tego słowa znaczeniu.

• Ale jednocześnie był totalnie nieprzemakalny w sprawie celibatu, antykoncepcji, homoseksualizmu czy związków partnerskich...

– W związku z czym na świecie nie był wcale tak popularny, jak by nam się mogło wydawać, a teraz jeszcze się okazuje, że miał wiedzę o pedofilskich nadużyciach i nic z tym nie zrobił. Ale są rzeczy, których nie warto dotykać.

• Możemy, jak chcesz, ale czuję, że się coś przez niego tak jakby spowolniło. Taka się rządzizna wkradła.

– A mnie się wydaje, że w tej rządziznie jest właśnie najwięcej. Przepraszam, niepotrzebnie o niego pytałam. On nic nie wnosi.

• Wnosi o tyle, że pokazuje, jak się formułuje polska mitomania. Jak funkcjonuje ten niezwykle hermetyczny świat polski, a ta sytuacja obecna w kraju jest tego najlepszym dowodem. Do czego w ogóle zmierza ten kraj stojący na skraju przepaści; no, ta cecha skrajnej megalomanii się bierze wyłącznie z kompleksów.

Bo kompleksy mamy straszliwe. I one powodują, że nagle wyrastamy na Chrystusa narodów. Nie dość, że męczennika, to jeszcze wynosimy nasze aspiracje na najwyższe poziomy, które w gruncie rzeczy są wypełnione pychą i megalomanią. A one nie mają żadnych podstaw.

– Myślisz, że katolicyzm nasz polski, który jest dość szczególny, można wręcz powiedzieć: narodowy, że on jest naszym przekleństwem?

• Przekleństwem totalnym. To jest jakiś Golem, który nas ciągnie w czarną dziurę kosmiczną. W niebyt cywilizacyjny. Jakbyśmy zawrócili i kładli podwali-ny pod feudalizm. Pod mroki strasznych lat w historii. Przekłeta cofka.

– Uważasz, że jesteśmy tak niedojrzali, że jeszcze nawet nie rozpoczęła się proces stawania się społeczeństwem obywatelskim, dlatego że jesteśmy uwikłani w ten Kościół? I czy nie jest to, twoim zdaniem, związane też z tym, że w Kościele katolickim zdejmuje się odpowiedzialność z jednostki, że ważniejsze jest „my”, czyli wspólnota, a nieważne jest „ja”? I że w Polsce ta wspólnotowość wynikająca z katolicyzmu rodzi pogardę dla jednostki, a co za tym idzie, pogardę dla indywidualizmu i odmienności?

- Absolutnie tak! Kościół to głosząca najbardziej nietolerancyjne tezy instytucja. I religia katolicka również, pełna pychy, zaślepienia, ale dająca do ręki uprawnienia do myślenia o sobie jako o plemienu wyjątkowym, o plemienu mającym misję, będącym właśnie Chrystusem narodów.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cały system i charakter tej religii, mówię o katolicyzmie polskim, jest doskonale przemyślaną strategią. Myślę, że jeśli nie świadomość i wiedzę, to na pewno niezwykle wycucie mieli twórcy tej całej konstrukcji, zdając sobie na pewno sprawę z tego, że cierpienie niezwykle pociągające, jest magnetyczne i...

– ...nadaje sens. To bezlitosne katolickie trwanie wbrew wszystkiemu w cierpieniu. Cierpienie jako najwyższy wyraz człowieczeństwa.

- W cierpieniu człowiek się dobrze sytuuje, rozgascza, zwłaszcza z taką mentalnością polską. W Polsce, gdzie mamy, i to nie jest metaforyczne, mało słońca. I to powoduje, że całe masy społeczne po prostu idą jak barany w wygodnym poczuciu spełnienia niedzielnego obowiązku, poczuciu zwolnienia z odpowiedzialności za własne, nawet najgorsze czyny. I to jest proceder tak obrzydliwy, że trudno mi o nim nawet spokojnie myśleć.

– Wiesz, dla mnie najgorsze w katolicyzmie jest przekonanie, że człowiek sam z siebie jest pozbawiony jakiegokolwiek wartości i dopiero dzięki chrztowi, akcesowi do organizacji, staje się kimś. I że kapłanom zależy na tym, żebyśmy żyli w stanie wielkiego egzystencjalnego uszkodzenia, braku, grzechu, że tylko Kościół, Bóg mogą sprawić, że będziemy szczęśliwi. To odbiera wartość życia, a człowiekowi godność. To okrutne i zniewalające. I jeszcze na maksa mnie wkurwia to, że do kontaktu z Bogiem niezbędny jest pośrednik – kapłan.

- Na przykład fakt spowiedzi. To, że swoje najintymniejsze wstydlive rzeczy mówisz jakiemuś spoconemu klesze, o którym nie wiadomo, czy w konfesjonale

przy okazji nie wali konia, pytając cię, ile razy. Za to się powinno wsadzać do kryminału.

– Odetchnij.

• To jest masakra, ja nie mogę mówić o tym spokojnie.

– Napij się wody.

• Nie, wina się napiję.

• • •

Jest takie jedno zdjęcie dziadka Jana ze stalagu w Królewcu. Z numerem obozowym. Ale zanim dziadek tam trafił, zdążył zrobić tatę. I tata urodził się podczas pobytu dziadka w niewoli. 13 lutego 1944 roku. A numer obozowy dziadka, widoczny na zdjęciu i czytany od tyłu, to właśnie data urodzin taty. Odkryła to po wielu latach moja mama Teresa. Wszyscy patrzyli na to zdjęcie latami, bo wisiało u nas na „Wawelu”, ale nie widzieli. A ona zobaczyła.

• • •

– A myślisz, że w ogóle człowiekowi jest potrzebny jakiś rodzaj duchowości? Bo może to macanie tych obrazków, tulenie drzew, gadanie ze zmarłymi, te rytuały to może jest tęsknota za czymś? Dla mnie to rodzaj pierwotnej duchowości, bo tak to chyba trzeba nazwać. Myślisz, że w świecie współczesnym jest to potrzebne?

• To jest potrzebne i możliwe.

– Ale czy do tego niezbędna jest instytucja tą duchowością zarządzająca?

• Nie, absolutnie nie. To znaczy instytucja jest potrzebna dla ludzi, którzy nie wierzą w siebie, którzy nie mają siły.

– Albo wyobraźni.

• Albo wyobraźni.

– A myślisz, że sztuka może pełnić taką funkcję?

- Tak, absolutnie tak.

– A gdybyś żył w społeczności pierwotnej...

- Myślę, że bym się tam świetnie odnalazł.

– Ale czy gdybyś żył w społeczności pierwotnej, to myślisz, że byłbyś szamanem?

- To zależy, jakich miałbym konkurentów, ale myślę, że bym się do tego nadał. Ale szamanstwo to jest również odmiana władzy.

– No a bycie artystą nie jest?

- Każdy aktor właściwie jest szamanem, nie zawsze sobie to uzmysławia. Ale czy artysta posiada władzę?

– Mhm...

- Jakiś obraz robi na tobie wrażenie, za wszelką cenę chcesz go mieć, choćby reprodukcję. Sprawujesz władzę nad tymi w ciemności i tylko chodzi o to, czy sprawujesz ją czy nie. Aby ją sprawiać, musisz mieć narzędzia, oprócz wszystkiego innego, poprzez które umiesz to robić.

– A co to za narzędzia?

- To jest przestrzeń, którą tworzę, która jest wokół mnie i w której się poruszam. I to na pewno jest przestrzeń wolności. Jeśli w niej nie dominuje element wolności, to ona zawsze jest wykoncypowana, sztywna, składająca się z jakichś rygorystycznych przepisów, wyobrażeń i tak dalej. I to jest ciągle w ruchu, ale podstawą jest odporność. Odporność na wpływy zewnętrzne.

– Przypomniało mi się teraz: „Jeśli musisz wybierać pomiędzy bezpieczeństwem a wolnością, zawsze wybierz wolność”. Nie jestem do końca pewna, kto to powiedział. Myślałam, że mój ukochany Thoreau, ten od życia w lesie, ale chyba jednak Jefferson albo Franklin. Wszystko jedno, bo to wydaje mi się świetną kłamrą naszej rozmowy o...

- Katolicyzmie.

– I o religii w ogóle.

- Bo religia daje ci bezpieczeństwo, natomiast zabiera ci wolność.

– A nie sądzisz, że to twoja wewnętrzna potrzeba wolności była powodem odrzucenia Boga?

- Tak, na pewno.

– Bo przecież nawet jeżeli najpierw odrzucasz Kościół, to jednak w efekcie odrzucasz Boga.

- Oczywiście, że tak. To znaczy mogę powiedzieć, że będąc w Kościele i wierząc, miałem coraz bardziej klaustrofobiczne poczucie pobytu w coraz bardziej zacieśniającej się klatce. I to był proces w związku z tym powolny. W którymś momencie on nabrał błyskawicznego przyspieszenia i postanowiłem rozerwać te kraty. I to było wspaniałe! Doznałem niewiarygodnej ulgi i od tego czasu, mogę powiedzieć, śpię spokojnie.

– Myślisz, że ludzie wierzą w Boga ze strachu? Ze strachu przed wolnością?

- Też. W dużym bardzo stopniu. Wiara zaciemnia twoją własną wyrazistość. Kościół zamyka ci przestrzeń wolności.

– A czy spotkałeś kiedyś artystę... istotnego, porywającego, który byłby jednocześnie głęboko wierzący?

- Nie.

– A jeśli chodzi o nasz kraj, pytam w sensie dojrzewania społeczeństwa właśnie w kontekście Kościoła, katolicyzmu, Boga, to patrzysz z nadzieją w przyszłość?

- Nie. To znaczy wiem, że kiedyś się to skończy. Pęknie. Ludzie muszą dojrzeć do wstrząsu i załamania się całego tego systemu. Być może po drodze się pojawią wojny religijne. Ale to będzie długo trwało, bardzo. Pokolenia. I ja tego na pewno nie dożyję. Bardzo bym chciał zobaczyć puste kościoły, ale wiem, że to w tym kraju jest niemożliwe.

Jedno wiem na pewno: do tego, żeby przeżyć wspaniałe życie, Bóg nie jest nieodzowny. I tak jak mój ojciec marzył o końcu komunizmu, tak moim marzeniem są puste kościoły.

– Jeśli możesz tylko jeszcze o swoich powiązaniach z diabłem dopowiedzieć.

- Mam wrażenie, że jestem w dobrej komitywie z diabłem, ale nie tym diabłem, który...

– ...ma rogi.

- ...i podpowiada biskupom, jakie mają stosować rozwiązania. Tylko tym diabłem, który prowadzi na manowce katolików.

Kiedy byłem małym chłopcem, ministrantem, chyba tuż przed pierwszą komunią, któregoś dnia w Andrychowie, gdy przechodziłem przed kościołem Świętego Macieja, on mi właśnie podpowiedział taką kwestię: „Pan Jezus jest dupa”. I to się powtarzało. Ilekroć przechodziłem obok kościoła, a Andrychów to małe miasteczko, zawsze wtedy mówiło mi się: „Pan Jezus jest dupa”. I starałem się omijać ten kościół, ale zdarzało się, że albo zapomniałem, albo się nie dało, a zawsze wtedy: „Pan Jezus jest dupa”. Wypisałem swoje grzechy na kartce i również to wypisałem...

– Co na to ksiądz?

- Już nie pamiętam, bo człowiek był taki przejęty, że w ogóle nie wiedział, co się dzieje. Natomiast „Pan Jezus jest dupa” to była podświadoma projekcja mojej ateistycznej przyszłości!

DUŻO DROBNYCH

1.

[pum!]

– Twoje pierwsze wspomnienie Teresy. Co pamiętasz?

• Przedszkole. Tam były strasznie wielkie klocki, które zresztą nas raniły. Bo one miały po pół metra. Takie klocki od stolarza. I z tego się budowało domki. Jak się to zawaliło, to myśmy dostawali w łeb, w ramię, a byliśmy dziećmi małymi. I prawdopodobnie tam, w tych domkach, bawiliśmy się razem. Myśmy byli równolatkami, a to było jedyne w Andrychowie przedszkole. Do sióstr służebniczek chodzili wszyscy.

To było jakieś przedstawienie. Najsilniej pamiętam zapach. Zapach kulis. Siostry je wymalowały w muchomory i jodełki, że niby las. No i w tym lesie ja biegałem w stroju pajacyka. Pamiętam, że strasznie się bałem. Nie wiem w sumie czego, ale chyba tego, że czegoś nie spamiętam. Nie mówiliśmy tekstu, nic. Bośmy mieli po cztery latka, no to jak się tu nauczyć tekstu? A na środku stało wielkie pudło. Pamiętam w dole publiczność. Jej też się bałem. To pamiętam.

Mrok i ta farba. I to pudło było taką ogromną kokardą związane. Biegałem, tak chyba skakałem jak krakowiaczek, naokoło tego pudła. Potem jakąś figurę robiłem i pociągałem za tę kokardę. I też bałem się, że się zapętli, bo na próbie się tak zasupłało i nie mogłem tego odtegować. Chyba tak klaskałem i tak: Pum! I z pudełka wyskakiwała baletniczka w różowej tiulowej sukience.

– I to była Teresa?

• To była Teresa. Przy czym... Ja byłem tak zestrachany, że nie pamiętam twarzy Teresy. Natomiast w stu procentach to była ona.

– A potem?

• A potem wróciłem do domu i powiedziałem: „Ze wszystkich dziewcząt w przedszkolu najbardziej odpowiada mi Teresa i ja się z nią ożenię”.



2.

[sprinty]

- Dobrze biegałem. Równie dobry, a może nawet lepszy był Kazek Pytel, kolega z klasy. W Kętach zrobili zawody, na prawdziwym stadionie. To był bieg na sześćdziesiąt metrów albo na setkę. Na prawdziwej bieżni. Z tłuczonej cegły. Pierwszy raz się z taką spotkałem. Tak, pamiętam, się przymierzałem w tych blokach...

Ja zawsze biegałem boso. Albo w tenisówkach, ale najczęściej boso. A tego dnia Zbigniew Piętaś, nauczyciel i nasz autorytet, przyniósł kolce. Nigdy wcześniej nie widziałem kolców.

I dał Kazkowi i mnie. Kiedy założyłem te kolce, rzeczywiście stawały niesamowity opór. Tak się czuło, że się zabiera powierzchnię. I Kazek od razu się zgodził, że je bierze, a ja nie wiem dlaczego, jakoś się bałem. Przyzwyczajony byłem do biegania boso i zrezygnowałem z nich.

I pamiętam bieg, który zakończył się moimi pokrwawionymi nogami i jego pokrwawionymi nogami. Ja miałem pokrwawione stopy, bo wiadomo, tłuczona cegła. A on łydki, bo nie umiał biegać w kolcach. I dwa razy zawadził i się pokaleczył.

– A kto wygrał?

- Ja wygrałem. Pamiętam wycie dziewczyn na stadionie.

3.

[pożar]

- W Zieluniu wybuchł pożar. W sześćdziesiątym ósmym, na wiosnę. I prawie wszystko spłonęło. Został tylko ten świecznik, co go mamy. To był właściwie ciąg absurdów, jakie ludzie popełniają w ekstremalnych sytuacjach. Przede wszystkim spalił się cudowny gramofon z lat dwudziestych. Piękny mebel.

To był pożar całego Zielunia, który zaczął się przy cmentarzu. Błyskawicznie się rozprzestrzenił, bo była Wielkanoc, więc ludzie byli troszkę opieszali. A wiał strasznie silny wiatr. I on przenosił całe płonące dachy i po prostu nie dało się tego zatrzymać. Zanim doszła wieść z drugiego końca wsi, że się pali, było już za późno. Ludzie uciekali, żeby siebie ratować.

Pamiętam, że ciotka Adela wybiegła z... Nie. Ela, jej córka, wybiegła z materacem dmuchanym... bez zatyczek. Że babcia Stefania wybiegła bez niczego i krzyczała: „Moje zęby! Moje zęby!”, bo sztuczną szczękę zostawiła w szklance przy łóżku. A tam się paliły futra, rzeczywiście drogocenne rzeczy. Że Ziutek wyniósł nadpalone kwiatki z wazonika.

– A dwa buty nie do pary?

- To ciotka Adela właśnie! Uratowała buty nie do pary. I jeszcze ciasto, które się piekło na Wielkanoc, wyciągnęła z piekarnika i wyniosła niedopieczone z płonącego domu. Wszystko spłonęło, cały zestaw fonograficzny Viktor i cała ta szafa grająca...

– Z Ameryki.

- To był prezent dla mnie. Razem z bujanym fotelem, na którym się tej muzyki słuchało. I tego sobie nie mogę darować.

– A te dagerotypy pradziadków, co wiszą na „Wawelu”?

- Ja je wcześniej wywoziłem. Tak samo jak portret dziadka. I jeden świecznik. Ten, co go mamy. Drugi, powiedziałem, wezmę następnym razem.

– I spłonął.

- I on spłonął. Totalnie się roztopił.

4.

[prijawki]

- Długo, jako mały chłopiec, nie wiedziałem, co tam jest grane. Babcia Stefania o zmierzchu, przed zachodem słońca... Pokój, w którym siedziała, był od zachodu właśnie, i tam było jakieś dziwne, dziś wiem, że vermeerowskie, światło. I ona była tak pięknie ubrana i zawsze wtedy miała kolczyki, takie wiszące. I ten jej majestatyczny fotel bujany. I po lewej stronie stało lustro z kolumnami, na którym stał słoik z wodą, no i coś tam było.

To było lustro, przed którym dziadek Stefan miał pasy i brzytwy. Bo on tam golił klientów albo strzygł. Dodatkowo. Bo normalnie był sadownikiem. Zaczynał dzień od setki wódki. Śniadanie, setka wódki i piąta rano do pracy. Stefa oczywiście na nogach i tak dalej. Nie zapomnę pola gryki. Właśnie grykę pamiętam z Zielunia. Zapach gryki i polowanie na myszy. Ponieważ zawsze, jak były żniwa, pomagałem. Widłami się snopki podnosiło, myszy pierzchały i się je łapało dla kotów. Pamiętam, jak raz chciałem mysz zawiązać na studni i ona do tej studni wpadła. Oczywiście się nie przyznałem. Aż ciotka Adela wyłowiła mysz w wiadrze. To nie było przyjemne uczucie, ale do dziś nie wydało się.

No w każdym razie babcia się bujała. Bardzo spokojna. I od czasu do czasu zanurzała lewą rękę w słoiku i coś za lewym uchem manewrowała. Potem przekładała słoik do lewej ręki, manewrowała prawą przy uchu i coś takiego grubszego brała i wkładała do słoika. To długo trwało, jakąś godzinę. I bujała się tak, bujała, a te jej kolczyki się kołysały. Coraz jakby dłuższe. Ona spokojnie, metodycznie ślinała palec i przewracała sobie kartki książki, którą czytała. Słońce zachodziło. Kurz w świetle.

I kiedyś po takim seansie, gdy wyszła do kuchni, czy ją Adela zawołała po prostu, podszedłem do tego słoika. Bo ja siedziałem za piecem kaflowym, ukryty, zahipnotyzowany. I zobaczyłem, że tam są opite, leniwe ogromne pijawki.

– Czyli to nie były kolczyki? Bujala się z wiszącymi za uszami pijawkami?

• Tak. One się opijały i dyndały, kołysały się. Podobno sprowadzone z Rosji. Babcia miała jakieś schorzenie, a one, nacinając skórę, wprowadzają substancję, która rozrzedza krew.

5.

[przeciąg]

• To się odbyło w Bielsku na peronie. Ja odwoziłem babcię Stefanię do Bielska, skąd miała dalsze połączenie do Zielunia. Pewnie przez Warszawę, bo z Warszawy to już tylko autobus. Przecież tam pociąg nie kursował.

– Stefania była w gościach w Andrychowie?

• Tak. U nas w Andrychowie. Przyjeżdżała do Karoli, do córki. Już była mocno starszą panią. Miała zawsze bardzo pięknie ułożoną fryzurę, pani fryzjerka przychodziła do domu ją czesać. Gęste, białe jak śnieg, srebrne właściwie, włosy. I ja babcię odprowadziłem. Czekaliśmy dość długo na tym peronie, zanim pociąg przyjechał, i jak ją już do niego wsadziłem, ona otworzyła okno i pociąg ruszył. I tę piękną fryzurę siwych włosów wiatr rozwiął. Ale w ogóle ich nie poprawiała, tylko jakby chciała mi strasznie coś powiedzieć, zawołała: „Janeczku! Pamiętaj!”... Ten głos nikł, ale był bardzo dobrze słyszalny, bo to przecież był pociąg parowy, więc jechał wolno: „Janeczku! Pamiętaj! Życie jest wspaniałe i krótkie jak przeciąg!”. Pomachała mi jeszcze trochę, zatrzasnęła okno i pojechała. I to było ostatnie zdanie, które usłyszałem od babci. Potem umarła.

6.

[chadery]

• Ja miałem zawsze bardzo chude ręce, zwłaszcza od łokcia w górę. Więc chodziłem w marynarce do szkoły. Podstawowej. Jako jedyny.

– Bo się wstydzileś.

• Bo się wstydzilem. Wstydzilem się zdjąć marynarkę. Syn dentysty, no to chodził w marynarce. A pani Frąckiewicz była restrykcyjną nauczycielką. I kiedyś na matematyce – ona miała brzuch wypięty, była tak do tyłu odchylona i waliła z otwartej ręki: w plecy, w łeb, w twarz, gdzie popadło, ale myśmy ją bardzo lubili – no i ona do mnie podeszła i mówi: „Peszek! Zdejmij te chadery!”. Było gorąco i coś jej się ubzdurało, że mam zdjąć marynarkę. A ja, że nie zdejmę. I im bardziej ona mnie waliła w te plecy, tym bardziej nie chciałem zdjąć. Ostatecznie zdarła ze mnie „te chadery”. Byłem bardzo upokorzony. Ale nikt nie zareagował na moje chude rączki. Myślę, że ja to raczej wyolbrzymiałem.

7.

[prestidigitator]

• A wiesz, co się odbyło w tej szkole? Ten najważniejszy prestidigitator, ten imitator głosu ptaków i zwierząt miał występ! Staliśmy na korytarzu zbici w gromadę z rozdziawionymi gębami, a on stał trochę wyżej. Na schodach, na tle okna, za którym zachodziło słońce. Pamiętam, że to było zjawiskowe. I on po prostu udawał głosy ptaków i pytał nas: „Co to za ptak?”. A potem udawał inne zwierzęta.

– A skąd on się tam wziął?

• No to była taka atrakcja artystyczna. Przybył artysta wędrowny. Potem grał na grzebieniu różne melodie, a na koniec powiedział, że musi dokonać specjalnej operacji. I wysmarkał się. Po czym grał nosem na grzebieniu. Myśmy stali godzinę jak zaczarowani, pamiętam. To jest pierwsze moje magnetyczne przeżycie, które na pewno mnie skłoniło jakoś podświadomie do teatru. Bo pamiętam, że byłem wściekły na kolegów, kiedy przyjechała słynna recytatorka, Kazimiera Rychterówna. Ona po wojnie jeździła po kraju. Patrz, jaki los artystki wielkiej, którą oglądał jeszcze Schulz w Drohobyczcu. Czy w Truskawcu?

– W Truskawcu.

• I ona stała na skrzyni gimnastycznej w sukni ze złotej lamy... Na podwyższeniu, bo przecież nie było w szkole sceny. I chłopcy z procy strzelali w jej stopy z takich papierowych kulek. I ona tak tymi nogami podrygiwała, ale mówiła: „Lito, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...”.

8.

[*kwiaty polskie*]

• Była taka akompaniorka, Anna Płoszaj, późniejsza żona, druga żona Dejmka, oraz Maria Białobrzaska, aktorka z pretensjami z Teatru Jaracza. Żona Seweryna Butryma, ostatniego aktora, który miał lokaja. No więc to było takie towarzystwo. I oni zaprosili mnie do współpracy, bo wiedzieli, że klepię biedę. No i żebym powiedział *Kwiaty polskie* i jakiś wiersz na pierwszego maja. Teren: Stawy Jana, Łódź.

No więc tam był betonowy podest, na którym stało pianino. Bardziej mur. Weszliśmy na ten mur. Niczego nie było, tylko pianino. Maria w długiej sukni z ogromnym kwiatem...

– Za dnia się to działo?

• Za dnia, do południa. Mikrofon oczywiście. I nie ma nic! Nikogo! Puste pole suchej trawy. Ale musimy zacząć, żeby odhaczyć koncert. Musimy. No więc Anna Płoszaj pasaż na pianinie, Maria wyszła i do tych suchych traw przez ten mikrofon, poprawiając ten kwiat w czerwonej długiej sukni: „Bukiety wiejskie, jak wiadomo...”. Tyle powiedziała. Nagle wstał, gdzieś tak pięćdziesiąt metrów od nas, widocznie leżał wcześniej w tych suchych trawach, menel kompletnie pijany i rzucił krótko: „Spierdalaj!”. I odpadł z powrotem w trawę. Anna Płoszaj przerwała granie Chopina, Maria odchrząknęła, kiwnęła głową w stronę Anny, Anna pasaż z powrotem, rusza znowu Chopin i Maria po raz drugi: „Bukiety wiejskie, jak wiadomo, wiązane były wżwyz i stromo...”. I z niejakim opóźnieniem ten sam menel, ale już w towarzystwie ledwie siedzącej kobiety, krzyknął o wiele ostrzej: „Mówiłem! Spierdalaj!”. I odpadli obydwój. I tak się koncert pierwszomajowy na Stawach Jana skończył. Spokojnie spakowaliśmy walizki i odjechaliśmy.



9.

[proszę się rozebrać]

– A prawdą jest, że dziadek Jan, ponieważ był pierwszym dentystą w Andrychowie, jak przyjeżdżały ze wsi dziewczyny co bardziej atrakcyjne pierwszy raz w życiu do dentysty, to mówił: „Proszę się rozebrać”? I one do pasa się rozbierały?

• Pierwsze słyszę. Asystentem ojca był Krzysiu Pałaszewski, który był, owszem, bardzo przystojnym mężczyzną, ale bez nogi...

– Znam tę historię od babci.

• Babcia była zazdrośnicą.

– Podobno to był numer popisowy. Że pierwszy raz kobieciny ze wsi przybywały do dentysty, więc nie wiedziały... Nie znałeś tego?

• Raczej nie podejrzewam... Znaczy po ojcu bym się tego nie spodziewał, a Krzysiu nie był, moim zdaniem, typem Casanovy. Bo to bym zrozumiał, gdyby był najprzystojniejszy we wsi, wiesz. No ale bez nogi... Natomiast pamiętam, że w nocy w zimie, na przykład, przyjeżdżał góral z jakąś Kaśką czy Maryną, no i bez znieczulenia trzeba było wyrywać zęba. To się ją przywiązywało do fotela, trzymało za nogi, ja trzymałem, Krzysiek trzymał, wszyscy trzymali, kto żyw, a ona i tak się wyrywała. I potem uciekała w ogród. A rano, wiesz, kiedy się wszyscy budzili, widzieli jakieś pobojuwisko dzikich zwierząt. Krwi pełno, podeptany śnieg. Takie sytuacje się zdarzały.

10.

[*powiedziała cipa dupie*]

– „Powiedziała cipa dupie...” Czy mógłbyś dokończyć? Bo nie znam w całości tego dzieła.

• Ale opowiedzieć, skąd to znam?

– Wszystko.

• To jest wiersz, który usłyszałem z ust kobiety, w której jako dziewięcioklasista się kochałem, Marii Zającówny Zając.

– Marii Zającówny Zając?

• Marii Zającowny Radwan, żony Staszka Radwana, aktorki, u której byłem na imieninach w ich domu w Krakowie. Byli też Wajdowie *et consortes*, no, taka śmietanka krakowska. No i w którymś momencie jedna z sióstr Staszka Radwana klaszcze w dłonie i krzyczy: „Marysia! Marysia!”. Nie wiedziałem, o co chodzi, aliści Marysia wyszła na środek i bez żadnych wstępów wyrecytowała następujący utwór:

„Powiedziała cipa dupie: oj, nie mogę tak żyć w kupie, bo ty pierdzisz, hałasujesz i robotę chujom psujesz. Na to dupa obrażona: O! Ty pizdo pierdolona! Ciebie jebią, tobie płacą, a mnie biją, chuj wie za co!” Był niekończący się aplauz, gratulacje, a potem wszyscy przeszli do dalszych toastów. Po przyjęciu poprosiłem o zapisanie tego wiersza, który stał się w przyszłości przyczyną wielu moich towarzyskich sukcesów.

– Na przykład?

• Na przykład po planie filmowym *Zakładu* przyjechaliśmy w Świeradowie do tak zwanej bazy. Były tam instrumenty muzyczne, na których grali koledzy akto-rzy. Wszyscy oczywiście dobrze zakropieni alkoholem. To był ósmy marca i na sali siedziało z trzydzieści kobiet z Rosji z tulipanem w dłoni. Namówiono mnie, żebym powiedział ten wiersz. One musiały rozumieć, mimo że mówiłem po polsku, do mikrofonu, przy akompaniamencie perkusji i tak dalej.

Pamiętam też minę, dość specyficzną, kiedy na uszko szeptałem ten wiersz Irene Jun, Gusi, namówiony oczywiście przez kolegów. Ona ten prezent zniosła dzielnie, ale widać było, że to dla niej trudne. Również wielbicielem wiersza był Wojtek Wójcik. Jak kręciliśmy *Trójkąt bermudzki*, zawsze rano, przy śniadaniu, musiałem mu te frazy recytować. Codziennie.

11.

[biegi]

– Pamiętasz bieganie po Zlarinie po pijaku?

• Tak.

– Biegałeś w takim białym garniturze całą noc, do świtu. I nad ranem policja zlarinśka cię przychwyciła. To jest jakiś lejtmotyw, te twoje biegi w mrok.

• Tak... Chyba tak.

– Pamiętam też twoją słynną sztuczkę, która się trochę wiąże z tymi biegami: stawanie na głowie i picie szotów w tej pozycji. Ale już nie stajesz na głowie. I też już nie biegasz.

- Nie jestem już długodystansowcem. Nie piję tyle alkoholu co kiedyś. No i też nie miewam tego rodzaju bzuma. Mikołaj Grabowski kiedyś powiedział: „To się źle skończy. Jesteś wariat. Bez żadnych oporów zapuszczasz się w najbardziej niebezpieczne dzielnice, w jakieś okropne rewiry”. Myślę, że właśnie przez te moje peregrynacje i też przez te biegi Mikołaj mnie skojarzył z Gonzalem. Bo Gonzalo też ryzykował, chodząc do ciemnych dzielnic i szukając chłopaków.

– A ty czego szukałeś?

- Mnie coś niosło. Na Zlarinie to była sardelada, czyli uroczystość pieczenia sardeli i koniec wojny na Bałkanach. Chociaż wojna właściwie jeszcze trwała. Pamiętasz, stroili instrumenty na rynku na wyspie, a w oddali płonął jeszcze Knin. Przyjeżdżały trumny na tę sardeladę. Z bohaterami. I część tej imprezy była cudowna, bo się kończyła wojna i ludzie bardzo już chcieli tańczyć i się bawić, ale część była potworna, bo te trumny i rozpaczające wdowy. Bo spalone domy. To było niesamowite.

Jednocześnie jakiś ludowy poeta mówił wiersze ku ogólnej uciechu. O pierdzeniu. Wszystko na „p”. Każde słowo na „p”. Więc mimo żeśmy chorwackiego wtedy jeszcze nie znali jak dziś, to jednak to było szalenie zabawne. I wszystko się na tej sardeladzie mieszało. Salwy śmiechu i salwy z karabinów. I była niesamowita ekscytacja, euforia, jakby wybuch wulkanu emocji.

I ja oczywiście w takich sytuacjach zawsze się dawałem ponieść. Zawsze temu towarzyszył alkohol i znikwały granice świadomości, że zapuszczam się w mroczne rejony, w coś niebezpiecznego. Tak było zawsze. Póki byłem oczywiście młody. Uwielbiałem to.

Szybko biegałem, bo byłem sprinterem w młodości, w związku z tym to mi dawało niesamowitego poczucia uskrzydlenia. I było nie do zahamowania. W którymś momencie coś pękało i zaczynałem biec. I biegłem, aż mi starczało sił, do utraty oddechu. A wtedy na Zlarinie to biegłem, wykrzykując coś w stronę tych dzikich plaż, które przez dwadzieścia lat potem penetrowaliśmy z Teresą. No i mnie zgarnęła policja. Bo może krzyczałem za głośno, a to było nad ranem. Byłem już mocno zmęczony, więc potulnie dałem się zaprowadzić do domu.

– Pamiętam. Przyszli zobaczyć paszport.

- No właśnie.

– A czy kiedykolwiek te biegi otarły się o coś rzeczywiście niebezpiecznego? Czy to zawsze się dobrze kończyło?

- Czasem kończyło się strachem. Na przykład kiedy przyjechałem na piętnastolecie Piwnicy Pod Baranami. Nigdy nie byłem wielbicielem Piwnicy. To jest irracjonalne, nie potrafię tego wytłumaczyć i nie zamierzam. Ale pojechałem tam zaproszony przez Ewę Demarczyk, która wtedy tam śpiewała, a była moją koleżanką z roku w szkole teatralnej, do zamku w Pieskowej Skale. I tam śpiewały Szwagry, ona, rewelacyjna Zachwatowicz, rzeczona Marysia Zając monologi, no, nie będę wymieniał.

W każdym razie wybiegłem. Biegłem, biegłem, ale bez jakiejś specjalnej euforii, bo tam raczej się czułem osamotniony. Nie należałem do tego towarzystwa. I zaniósło mnie do takiego rowu, który był dawną fosą wokół zamku w Pieskowej Skale. Oparłem się o mur, a za mną była czarna czeluść. Tunel jakiś. Piąta rano, więc już wychodziły zombie z tych sal. Nagle słyszę straszne rżenie, takim niskim głosem, i coś mnie ucapilo za lewe ramię. Bo stałem oparty o łuk starego mostu, a za mną czeluść.

Byłem przerażony. Wyrzeźwiałem w sekundę i bałem się oglądać. Ale zerknąłem na ramię i zobaczyłem krwawy ochłap. Rękę, ale bardziej krwawy ochłap jednak. Więc pomyślałem: *Zemsta kosmosu*. Taki był film, który mnie kiedyś prześladował. Rozumiesz. Pomiędzy pijackim zwidem a realnością, odwracam się i widzę, że w tej czeluści jest człowiek. Cały we krwi, okropnie zmasakrowany i pyta mnie: „Którędy do Krakowa?”.

Okazało się, że on się wychylił przez barierę mostu nad tą fosą, a było bardzo wysoko, i spadł. Szczęśliwie tam była trawa, więc się nie zabił. Ale mocno poturbował i stoczył do tego kanału. Wyrzeźwiał. Zaczął wychodzić i trafił na mnie. Pomogłem mu. Zaczęły kursować samochody, jakieś busiki do Krakowa, odwozące gości, więc go tam wpakowałem. Ale generalnie te biegi przeżyłem bez szwanku. Coś mnie chroniło.

Mnie zawsze ekscytowały nieznanne, nie do końca zdefiniowane terytoria. Na przykład nigdy się nie bałem, obiektywnie rzecz biorąc, niebezpiecznych sytuacji. Kiedyś we Wrocławiu pracowałem za chlebem, prowadząc kółko teatralne przy placu Engelsa. Przyjechałem wówczas z Norwegii, był 1968 rok, w absolutnie doskonałym komplecie džinsowym Lee. Kurtka nieskazitelnie skrojona i džinsy. I prowadziłem z dziewczętami próbę i nagle na tę próbę w Domu Kultury wtargnęła grupa chłopaków i zaczęli przeszkadzać. Nie wiedziałem, że to są po prostu

chłopcy tych dziewczyn. One zaczęły piszczeć i tak dalej, a ja ich zdecydowanie i dość energicznie wyprosiłem z sali. Jeden się ociągał, więc go wziąłem za wszarz i wyrzuciłem za drzwi.

Skończyły się zajęcia, wyszedłem na klatkę schodową. To była stara ponie-miecka kamienica. Ciemno, niebezpiecznie. I nagle ze wszystkich kątów wyszli ci młodzieńcy. No i ironicznie zaczynają gadać ze mną, któryś wyciąga nóż sprężynowy, otwiera go i mówi: „Ładna kurtka, ładne dżinsy”. I tak jedzie ostrzem po tym dżinsie.

– Bałeś się?

• Poczułem się nieswojo. Wystarczy, że mnie dźgną parę razy albo że obedną mnie z tych dżinsów. No bo ja z innej sfery, prawda, ktoś, kto ich przed sekundką wyprosił. A oni przyszli w dobrych humorach. Ale nie bałem się i zacząłem z nimi rozmawiać. „No dobrze”, mówię, „chcecie, proszę bardzo, mogę zdjąć to wszystko. Weźcie potnijcie to albo weźcie sobie i chodźcie w tym, dla mnie to nie ma specjalnego znaczenia”. Ale miałem duszę na ramieniu. Wy małutcy w domu...

– Ale nas nie było na świecie przecież.

• Jak to?

– W sześćdziesiątym ósmym? Błażej się urodził w siedemdziesiątym, a ja dopiero w siedemdziesiątym trzecim.

• To musiało być później. Ale kupiłem te dżinsy na pewno w sześćdziesiątym ósmym. Bo to była Norwegia.

– Może te dżinsy nie były takie całkiem nowe?

• Może nie były. No, wszystko jedno. W każdym razie toczyłem z nimi dialog, oni raczej zgłupieli wobec tego dialogu, bo myśleli, że mi napędzą stracha albo że mi rozkwaszą nos.

– A tu nic się nie stało.

• Skończyło się tym, że ani mi nie zabrali tych dżinsów, ani nic, i co roku przy-nosili mi, oczywiście kradzioną gdzieś z lasów dolnośląskich, choinkę na święta. I ja się z nimi bardzo zakolegowałem, nawet dwóch przyszło do zespołu. Mało z nich miałem pożytku, ale byli w zespole i byli fantastyczni.

– A twoje dobre relacje z wszelkiego rodzaju osobami spoza tak zwanej normy? Z wariatami na przykład?

• Bardzo ich przyciągam i traktuję jak partnerów. Lgną do mnie. A ja ich jestem ciekaw.

Mam głęboko zakorzenione przekonanie i ostatecznie w to wierzę, że w człowieku jest więcej dobra niż zła. Chociaż myślę, że na przykład totalnie bym się nie był w stanie porozumieć z pisiorami. Bo to są ludzie przede wszystkim biorący odwet. A człowiek, który bierze odwet, jest zaślepiony.

12.

[*alfa wilk*]

• Bywam człowiekiem bardzo agresywnym w obronie ważnych dla mnie osób i wartości. Wtedy zamieniam się w alfa wilka.

– A nie w rekina?

• I w rekina. Co mi powiedziano kiedyś. Że dam sobie w życiu radę, bo jestem rekinem.

– Tak. Już mówiłeś o tym. Trzy razy. Edek mnie zabije, jeżeli jeszcze raz to będzie.

• Trzy razy? No to już nie mówię.

13.

[*kongenialne*]

– Co to jest to „kongenialne”?

• Kongenialne? To jest specjalny rodzaj genialności. To jest coś więcej niż genialne.

– Rozumiem.

• Ale twój Edek mówi, że to nie jest poprawne użycie. Więc ja już to wyrzuciłem ze słownika.

– Rzeczywiście coraz rzadziej tego używasz.

- Właściwie w ogóle nie używam, bo kiedy chcę użyć, to przypomina mi się Edek. Nigdy tego nie sprawdzałem, po prostu ufam mu.

ZWYKŁY SZARY CZŁOWIEK

– Proponuję dzisiaj krótko. Krótko, ale smutno. Wiem, że to cię bardzo poruszyło: Piotr Szczesny, który się podpalił. Zwyczajny szary człowiek.

- Mam wrażenie, że znalazłem się w ciemnej studni, z której się nie mogę wydostać. Czasami śni się sen, w którym nie jesteś w stanie rozpoznać miejsca akcji. Wiesz, że musisz uciec, ale nie możesz znaleźć kierunku. I to jest strasznie silne. Do tego stopnia, że od razu jestem agresywny i wściekły. Chce mi się płakać z bezradności. Jestem sponiewierany przede wszystkim reakcją na ten fakt, jakąś barbarzyńską, która powoduje, że w tym momencie nienawidzę tego kraju, nienawidzę ludzi, którzy go zamieszkują. Mieszkańców Niepołomic, którzy nazywają go wariatem.

– Człowiek podpala się z rozpacz i zostawia list, w którym jest także to, co ja czuję. Siła tego gestu jest taka, że w zestawieniu z tym wszystko, co robię, wydaje mi się bezsensowne, żadne. Czy w czasach barbarzyńskich sztuka ma jakąkolwiek rację bytu? Czy jest sens to robić? Być artystą?

- Być może mój argument jest skrajnie infantylny, ale uważam, że ma, i to najgłębszy. Sztuka daje ludziom szansę. Daje perspektywę. Nawet jeśli ta perspektywa jest iluzoryczna albo utopijna.

– Ale jaką perspektywę?

- Otwiera drogę, na przykład ku obronie człowieczeństwa. Jeśli się przestaje cokolwiek mówić i robić, to znaczy, że się poddało całkowicie złu. Tym samym się to zło aprobuje. Dla mnie jest nieuzasadnione myślenie o bezsensie twórczości w proporcjach do tego aktu. Przymierzasz swoje potencjały artystyczne, swój wysiłek, poświęcony czas do sytuacji ekstremalnej, w której człowiek zamyka swoje życie. Samospalenie jest dla mnie czymś przerażającym i jednocześnie niesamowicie pięknym. I to jest absolutnie nieporównywalne.

– W kontekście kryzysu, którego właśnie doświadczam, kryzysu wiary w człowieka, w świat, a przede wszystkim w to, co robię, ta nieporównywalność uzmysławia mi dodatkowo własną arogancję.

Ja naprawdę wierzyłam, że piosenki mogą zmieniać ludzi. Wydawało mi się, że zbliża się niebezpieczne przesilenie, że lecimy w otchłań. Myślałam, że jeżeli po-

święcę całą swoją energię, totalnie się temu oddam, jeżeli będę wystarczająco głośno krzyknąć, to wystarczy. Nie mam już złudzeń. Jeżeli jeszcze będę się zajmować sztuką, to będę chciała robić rzeczy, które będą dawać ludziom po prostu wzruszenie, może radość. Nie wyobrażam już sobie siebie na barykadach, w walce. To się wyczerpało. Krzyk się we mnie zużył.

- A czy nie będzie to unik?

– Ale ja już nie mam siły.

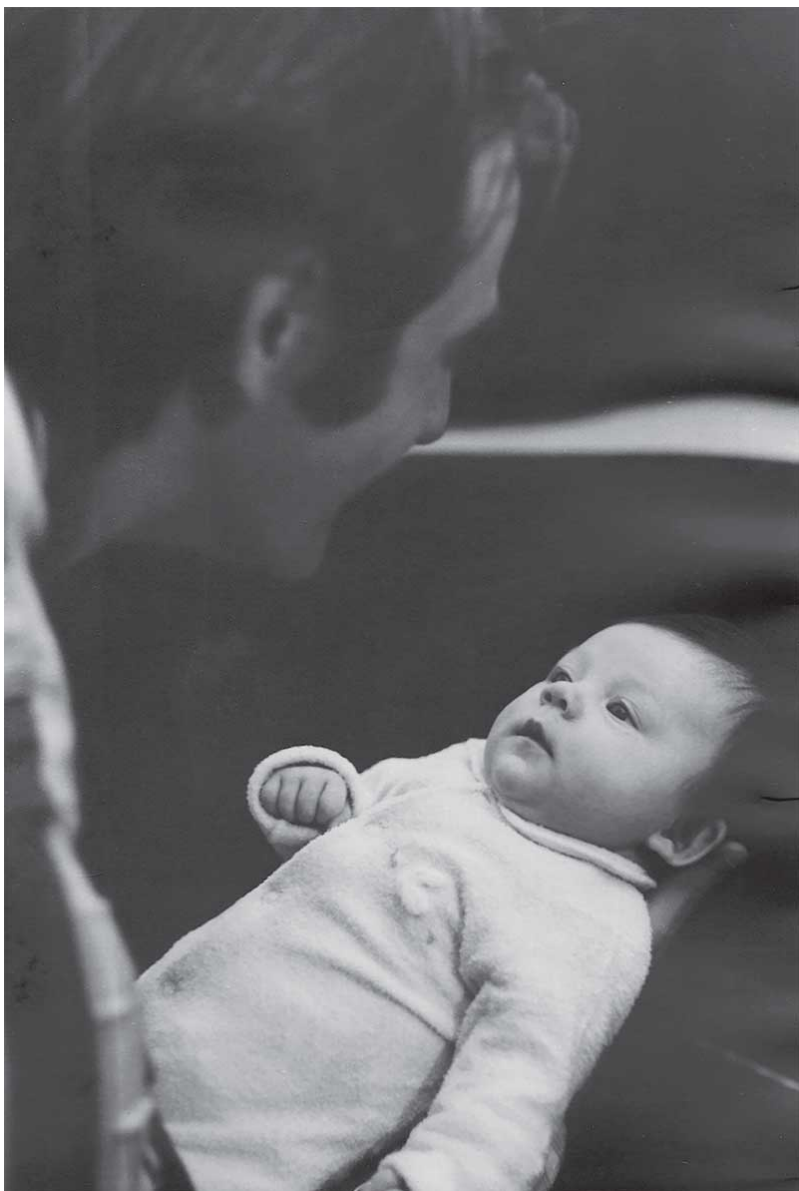
- No właśnie. Nie masz już siły. Ale, Marysiu, zastanów się. Śpiewałaś o rzeczach w gruncie rzeczy przerażających, a chciałaś, żeby ludzie mogli do tego tańczyć. Czyli pragnęłaś jakiejś sprzeczności samej w sobie.

– To też było pyszne. To się nie udało.

- Pragnienie zestawienia arcyważnych rzeczy i pulsu muzyki niemal rozrywkowej ja rozumiałem bardziej unistycznie: jako połączenie afirmacji i radości z nieustannie kotłującą się w nas ciemnością.

– Inni nie zrozumieli.

• • •



Kiedy zamykam oczy, widzę to, co po tamtej stronie powiek.

Moje gałki oczne robią fikołka i przyglądam się wnętrzu swojej głowy od środka.

Widzę parujące zagony myśli, obrazy czekające w ciszy na swoją kolej.

Idealnie posegregowane, wilgotne grządki słów, kielkujące idee.

Zuchwałę pomysły odstawione do fermentacji.

Zero chaosu, zero przypadku.

Popaczkowane czekają na decyzję, sygnał. Wtedy ładują się do katapulty i strzelają w świat.

Kiedy obolała, opluta i zraniona reakcjami czółgam się do nory, wita mnie tata z szeroko otwartymi ramionami i uśmiechem: „Kochanie, ty masz jakoś inaczej pofałdowany mózg”.

I gratuluje zwycięstwa.

• • •

• To, co mnie najbardziej poniewiera w śmierci Piotra Szczęsnego, to reakcja na nią. Dla mnie to akt święty. Słuchałem tych kretynów z Niepołomic zajętych tylko jedzeniem i wydalaniem, jak obrzucali go błotem. Ciekaw jestem, jak oni by się czuli, gdybym ja obrzucił błotem ich katolickie wizerunki. To jest dla mnie wstrząsające.

– A nie jest dla ciebie wstrząsające milczenie i brak zaangażowania ludzi w jakąkolwiek odpowiedź? Tu się człowiek podpalił w obronie wolności i nic. Cisza. Nikt się tam nie pojawia. Dla mnie to niewyobrażalne.

• On jest totalnie samotny.

– Mało medialny. Jak się wydarzył Smoleńsk i zwłoki były wiezione z lotniska, to cała Żwirki i Wigury świeciła. Tysiące ludzi było w uniesieniu, w odświętnej jedności, ze świecami, kwiatami; obcy ludzie, przytuleni, razem. Bo skala tych śmierci była spektakularna. Bo było dużo trupów. I Edek powiedział wtedy, że to jest taki „nasz sambodrom”. W Brazylii mają karnawał samby, największe wspólnotowe szaleństwo, a my mamy karnawał śmierci. Śmierć nas jednoczy i trupy dają nam ekstazę. Ale musi ich być dużo albo musi ktoś ważny zejść. Zwykły szary człowiek nie wystarczy.

• Bo my jesteśmy kulturą funeralną od pokoleń, od zawsze.

– A do Szczęsnego nikt nie przychodzi.

• On jest miażdżący. Nie wiem, czy on to zrobił w odpowiednim momencie. I już sam fakt, że ja to analizuję, jest beznadziejny. Wszystko mnie mierzi. Jestem

w totalnym dole.

– Ale i we wkurwie też.

• Wkurwie strasznym, bo wiem, że stała się rzecz decydująca i w tym samym momencie jest całkowicie postponowana. I podejrzewam, że te skurwysyny w tym mają zepsute te swoje zgniłe mózgi, że nie będą się tym w ogóle zajmować i w ten sposób skazą ten akt na niebyt.

– A dzisiaj Święto Zmarłych.

• Jedyna osoba, za którą zapalę świeczkę, to będzie on. Ale popatrz, co za idiotyzm. Przecież to się zdarzyło w międzyczasie. Jego śmierć. A ja już wcześniej kupiłem trzy znicze z okazji święta, które mam najgłębiej w dupie. W dupie mam Zaduszki i te nasze posty polskich dusz.

– Wieczne grzebanie się w grobach.

• Napawa mnie obrzydzeniem to wszystko, w czym biorę udział. A jednak świeczki na jutro kupiłem. Jakbym się bał, że jak nie pójdę zapalić w tym dniu świeczki na grobie rodziców, to im się coś po śmierci stanie.

Nigdy nie zapomnę reakcji grabarzy, którzy kopali grób dla matki w miejscu, gdzie leżał ojciec. I ja stałem nad tym. Przypadkowo się znalazłem na cmentarzu, bo załatwiałem jakieś tam urzędowe sprawy. I oni kopali ten grób, oczywiście w dupę pijani, jak to grabarze, i mówią: „Panie Jasiu! Pewnie pan czeka, czy po tatusiu coś tu zostało? Panie Janeczku! Nic nie zostało, nawet jeden ząbek, choć był dentystą. Ani włoszek, nic”. I ja słucham, jak oni ten żwir przeszukują, czy tam nie ma jakiejś resztki mojego ojca, który będzie z moją matką pochowany.

I przyznam ci się, że było mi to tak strasznie wtedy obojętne. Ale zacząłem od tego, że mam w dupie Wszystkich Świętych, a chciałem powiedzieć, jak silne są kody nasze polskie, religijne. Kup trzy znicze dla córeczki, żoneczki i siebie. Bo Zaduszki.

• • •

– Nigdy nie miałeś dość? Tego kraju, tych ludzi, samego siebie tutaj? Nigdy nie miałeś wystarczająco silnego wkurwu, żeby wyjechać? Przecież wiesz, że są miejsca, gdzie łatwiej się żyje. Nigdy ci nie przyszło do głowy, żeby pierdolnąć tym mrokiem, tym nienawidzeniem siebie i spróbować żyć gdzie indziej? Tam,

gdzie jest światło? Gdzie nie ma tego gmerania w grobach, masochistycznego zadawania sobie bólu i bycia razem tylko w tragedii i w śmierci?

- Nie. Dlatego że ja nie rozumiem w ogóle fenomenu ucieczki.

– Ale to nie jest ucieczka, to wybór. Wybór światła. Dlaczego masz się męczyć w ciemności?

- Może to moje przekleństwo, ale nie potrafię. Akurat ja, który jako pierwszy w rodzinie, jako licealista jeszcze, mogłem wyjechać do Stanów, korzystając z amerykańskiego paszportu matki. I rodzina mi proponowała, żebym przyjechał do Ameryki, studiował i został. Miałem tam wszystko załatwione od szkoły średniej. A ja odmówiłem. Nawet mimo niedojrzałości, takiej wiekowej, nie wyobrażałem sobie siebie tam. I dalej nie wyobrażam.

To przekleństwo. Moje miejsce po prostu jest tutaj. Bardzo bym chciał, żebyś nie traktowała tego jako zobowiązania, bo jeśli znajdziesz swoje miejsce gdzie indziej, na końcu świata nawet, to jedź. Natomiast ja nie jestem w stanie. Użyłem słowa „ucieczka”, bo jakoś wewnętrznie uważam to za ucieczkę. Im trudniej, tym bardziej trzeba się mierzyć.

– Ale to, co teraz mówisz, to jest właśnie strasznie polskie! To co? Należy tkwić w tym cierpieniu i znoju?

- No właśnie, bardzo polskie. Ale jestem Polakiem, nic na to nie poradzę. Widzę gówno, w którym żyję, ale nie zostawię go, żeby śmierdziało. Nie zamierzam go zasypywać. Chcę coś z tym robić. Tutaj.

Mam siedemdziesiąt pięć lat, jestem dzieckiem ostatniego roku wojny, naprawdę przeszedłem taką ilość transformacji, fascynacji, klęsk, zapaści i rozczarowań, że teraz bardzo chciałbym mieć już święty spokój. Jestem stary. I chciałbym, żeby Teresa też się tym wszystkim tak strasznie nie przejmowała. I mógłbym wyjechać, nawet stać nas na to. A jednak wybieram okropne ryzyko w tym kraju.

– Absolutnie cię rozumiem. Wszystko, co robię, ma kontekst polski. Polska jest ważna dla mnie. Bez niej tego nie ma. I w jakimś sensie mnie też nie ma. Wkurwia mnie, ale też inspiruje, wzrusza, a czasem, rzadko, ale jednak, czasem zatyka mnie jej piękno.

• • •

- Pamiętam, jak był u nas Douglas, syn starego Kirka. I po spektaklu *Transatlantyku* gościliśmy go na kolacji i on powiedział mi, że gdybym zrobił to, co robię w tym Gonzalu, tam, to już byłbym po wszystkich Oscarach. Ale ja jestem tu! Nie tam! I to jest zasadnicza różnica. Tu chcę być. I nie żałuję jakoś szczególnie tych Oscarów.

– Lubię w tobie, że w ogóle nie masz goryczy w tym temacie.

- Zgorzkniały artysta nie jest nikomu potrzebny. Jest jak stary spleśniały grzyb. Żyje, ale już nic z niego.

– I jeszcze śmierdzi.

- I truje tym smrodem.

– A kombatanctwo nosi jak krucyfiks. Dlatego to, co ja teraz robię, to nie unik. Ta przerwa. Raczej misja ratunkowa. Jak jest awaria w samolocie i wypadają maski tlenowe, to najpierw musisz założyć maskę sobie, a dopiero potem sąsiadowi. Więc jak ludzie mówią do mnie: „Maria, musisz! Śpiewaj! Teraz. O tym, co się dzieje”, to ja wiem, że nie muszę. A nawet mi nie wolno. Bo nie mam siły. A przede wszystkim chwilowo wiary. Taki moment. Awaria systemu. Muszę się odbudować. To kwestia elementarnej uczciwości.

- Ja na pewno wiem jedno w tej chwili. I to dotyczy tego, co mówisz, to dotyczy Szczęsnego i generalnie każdej podobnej chwili. I to trzyma mnie przy życiu i w jako takiej formie. Mianowicie w najgorszej sytuacji, która spada na ciebie z nienacka, której nie rozumiesz albo która cię przeraża, nie wpadaj w panikę. To się łączy z tym, co mówisz o maskach. Nie wpadaj w panikę.

I ja teraz sam w sobie, ze sobą, w związku z szarym człowiekiem czekam. Czekam, co się we mnie wykluje. Być może to kwestia godzin, dni albo tygodni. Tak samo, jak wierzę, że zbliża się koniec rządów tych barbarzyńców. To pęknie niedługo. I wtedy trzeba będzie mieć dużo siły.

– W jakimś sensie przecież to, co się dzieje, nie jest niczym zaskakującym. Pamiętam, czego mnie uczyli w humanistycznym liceum w klasycznej klasie. Że świat to cykle. Powstawały rewelacyjne cywilizacje, sztuka kwitła, odkrycia, demokracja, progres. Następnie przychodziły hordy barbarzyńców, srały w świątynie, paliły miasta, gwałciły, niszczyły i wprowadzały regres. Świadomość tej cykliczności mnie trochę koi. Teraz jest czas barbarzyńców. Czas niszczenia i srania w święte miejsca. Wydaje się nam, że to koniec świata. Ale za chwilę wszystko

się zmieni. Jestem koneserką katastrof. Wierzę, że są potrzebne jak reset. Ich niszczycielska moc jest niezbędna do wypiętrzenia nowych światów. Gleba po pożarze jest najbardziej żyzna.

- Ale nie możesz się zatrzymać. Co będziesz robiła?

– Będę żyć. To na razie wystarczy. Nie znałam czegoś takiego jak „po prostu życie”. Moja dotychczasowa egzystencja była całkowicie podporządkowana pracy. W zasadzie od dziecka. Więc teraz się uczę „po prostu żyć”. I to nie jest łatwe. Ten mój fokus totalny na pracę, od zawsze, tak się odłożył w ciebie, że ta nauka boli. A muszę się jakoś nauczyć beztroski.

- Ale to ma funkcję budowania fundamentu pod następną budowlę, która się pojawi.

– Być może. Ale nie znajdę nowej formy, nie zmieniając dotychczasowego modelu pracy. A dotychczasowy model, jedyny, jaki znam, to znój. To było zajebywanie się do imentu. Zajeżdżanie do spodu. I mam wrażenie, że czasami przynosiło to umęczone efekty. Interesuje mnie, czy możliwe jest tworzenie bez cierpienia. Szukam nowego języka i nowego sposobu pracy. Po drodze okazało się, że muszę też zmienić sporo w życiu.

• • •

– Jesteś artystą, masz wyraziste poglądy, z którymi się nie kryjesz, jesteś autorytetem, w związku z czym domaga się często od ciebie zabrania głosu w „sprawie”. Jak to rozwiązujesz? Bo z jednej strony to pewnie poczucie obowiązku, czasem własna potrzeba, ale z drugiej części irytacja, kiedy ktoś ci mówi, że musisz. Do tego, podobnie jak ja, organicznie źle się czujesz w tak zwanych wspólnotach. Jak sobie z tym radzisz?

- Totalnie nie akceptuję wspólnot. Jest we mnie jakiś bunt przeciwko podporządkowaniu się stadnym ruchom i stadnemu życiu, z wyjątkiem rodziny. Bo to jest bardzo specyficzne, ale stado.

– Stadko.

- To pewnie dotyczy więzów krwi, bo nie sądzę, żeby ten bunt był związany z wygórowanym ego albo z lękiem przed wzięciem odpowiedzialności za relacje między członkami grupy, nawet w rozumieniu plemiennym. To w gruncie rzeczy

irracjonalne. To mnie mierziło od dziecka. I zawsze dla mnie to była parodia więzi ludzkich, kiedy ludzie, odgrywając quasi-rytuały, grali w jakąś beznadziejną grę. Dla mnie to nie do przyjęcia. Ale może źródłem jest moja pycha?

– „My, naród” to nie ty?

• Na pewno nie. Ja, człowiek – tak. Ale to nie oznacza, że jestem aspołeczny. Wydaje mi się, że jestem osobowością szalenie otwartą na drugiego człowieka.

– I empatyczną.

• W sytuacji, w której jeśli tylko czuję, że dany człowiek potrzebuje pomocy i wyciąga do mnie rękę, zawsze jej udzielam, choć bardzo często dostaję za to kij w dupę.

– Kijem po dupie chyba?

• Mniejsza z tym. Pomagam. Po swojemu. Kieruję się prostą zasadą intuicji, która oczywiście nie jest nieomylna. Zasadą jakiegoś instynktu samozachowawczego.

– A kiedy zgłaszają się do ciebie politycy?

• Nie robię tego! Bo wiem, czym jest polityka i że prędzej czy później zostanie to wykorzystane opacznie. I to nie będę ja. To się wymknie spod kontroli i nawet najbardziej uczciwy polityk, który chce mieć moje nazwisko i moje poparcie, nie zapanuje nad tym.

– A kwestie społeczne? Ja na przykład zawsze poprę środowiska LGBT. I „wariatów”.

• Ja też.

– Te dwie kwestie są dla mnie bezdyskusyjnie ważne. Zwłaszcza chorzy psychicznie. Staram się robić to po swojemu, na własnych warunkach, jako Maria Peszek, a nie jako organizacja, fundacja. A ty?

• Robię sporo. Najchętniej incognito.

– Może to, co najbardziej pociąga ludzi w tobie, z czego sobie raczej nie zdają sprawy, to właśnie niezależność. Chcą się do ciebie dobrać, chcą z ciebie skorzystać

stać, ale nie wiedzą, że w momencie, w którym ty zaangażujesz się w jakiś ruch, pod konkretnym szyldem, stracisz to, co oni tak naprawdę najbardziej w tobie Kochają. Wolność i „nieprzynależenie”. Czy to jest idiotyczne, co ja mówię?

- Nie. Teraz na przykład, w związku z Piotrem Szczęsnym, jestem w dupie. Dlatego że to jest tak ekstremalne wobec naszej rodzinnej afirmacji życia. Ta cena jest niewyobrażalna wobec zła, które się dzieje. To nawet nie jest zło, to jest zalew totalnej głupoty. I rzeczywiście jest tak, że to się ciągle powtarza. Jesteśmy narodem, który tego właśnie wymaga: musi zostać sponiewierany, poniżony i dopiero wtedy się dźwiga. Na moment.

– Jednoczy na chwilę wokół jakiejś trumny...

- Żeby się znowu rozpaść. Akurat teraz jesteśmy świadkami degrengolady. Pędu w przepaść.

– A w tych momentach spadania w przepaść, gdy ciemność cię zmiata, to co wtedy? Bo znowu cię o to samo pytam: skąd brać światło?

- Nie wiem, gdzie jest punkt, w którym to światło ma szansę na erupcję. Ponieważ w tej chwili mam poczucie, że na szyi zaciska mi się pętla. Wiem, że nie zostanę uduszony. I wiem, że to się rozluźni; że w którymś momencie to światło się zapali. Ale nie wiem kiedy. A na razie mam poczucie, że ponoszę współodpowiedzialność za śmierć Szczęsnego. I to jest coś, co mnie okropnie dręczy. I to spowodowało, że nie spałem dzisiaj w nocy, a nie chrapanie Teresy. Nastąpił taki odjazd nagły, fokus do tyłu.

– Czyli rozumiem, że odpowiedzi nie dostanę?

- Nie, ponieważ ja nie mam odpowiedzi, skąd brać to światło.

– Trochę mnie to wkurwia, że nie jesteś w stanie się skoncentrować i mi odpowiedzieć. Albo po prostu nie chcesz. Nie przyjmuję tego do wiadomości, bo nie mogę uwierzyć, że nie masz żadnej wskazówki. Czegoś, czego by się można uchwycić, żeby w tej ciemności nie zatonać. Dla mnie to jest teraz ważne.

- Nie dam ci tego. Ani dzisiaj, ani w ogóle. Ale dzisiaj szczególnie, bo jestem wypełniony pustką. Nie wiem, w którą stronę się udać, bo nie wiem, czym jest śmierć tego człowieka i po co ona jest. Co ona znaczy? Wiem jedno: nie mogę pozwolić, żeby o tym zapomnieć. I dlatego nagle moja własna dupa i światło,

i moje życie się unieważniają. Schodzą na dalszy plan. Mam zamęt w głowie. Mam usterkę. I w związku z tym nie potrafię dzisiaj, ale też nie wiem, czy w ogóle bym potrafił powiedzieć, skąd biorę przekonanie, że światło mnie nie opuści.

– Może sens tych rozmów jest taki, że muszę wreszcie zrozumieć, że nie dostanę od ciebie odpowiedzi.

- Ani konkretów.

– Też jestem obolała i chcę czegoś od ciebie, a ty jakby w ogóle tego nie widzisz. Mówisz cały czas o sobie.

- Wiesz, że nazwane przestaje istnieć? Ja wiem, o co ci chodzi i do czego się dobijasz. Myślę, że podświadomie chciałabyś dostać w spadku taki bezpiecznik.

– Chciałabym.

- Zabezpieczenie, że jak mnie nie będzie, to ty tam sięgniesz. A to tak przecież nie działa. Ta powtarzająca się fraza: „Zanim umrzesz”, jest bezczelna. „Zanim umrzesz, tato, to mi wszystko opowiedz”, „Zanim umrzesz, to mi wytłumacz”. Na razie wszystko wskazuje na to, że śmierć mi nie grozi.

– Tak? A jak się umówiliśmy na pierwszą rozmowę, to miałeś zawał. Tylko zaczęliśmy i jeb.

PRZESTRZEŃ

- Aktor musi umieć budować przestrzeń. To, co jest naokoło. Ta przestrzeń to coś ulotnego, drżąca struktura, w której dochodzi do głosu twoje prawdziwe „Ty”. A kiedy jesteś najbardziej sobą, nie masz żadnych ograniczeń. Nic nie blokuje twojej spontaniczności.

To całkowite otwarcie się na „Tu”. Uruchomienie własnych instynktów, receptorów odczuwania.

Zapomnienie tego, co wiesz, co latami gromadzisz: wiedza, asocjacje, doświadczenia. Umiejętne korzystanie z tego wszystkiego jest wspaniałe, ale zawsze to kontekst twojej odmienności jest kluczowy.

Ażeby mieć do niej dostęp, musisz umieć zapomnieć o tym, co „Tam”.

Macha ręką, pokazując dziesiątki kilometrów szyn za nami i tyle samo przed. Siedzimy na torach niedaleko domu rodziców w podkrakowskiej Olszanicy. Jest czerwcową noc.

- Im bardziej zapomnisz, tym bardziej sprzyjające warunki stwarzasz do „Tu”. I do fluktuacji. Ten mikrokosmos jest bardzo czuły – dodaje szeptem.

– Czy można to samo zastosować jako technikę życia?

- Absolutnie tak! To przepis na witalność. Ale pamiętaj: trwałość punktów oparcia jest martwa. Przepływ drżących impulsów z ciebie jest kluczem. Bycie w ruchu. Swoboda. Luz. Otwarcie. I twoja własna przestrzeń wolności.

Świta. Pod tyłkiem czuję chłodny dotyk stali. Mam poczucie siły. Ogarniam. Wiem. Właśnie posiadam największy sekret egzystencji. Jakieś ptaki budzą się z wraskiem w krzakach. Świergot, życie. Tato z szatańskim błyskiem w oku podrywa się i wykonuje kilka tanecznych skoków. Jest lekki jak piórko. Świeci. Widzę ektoplazmę, która unosi resztki włosów wokół jego głowy.





BAGNA

– Czy tobie się podoba, co ja robię w sztuce? Jest to dla ciebie interesujące?

- Na początku byłem okropnie spięty. Ucieszyłem się, kiedy na Festiwalu Szkół Teatralnych, gdzie pojechał twój dyplom, który z wami zrobiłem, nagrodę od głównego, nobliwego jury dostała twoja koleżanka, nie ty. Bo to było takie przewidywalne. Potwierdziło to, co myślę o tym festiwalu. A myślę niedobrze. Ty dostałaś nagrodę od jury studentów, czyli najważniejszą w moim przekonaniu.

To był pierwszy sygnał, który kasował moje lęki. Czy dobrze wybrałaś. Bo nie ma nic gorszego niż jakaś średnia. Zwłaszcza dla kobiety w tym zawodzie, to jest masakra. Okrutna, tragikomiczna sytuacja.

– Dlaczego?

- Bo kobiety mają przekichane z tysiąca powodów. Przede wszystkim cała dramaturgia jest pisana pod facetów, a wam daje jedną dziesiątą szans. Jest o wiele więcej kobiet w tym zawodzie, niż potrzeba, więc mordercza konkurencja. Do tego idiotyczna zasada w obsadzaniu młodymi, bo jednak dość szybko się starzejecie, a przychodzą nowe. To zawód zdominowany przez mężczyzn i jak byście się nie przebijały, jest wam po prostu trudniej. Więc to było dla mnie ważne.

Potem, oglądając różne twoje role: Elżbietę Bam, Iwonę, Kubusia P. czy zupełnie zagadkową dla mnie Rimmę w *Martwej królownie*, pomyślałem: „Boże, to jest wymiar jakiegoś wspaniałego aktorstwa, ale też graniczącego z czymś, co ci może zagrozić”. Bo to było szalenie intensywne i wyczerpujące. Pamiętam też, jak grałaś psa, czyli Nadeżdę, w *Sytuacjach rodzinnych*, i to było kapitalne. Zawsze kombinowałaś niebanalnie i absolutnie osobno. To wynikało z jakiejś twojej walki. Takie jest moje, pozaemocjonalne, co jest dość trudne, wrażenie.

Na pewno to, co cię cechuje w pierwszym skojarzeniu, to bezwzględna odrębność. A potem odeszłaś z teatru. Twój instynkt czy intuicja kazały ci podjąć decyzję, której tak naprawdę nie rozumiałem, ale wierzyłem w jej powodzenie i w to, że wiesz, co robisz.



– Ja wtedy tego do końca nie rozumiałam, ale wiedziałam, że muszę odejść.

- Odbierałem to jako niechęć do brania odpowiedzialności za czyjeś dziadostwo i fakt, że musisz dzielić się z czymś nierównoważnym, podpisywać taką wspólną listę. To jest mi bardzo bliskie, ale sobie z tym jakoś radzę. Poza tym nigdy się nie odważyłem robić niczego innego. Oprócz awangardy, ale to się samo zrobiło.

Przez twoje pójście w śpiewanie, komponowanie i pisanie tekstów, które stały się dla mnie zupełnie, powiedziałbym, zjawiskowe i odrębne, próbuję zrozumieć, gdzie jest ojciec, który pragnie twojego spełnienia, a gdzie artysta, który jest w stanie ocenić, jakie to robi na nim wrażenie. Każda płyta jest skrajnie inna. To jest tak oryginalne, że z niczym nieporównywalne. Człowiek mimowolnie wchłania różne interesujące zjawiska w sztuce i prędzej czy później gdzieś ma to wpływ na jego ostateczną wypowiedź, ale to, co ciebie cechuje jako artystkę, to że nigdy w twojej twórczości nie ma cechy kopistki. Czym przesiąknięte są wszystkie te cipy z naszego polskiego rynku, które po prostu nie mają nic do powiedzenia. Śpiewają o niczym, posiłkując się jakąś imitacją pseudopoetyckich albo pseudowywrotowych spraw.

Nie chcę rzucać w tej chwili nazwisk, ale te tak zwane skarby narodowe, no, dla mnie to jest gówno. Szalenie utalentowane, w sensie, że elastyczne, muzyczne, no ale to natura dała. Na przykład piękny głos, barwę. Tylko że to jest totalnie o niczym. Mnie o wiele bardziej stabilizuje w moim poglądzie wypowiedź Jarosława Mikołajewskiego, wybitnego poety, który twoje teksty nazywa nową poezją. I ja też tak je rozumiem. Przede wszystkim ty zawsze piszesz o czymś.

– Czyli akceptujesz?

- Absolutnie. Prawdopodobnie całe lata poszukiwań i udręk w teatrze spowodowały, że ta katapulta, która cię z niego wyrzuciła, miała niezwykle siłę. Nie tylko separacji od tego, co jest za tobą. Tam było mnóstwo pozytywnych doświadczeń, które cię naładowały, i warstw, które dały ci taką rakietę, która przez tych kilka płyt po prostu przez Polskę przeleciała, czego dowodem jest ta część społeczeństwa, która nie zidiociała, widzi różnicę i której jesteś potrzebna.

– Bardzo budujące jest to, co powiedziałeś.

- Jak będziesz spisywać, to chcę, żeby te „cipy” padły.

– Dobrze, „cipy” zostają. A czy masz jakiś pogląd, dlaczego ludzie reagują na moją osobę tak silnie? Bo pierwsze dwie płyty były generalnie uwielbiane, ale począwszy od *Jezusa*, jest pasmo jebania. Jest też wyraźny rozdźwięk pomiędzy

tym, co recenzenci czy środowiskowi decydenci piszą, a tym, co odbiorcy, tak zwani zwykli ludzie, czują. Często recenzje są wręcz napastliwe.

- I obraźliwe.



– Część ludzi chciałaby zakazania tego, co robię: na przykład „akcja zdelegalizowania twórczości Marii Peszek”. Albo te listy, wiesz jakie, bo także do was przychodzą, że mnie zabiją czy że spalą mi dom, a tobie dupę skopią, żeś mnie spłodził. Że się modlą o moje nawrócenie. Albo politycy nawołujący do bojkotu moich koncertów, bo taka twórczość powinna zostać zakazana. Bo szkodzi Polsce, a piosenki są antypolskie. Co ich twoim zdaniem tak naprawdę wkurwia?

• To jest dla mnie szalenie prosty pejzaż, który ma wiele aspektów. Przede wszystkim kiedy poruszasz wątek antypolskości, to w obronie Polski staje cała ta mierzwa ciemna, pisowska, której jedyną bronią jest się zemścić. Mieć w rękę młot i walić nim po głowie bezwzględnie, bo nic innego zrobić nie potrafi. Ale głównym motorem nienawiści jest poczucie zagrożenia. Nawet jeśli to nie jest uświadomione, bo w większości oni sobie tego nie uświadamiają, to w momencie, kiedy się ukazuje twoja płyta, najbardziej wściekli są na to, że nigdy w życiu czegoś podobnego by nie napisali.

– Czyli wkurza ich jakość?

- Najbardziej. W Polsce, ale tak naprawdę wszędzie, obowiązuje generalnie przeciętność. Czasami świetni aktorzy, którzy porobili kariery, sami mówią: „Zrobiłem karierę tylko dlatego, że jestem absolutnie przeciętny”. Jest taki mechanizm przeciętności, który obowiązuje również u nas: rozdawnictwo nagród, nominacji i tak dalej. Przeciętność jest bezpieczna. Cała ta banda krytyków, którzy są często wykształceni i którym trudno odmówić wrażliwości, ale żaden z nich się nie narażi.

Twoje dwie pierwsze płyty były bezpieczne, a jednocześnie wprowadzały nową jakość. No, weszła nowa dupa do wsi. Wiesz, nowy zapach, nowe rymy...

– Nowa maskotka.

- Bezpieczna, bo z teatru i pewnie tylko na chwilę. Można nią obracać, przyglądać się. Każda grupa krytyków znajduje sobie własnego złotego cielca, któremu bije pokłony i z którego robi dobro narodowe: „Tego nie wolno tykać!”. Nikt nie powie głośno, że to „dobro narodowe” się powtarza, że robi główniane płyty, że po prostu nie jest już niczym istotnym. „Dobro narodowe” już dawno powinno odejść na emeryturę, ale ono przynosi im zysk, bo mogą o tym pisać i dzięki niemu istnieją.

Natomiast ktoś krnąbrny, kto się wymyka spod kontroli, staje się wymarzoną celem ataku, chłopcem do bicia. Wspaniale jest przypierdolić komuś wyrazistemu. Tak samo jak dla rządu, dla polityków jakiegokolwiek partii społeczeństwo, w moim przekonaniu, nie ma żadnego znaczenia. Polityka to są wszystko hasła, które ktoś skrzętnie wymyśla i dobrze rozpisuje, zwłaszcza przed wyborami, lecz generalnie to banda cyników. I w sztuce też powstał taki język, którym na przykład krytyka obraca. On polega na tym, że im „pozornie” na czymś bardzo zależy, że czegoś im bardzo szkoda i tak dalej. Ale nic ich to nie obchodzi! Potrafią odróżniać, ale każdy dba o swoją dupę. I się nie wychyli.

– Może trzeba się tym zająć na stare lata?

- Ja już wielokrotnie myślałem, że przyjmę na początek pseudonim, oczywiście kobiecy, i zacząć jebać.

– Ale do tego byłby ci potrzebny internet.

- No właśnie wiem...

– Bo gdybyś miał jako „krytyczka” swój profil, to piszesz i w przeciągu paru-nastu minut setki tysięcy ludzi są w stanie to przeczytać.

- I to jest powód, dla którego może się nawrócić na komputery.

• • •

- Wracając do ciebie, nie pozbędę się pewnej emocjonalności, ale rozróżniam. Przecież te wszystkie płyty, które się ukazują, to są kolejne zrzuty używanej odzieży.

– A co jeszcze ludzi wkurwia we mnie?

- Twoja niezależność. To jest następny punkt, bo najpierw ich wkurwia jakość. Jedną z postaci, którą grałem wśród kilkuset ról, mianowicie Salieri w *Amadeuszu*, na końcu sztuki wypowiada kwestię, którą uwielbiałem i która mnie przenikała do szpiku kości. Nie pamiętam dokładnie, jak brzmiała, ale jej sens był taki: „Miernoty całego świata, łączcie się”. Ponieważ Salieri był miernotą. To świetny przykład funkcjonowania tej zasady. Słyszał, co ten gówniarz Mozart wyczynia.

Ja ani ciebie, ani twojej twórczości nie porównuję tu do Mozarta. Oczywiście krytycy po przeczytaniu tego natychmiast się na to rzucą jak na łakomy kąsek. Szczęśliwie mam to w dupie. Zawsze mnie przejmowała, poruszała perspektywa tego człowieka, który doznał największego poniżenia przez to, że oto pojawił się brylant. Ktoś, kto spadł z gwiazd, jest dwa, trzy razy od niego młodszy i na pstryknięcie palcem pisze rzeczy, których on przez całe życie nigdy nie wypoci. I to jest taka sytuacja. To jest wpisane w instynkt samozachowawczy.

Jak się pojawia nagle sprytna kaczka w stadzie, która jest inna i wykrada coś albo po prostu szybciej doleci do wody, to ją stado zajebie. Tak jest w przyrodzie i wśród ludzi, którzy ciągle są jej częścią. To jest bardzo proste. To tylko świadczy o tym, że to, co robisz, jest wyjątkowe. I nieobliczalne.



– A nie uważasz, że w gruncie rzeczy dostawać nagrody w pewnym momencie kariery jest obciążeniem?

- Nagrody są dla przeciętnych. Dla tych, którzy podobają się wszystkim, a chyba nie chcesz podobać się wszystkim? Ważne nagrody to te, które cię zauważają po raz pierwszy. To jest ważne. Potem nagrody są głównie wstydliwe.

Wielokrotnie zasiadałem w komisjach festiwali, nie tylko teatralnych, i zawsze to było dla mnie piekło, w którym musiałem się upić, żeby nie rozpiezdzielić tego

towarzystwa. I to piekło polegało między innymi na tym, że tak naprawdę, między wierszami, już byli wskazani wygrani, zanim się cokolwiek stało. Dlatego przestano mnie zapraszać, bo zawsze dawałem kontrowersyjne typy. Co znaczy kontrowersyjne? No, nie stadne. Nie byłem w zgodzie ze stadem. To samo jest w szkole teatralnej. Nie biorę udziału we wszystkich posiedzeniach, bo mam po prostu inne kryteria oceny. Część daje zero, ja daję pięć. I odwrotnie.

Dowodem jakiegoś ograniczenia umysłowego wielu twoich kolegów i koleżanek ze środowiska, tego nowego środowiska, są te serie kopiowania. Nie tylko stylu pisania, kierunku muzycznego, ale nawet wypowiedzi. To jest polska nędza, w którą jest wpisany brak indywidualnego głosu.

– Jeżeli coś mnie jeszcze dotyka, to to, że wiem, ile energii kosztuje dobry pomysł. A powielanie pomysłów obniża ich artystyczną wartość. Wymyślenie idei to coś najtrudniejszego w tym, co robię. A tak naprawdę robimy, razem z Edkiem, i trwa to rok, czasami dwa, a czasami dłużej. I całe nasze życie jest temu wtedy podporządkowane. Więc to kosztowny proces. Gromadzenie asocjacji, nakładanie tych warstw, o których mówiłeś. Żeby to było skuteczne, wszystko się musi zgadzać: treść, idea, forma.

Wielu to docenia, ale nikt nie chce zrozumieć, że to czas i praca dwojga ludzi. Zdarzyło mi się usłyszeć w kontekście Edka: ale przecież on to i tak robi, bo cię kocha. Nie mamy problemów z pomysłami, ale już ze środkami na wprowadzenie ich do realu tak. Nigdy nie mamy ich tyle, żeby zrobić to tak, jak byśmy chcieli, więc do tego wszystkiego dochodzi jeszcze czas na obmyślenie, jak to wszystko uprościć. Jak nie ma na śniegownicę, a powinna być zamieć w Pibloktoq, to sobie z papieru narzucam tego śniegu albo cały zapas papierowych hostii wykupimy.

- No tak.

– Albo w sklepie z zabawkami kupimy słynny pióropuszc w ostatniej chwili, bo mi popularna wtedy artystka zapierdoliła złote kółko, na którym Edek wymyślił, że zjadę na scenę w Operze Leśnej. Albo historia z klipem, który kręciliśmy w Ukrainie, gdzie grałam chłopaka. Kilka tygodni później ukazał się klip z tym samym pomysłem dużo bardziej popularnej artystki, z której zasięgami nie mogę, ale też nie chcę się mierzyć. To boli. Kiedy bardziej popularni koledzy podbijają twoje pomysły wsparci finansami, które nigdy nie są możliwe w naszym przypadku. Więc jedyne, co mnie jeszcze gdzieś tam rani, to jak widzę strzępy naszych pomysłów, idei...

- Bezmyślnie użyte.

– I zepsute.

- Marysiu, ale świat jest taki właśnie. Po prostu nikt nie zaryzykuje i nie zainwestuje w coś, co ma bogate asocjacje, jest wrażliwe, inteligentne, bo rynek może tego nie wchłonąć. Ale jak się okazuje, że wchłania, to wtedy trochę uprościmy i kopiujemy.

– To jest jeszcze bardziej skomplikowane. Może by nawet i zaryzykował finansowo, tylko że moje poczucie niezależności nie pozwala mi wchodzić w te kome-raże.

- No właśnie.

– Żeby mieć pewność, że ktoś tego nie spierdoli, także estetycznie. Pamiętasz, jak zaczynaliśmy tę rozmowę dwa lata temu, mówiłam, że zakręć, kryzys życio-wy, twórczy, że coś się wyczerpuje. Pierwszy raz rozmawialiśmy w zimie. Kilka dni później miałeś zawał. Kilka tygodni później rozpadła się całkowicie moja sy-tuacja zawodowa. Przychodziłam taka poraniona i zdezorientowana, mówiąc: „Jestem w dupie, bo mnie zawiodło wszystko, w co wierzyłam”. Rzeczy, które się potem wydarzyły, w niesamowity sposób to pogłębiły, ale też pomogły mi zrozu-mieć, co jest tak naprawdę dla mnie ważne. I teraz rozmawiamy dwa lata później. Dalej nie wiem, jak monetyzować twórczy potencjał. Nagrałam chyba najlepszą płytę w życiu i szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy to ma dzisiaj sens. Wobec degradacji jakości w każdej sferze życia, wobec bestialstwa, głupoty, ale też wo-bec takiej ilości śmierci wokół. Ale podjęłam decyzję i mam wyrazisty pogląd na to, czego teraz chcę. Tylko że się martwię i chciałabym wiedzieć, czy nie będzie ci przykro... Jeśli mój wybór będzie jeszcze bardziej osobny. Radykalnie pustelni-czy.

Tato, czy jeżeli ja zamieszkać, mówiąc metaforycznie, poza wsią, w domu na bagnach, wiesz, w takim domu, w którym nikt nie chce mieszkać... I tylko jak ktoś bardzo będzie chciał, to mnie tam znajdzie, to nie będzie ci smutno? Używa-jąc tej przenośni, chcę ci powiedzieć, że moją decyzją na teraz jest absolutne za-nurzenie się w najdziksz, najgłębszy proces twórczy. Co za tym idzie, będzie to coraz bardziej marginalizowana działalność artystyczna. Nigdy nie będzie to ma-sowa popularność, mówiąc wprost. Na przykład podczas jazdy samochodem nie usłyszysz już, podejrzewam, piosenki mojej w radiu. Będzie to dla ciebie smutne?

- Ale to, Marysiu, że radio, skurwione radio polskie, nie puszcza twoich pio-se-nek, przecież jest dowodem na to, że świat się skundlił w nieprawdopodobnym

stopniu. Mechanizmy kurewstwa zawsze były podobne. To nie jest nowy temat. I dlatego ja z takim zaparciem, po prostu, nie współpracuję z reżimem, to znaczy z telewizją na przykład. Nie ma takiej możliwości.

– Ale polityczna sytuacja minie, a radio i tak ma swoje marketingowe wymogi. A ja już nie chcę dłużej próbować im sprostać.

- No tak.

– Nie będzie ci smutno?

- Nie będzie mi smutno, bo ja tymi mechanizmami najzwyczajniej w świecie gardzę. Gdybyś się sprzedała, to wtedy by mi było smutno.

– Ja będę dalej robić sztukę, tylko ona będzie...

- Ja wiem, że będziesz. I jeżeli podejmiesz decyzję życia na bagnach i odejścia kompletnego, to ja ci zazdroszczę. Bo ja tak nie potrafię. Bo nadaję się tylko do tego, żeby grać. Więc to będzie twoja decyzja, z którą w ogóle nie będę dyskutował, ponieważ od dziecka mam bezwzględne poczucie, że życie naprawdę jest jedno. Nie wierzę w żadne inne formy życia. Może jakieś tam energie po śmierci jeszcze chwilę fruwają. Ktoś to nazywa duszą, ja tego duszą nie nazywam.

Jeżeli potrafisz się oddalić i być ze sobą, czy z ukochaną osobą, i odnaleźć rdzeń tego, co chcesz robić, którego to rdzenia nikt nie zdeprawuje, nikt nie zdupczy i nikt nie będzie miał prawa oceniać, to wspaniale. Ludzie zazwyczaj tego nie robią, bo po prostu ich na to nie stać i muszą mieć poklask nędzny jakichś festiwalików, jakichś nagrówek, żeby sobie dodawać animuszu. Muszą sobie naklejać cekiny na powieki, dupę, wargi, tlenić się, golić, Bóg wie co robić. Przecież to są wszystko formy tego kalejdoskopu ludzkiego, tych zmian barw. Zwierzęta, jak na przykład... No, jak on się nazywa? Ten...

– Kameleon.

- Kameleon czy ośmiornica w ułamku sekundy przybierają barwę środowiska, w które wchodzi. Więc po prostu te wszystkie miernoty za namową doradców tym żyją. Ale w gruncie rzeczy nie mają kompletnie dla mnie żadnej wartości. I czasami jest mi żal, że ktoś obdarzony pięknym na przykład głosem, muzykalnością jest tak głupi, że się rozmienia i to niszczy.

– Rozumiem.

- Więc jak mówisz o bagnach, to ci ich zazdrościć. Sam chciałbym to zrobić. Ale nie mogę. Ponieważ jestem aktorem. Jestem skazany na innych.

– To pojęcie rdzenia jest dla mnie bardzo ważne. Są artyści, których podziwiam i oni go mają. Kimś takim chciałam być. Mieć ten rodzaj światła, które sprawia, że ludzie za wszelką cenę chcą być blisko. Ten rodzaj wolności, niezależności. Nic więcej nie jest ci wtedy potrzebne, żaden śnieg czy lasery. Możesz wejść na scenę w podartych dżinsach albo w ogóle nago, to bez znaczenia. W życiu też rdzeń się przydaje. Bo nawet jak masz wielkie plany i olbrzymie otwarte serce, a życie czasem cię wywraca, to znajdziesz wyjście z matni. I dbanie o ten rdzeń jest kluczowym, moim zdaniem, obowiązkiem człowieka.

- Masz dbać o rdzeń, odnaleźć równowagę i dokonywać właściwych wyborów.

– Wybieram aktywność i jasność. Dlatego czasem trzeba zweryfikować mapę, którą się kierujesz.

- Przede wszystkim nie możesz wchodzić w tłum zadzumionych, bo złapiesz dżumę.

– Tak!

- Czy trędowatych...

– Tak!

- Choć podobno trąd nie jest zaraźliwy.

– Jest i taki, i taki. A jedyne, o czym wiem, że robię dobrze, to bycie na scenie i dawanie ludziom energii.

- Być może potrzebujesz oderwania się, niezależności. Jakkolwiek się to skończy. Tam na tych bagnach.

– To może się też skończyć inaczej.

- Myślę, że raczej tak. Nie zawsze się to dobrze kończy, ale generalnie ludzie uciekają. Z różnych powodów. Pytanie tylko, czy potrafią być szczęśliwi.

• • •

– Jest jeszcze coś, i to się niestety bardzo powoli zmienia, a właściwie się nie zmienia. Moje wymagania wobec ludzkich zachowań.

Mówię o czymś kompletnie już staromodnym, takim jak lojalność. Rzadko spotykana rzecz dzisiaj. I nie wiem, czy to jest kwestia mojej marzycielskiej natury, że ja jednak wolę się czasem wycofać, stanąć z boku, bo strasznie ważna jest dla mnie jakość relacji z ludźmi. I jak coś mi śmierdzi, to w to nie wchodzę. Często sporo przez to tracę, ale wolę nie robić pewnych rzeczy, niż robić je inaczej, niżbym chciała. I trochę się tego boję w tej całej zmianie, która się teraz dzieje. Że będę się na tych bagnach pałętać, bo mniej tam będę narażona na kolejny zawód. Żeby znowu zbudować taką relację, w której ludzie ze sobą na przykład tworzą. No nie da się tego zrobić, nie ufając sobie totalnie, bo tylko wtedy można polecieć. Nie chciałabym się wyautować ze strachu, że mnie znowu ktoś zawiedzie. Masz coś na ten temat do powiedzenia?

• Mam.

– Na przykład co?

• No że ty, podobnie jak Teresa, tylko w zupełnie innych przedziałach znaczeń i kategoriach, nie masz umiejętności układania priorytetów. Priorytety to te główne punkty, które ustalają trasę slalomu. I je można w różny sposób przedstawiać. Jeśli one są stałe i nienaruszalne, na przykład w kategorii lojalności, no to zawsze będziesz miała kłopot. Jeżeli nie założysz, że tę chorągiewkę lojalności można przestawić w inne miejsce i powiedzieć: „Ja temu komuś tego, co on mnie robi, nie zrobię, ale nie przejmuję się tym, co on mi zrobił. To jest jego problem. Bo inaczej, jeśli tego nie jestem w stanie zrobić, to się wywalę w tym slalomie. Przewrócę, połamię nogi, będę się długo leczyć, a on może mi jeszcze dokopie”.

– Dokładnie tak można opisać moją sytuację. Nie dość, że się wypierdoliłam, nogi się połamały i długo się zrastają, to teraz, chcąc zbudować nową rzecz, nawet nie wiem, jak się do tego zabrać.

• Bo nie zrobiłaś, że tak powiem, *résumé* tego doświadczenia. Zawsze się płaci jakąś cenę. Problem jest w skali. Ja nie namawiam cię do wykształcenia w sobie...

– ...cynizmu...

• ...tylko do tego slalomu. Dawno temu zrozumiałem, że ślubu z nią czy z nim brał nie będę. Do łóżka z nią czy z nim nie pójdę. Nie będę się wiązał w taki czy inny sposób. Są mi oni właściwie obojętni, więc w ostatecznym rozrachunku

mam gdzieś to, jak on czy ona się zachowuje wobec mnie. Muszę to znieść, wręcz nauczyłem się bardzo szybko w sprawach zasadniczych kłamać. Myślę na przykład o jakiejś osobie najgorzej, ale nie mówię jej nigdy prawdy. To mnie nic nie kosztuje. Nie łamię to mojego kręgosłupa. Nie mam poczucia, że jestem zdrajcą. I wychodzę z tego cało.

To jest to, co często rodzic mówi: „Nie przejmuj się tak bardzo”. Nie potrafi tego inaczej nazwać. Albo mówię do Teresy: „Naprawdę nie możesz być bliska zawału z powodu tego, że nie dopilnowałaś kaszy i ona się przypaliła. To nie jest problem”. Ponieważ masz otwarte receptory emocjonalności na oścież, to każdy, kto nie zachowuje się tak, jak przewidziałaś, że się zachowa, głęboko cię rani. A on ma prawo zachować się...

– ...jak chce.

- Właśnie. Ale tego nie można rozpamiętywać. Więc teraz idziesz na bagna, tam zbierasz siły, bo po to się idzie na bagna. Nie żeby się izolować i gardzić światem. Tylko po to, żeby zrozumieć, który dla ciebie tor jest najwłaściwszy, na który masz wskoczyć i zapierdalać z prędkością, za którą nikt nie nadąży.

– Najbardziej to bym chciała zamieszkać na bagnach i stamtąd zrzucać mikro-bomby w postaci płyt i książek.

- Nie da się. Ale da się obmyślić, tam właśnie, taką bombę, że jak wystartujesz i ją odpalisz, to rozjebiesz wszystko. Ale to nie może być celem. Na bagnach znajdziesz spokój.

– Oczywiście, że to nie jest celem, ale też uważam, że nie ma w tym nic złego. To jest cecha rasowego artysty. Przecież nie chcesz występować we własnej piwnicy albo grać koncertów w lesie dla czterech gości, nie?

- No skąd. Dla krasnoludków może...

– Ale ciągle mam takie niespełnione marzenie i chyba ono pozostanie marzeniem, że kiedyś jednak spotkam kogoś, z kim razem pójdziemy na taką artystyczną wojnę. I że będzie w tym fokus totalny i czystość intencji. Bez ściem, ucieczek po hajsy, dżobów na boku. Albo że mi ten ktoś nie powie w ostatniej chwili: „Jesteś dla mnie za silna, Maria”. Bo jeszcze kogoś takiego nie spotkałam.

- Bo za bardzo tego chcesz. Zostaw to zupełnie. Na bagna idziesz sama. Bagna mają być zakulisem. Po prostu jesteś za kulisami, obserwując scenę. I zawsze

w perspektywie powrotu na nią z zupełnie innej sytuacji. I jak będziesz naciskać, żeby spotkać taką osobę, to się skończy na marzeniu. Zostaw to w spokoju, a samo przyjdzie. Nie zapominaj, że za kulisami dzieją się tak naprawdę najciekawsze rzeczy.



– Słuchaj, a gdyby był jakiś czarownik i mógłbyś go poprosić o wszystko, to co by to było?

• Ooo! No wiesz, w kontekście tej rozmowy... No to się narzuca mimowolnie. Po prostu bym go poprosił, żeby rozjechał wszystkich złodziei w sztuce. Albo żeby ich zamienił w ropuchy, którymi i tak są.

– Ekstra.

• • •

Jak każde dziecko, chodziłam czasem z tatą do pracy. Czekałam wtedy w kulisach, aż skończy się próba albo spektakl. Kulisy pachniały szminką, kurzem i nerwami. Stały tam kawałki scenografii, maszyny do deszczu i piorunów. Był też hipopotam. Wielki, złoty, zrobiony z papier mâché. Miał różnokolorowe oczy ze szkła i dziurę w brzuchu. Wczołgiwałam się do niej i leżałam, słuchając odgłosów. Komuś kończył się świat, ktoś umierał, ludzie zakochiwali się, kłócili. Czasem wynosili w kulisy miłość, wtedy jakieś jęki, szepty, postękiwania. Awantury, narady i tańce. Ludzie dawali sobie po twarzach, ktoś odpalał bombę, inny gasił ogień. Na proscenium samotna postać w pionowym świetle, tyłem. Jest w opiętej sukni z czarnej koronki na nagie, bardzo białe ciało. Na widowni wrzaski. Odwraca się. Kolczyki oślepiają mnie odbitym w reflektorze światłem. Uśmiecha się pomalowanymi na czerwono ustami i macha do mnie. Tato!

• • •



– Czy jest coś, czego żałujesz?

• Nie. Nie ma czegoś takiego, to jest pierwsza odpowiedź. W drugim punkcie tej odpowiedzi powiedziałbym, że nie mam jasności. Raczej stan niepewności, co do mnie i moich zachowań w trakcie waszego dzieciństwa. Kiedy doszło do mnie, nie tak dawno, jak bardzo na mnie czekaliście, to prawdę mówiąc, byłem wstrząśnięty. Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy i kompletnie nie miałem tej

świadomości. Miałem oczywiście najbanalniejsze poczucie, że jak będę dużo pracował i kupię wam fajne rzeczy, to będziecie szczęśliwi.

– Albo nas zabierzesz do Włoch.

• Albo was zabiorę do Włoch i dalej. Ale jeśli to było tak trudne dla was, to czekanie, to tego żałuję. Bardzo.

• • •

Odbyliśmy wiele dalekich podróży maluchem. Był do nich specjalnie przystosowany. Mama uszyła firanki, a tata zamontował półteczkę na nogi Błażeja. Bo były za długie i wcześniej musiał wystawiać je przez okno.

Zdobył też przyczepkę, do której pakowaliśmy zapasy. Były to czasy biedne. Restauracje, a nawet sklepy zagraniczne były poza naszym zasięgiem. Zabieraliśmy ze sobą makarony i peklowaną przez babcię dziczyznę, konserwy, kompoty i pędziliśmy. Na kempingach nasza podróżna rakietka robiła furorę. Na autostradach ludzie wiwatowali klaksonami. Na Praterze w Wiedniu myśleli, że jesteśmy jedną z atrakcji, i chcieli ładować się do środka.

Dotarliśmy do Bułgarii, Austrii, na Węgry, do Grecji, Rumunii, Jugosławii, a nawet do Włoch. Po drodze ludzie nas karmili, nocowali, pomagali. Nie mogli uwierzyć, że przybyliśmy naszym wehikułem z tak daleka. Z kraju, który budził wtedy wszędzie podziw z powodu pewnego wspaniałego elektryka.

W czasie tych podróży dużo zawsze pływaliśmy. I tata wyszukiwał odludne plaże. Pamiętam kąpielówki taty: granatowe w białe kropki. Zdobywcze. Odwiedziły z nami dziesiątki plaż. Myślę, że tata wykąpał się w nich tysiąc razy. Miał tylko tę jedną parę przez kilkanaście lat, zanim spadły mu z tyłka. Kiedy w końcu guma pękła, mama, zszywając ją, odkryła metkę ze wskazówką: prac na sucho – „dry clean only”.



PRYSZNIC

– Czy mógłbyś opowiedzieć tę historię, jak ogoliliście kolegę?

• Ale on się domyśli, że to on.

– Trudno.

• Jeden z nich już nie żyje...

– Bardzo mi na tej historii zależy.

• Ale bez nazwisk? To było tak, że myśmy oczywiście pili. Już nie pamiętam, co to był za wyjazd, chyba *Kwartet dla czterech aktorów*, ale nie jestem pewien...

– To było na wyjeździe?

• Na wyjeździe.

– Czyli w tak zwanej trasie?

• W trasie. I strasznie żeśmy pili. Ja obydwu szalenie lubiłem, tak żeśmy ze sobą...

– To był Wu Grze?

• Wu Grze i świętej pamięci Ja Chły. Ja Chły był oczywiście zawsze jajcarz pierwszy, a ja mu w tym dzielnie partnerowałem. Potrafił na przykład na trawniku w centrum Szczecina rzucać się na mnie i udawać seks. Ja oczywiście nie protestowałem.

Już nie pamiętam szczegółów, no bo żeśmy byli pijani we trzech, ale w którymś momencie któryś z nas... Kto wie, czy to nie byłem ja albo Ja Chły, czy razem? Nie wiem. Znaleźliśmy się w łazience w prysznicu. I tam leżał, w takim stanie średniej używalności, Wu Grze. Porozbierany, po prostu nie doszedł do łóżka. I Ja Chły mówi nagle: „Chodź, ogolimy mu jajka!”. Ja mówię: „No, zwariowałeś chyba?! No co ty?!”. „Chodź ogolimy go”. „Ale jak to? – mówię. – Nie!” „Ty przytrzymasz, ja będę golił. Zobaczysz, nic się nie stanie. Zostawimy go tak później, w tym...” Ja mówię: „No dobra”.

Namydliliśmy go, ja mu pindola trzymałem, żeby go nie zaciąć, ten go golił. Okropnie żeśmy się oczywiście śmiali. Ten spał, chrapał, w ogóle nie wiedział, co się dzieje. Wypłukaliśmy, umyliśmy, buch! Z powrotem pod prysznic. No i rano trauma. Wu Grze przychodzi zielony, podkrążone oczy. Kac, oczywiście. No i Ja Chły dworuje: „No co? Nie pamięta się, co się narozrabiło, tak?”. Ten blednie i jakoś bąka pod nosem, że dziś ma pierwszą randkę umówioną z nową dziewczyną. To zresztą potem była jego przyszła żona.

– Nu Na?

- Nu Na. Widzę, że jest na skraju wyczerpania. I im bardziej jest na skraju wyczerpania, tym bardziej my wiemy, że nie możemy mu powiedzieć. Że to my. A jeszcze Ja Chły go podpuszcza.

Ja już sobie myślę: „Boże, litości!”. A Ja Chły dalej dojeżdża: że tam jacyś dziwni faceci się kręcili, że tego. Ten był bliski zawału.

– Czyli on do tej pory nie wie, że to wy?!

- Nie wie do tej pory, że to my! I się nie domyślił! Ja Chły zabrał to do grobu. Czasami żeśmy to wspominali ze śmiechem, słuchaj.

Nie wiem, jak się skończyło z Nu Na, ale wiesz, to było: *i smieszno, i straszno, jak by tигра jebał*. To był jakiś idiotyczny wygłup w czasach, kiedy się dużo pijało. Nie wiem, czy się wtedy odbyła ta randka z Nu Na. Stan Wu Grze powodował, że myśmy byli coraz bardziej zawzięci, i nigdy się tego nie dowiedział. Tyle.

K A C

- A nie bliżej to trzeba dać?

– Nie. To jest bardzo dobra jakość.

- Jesteś pewna? Żeby nie musiał się powtarzać.

– Jest świetnie. Słuchaj...

- Siedź prosto i nogi wyprostuj.

– Dobrze. Więc... Nigdy nie wchodzi się na scenę nogą zamykającą, prawda?

- Tylko otwierającą.

– O co tu chodzi? O energię?

- Tak samo jak się nie siada, zamykając się do widza. Czyli jeżeli po lewej stronie mam widownię, a siedzę profilem, to nie zakładam lewej na prawą, tylko prawą na lewą, bo jestem otwarty do widza. Nie separuję się. Ja tak rozumiem te dziewiętnastowieczne przepisy.

– To one nie są twoje?

- Nie, nie są moje. Tak mnie uczyli w szkole i najpierw pobierałem tę naukę bezrefleksyjnie. Potem, z czasem, zadałem sobie pytanie: „No ale dlaczego? Przecież to jest wszystko jedno”. I jednak jestem przekonany, że nie wszystko jedno. Że to są podprogowe sygnały. Albo jesteś otwarty wobec widza i chcesz go, że tak powiem, przyjąć, coś mu zaproponować, albo się od niego separujesz. Separujesz się także przez lęk. Na przykład jak jesteś zdenerwowana, to widz to czuje i tego nie lubi.

– To się łączy z inną rzeczą, której mnie nauczyłeś, żeby za każdym razem brać ze stanu, w jakim się jest. I że nie ma takiego stanu psychofizycznego, który by uniemożliwiał fantastyczny spektakl czy koncert. Czyli jak jesteś na przykład chory, to nie skupiaj się na tym, jak się źle czujesz, tylko czerp z tego. Albo jak jesteś w złej formie psychicznej czy masz kaca, to jeżeli walczysz z tym, to tylko to pogłębiasz.

• Tak. Proponuję i eksponuję, czy eksploruję, to, co mam danego wieczoru. Oczywiście aby to robić, trzeba umieć spowodować stan rozluźnienia, czyli separacji od negatywnych stanów. Jakichś depresji, smutku, czegoś nieudanego, z czym się przychodzi do pracy. Mózg to i tak pamięta, ale nie powinno to decydować o definitywnym kształcie twojej produkcji. Nie należy z tym walczyć, bo to może być katalizatorem niespodziewanych rozwiązań.

– Pozytywnych.

• Tak. Niespodziewanych. Głowa normalnie, w takim stanie komfortowym, nie wymyśliłaby jakichś reakcji, jakiegoś zachowania, jakiejś formy. A często właśnie w sytuacji dyskomfortu produkuje rzeczy, które w komforcie w ogóle by się nie mogły wydarzyć.

– Jak masz katar, to niech ci gil skapnie, nie ukrywaj tego.

• Niech skapnie.

– Rozumiem, że z tego wynika też twoja słabość do tak zwanych awarii na scenie, tak? Odziedzyczyłam to. Awaria jest czymś niesamowicie konstruktywnym.

• Tak jest. I stymulującym. Ale to też wyniosłem w prostej linii z Schaeffera, który niezwykle wagę przywiązywał do przypadku, uznając go za jeden z bardziej twórczych elementów w sztuce.

Jest taki niezwykle piękny fragment, który kończy *Audiencję V*, chyba. Na samym końcu jest monolog o człowieku, który siedzi rano w kawiarni, pije kawę i patrzy na cudowny obraz, będący efektem przypadkowo złożonych plakatów na ogromnej ścianie naprzeciwko tej kawiarni. I jest pod ogromnym wrażeniem rytmu, kolorystyki, zjawiskowego piękna tego obrazu. I nagle przychodzi facet, który rozkleja jakieś tam ogłoszenia i jednym naklejonym plakatem, w jednej sekundzie, kompletnie przypadkowo niszczy tę doskonałą formalnie i emocjonalnie konstrukcję.

Oczywiście mogłoby być odwrotnie, że coś jest nieciekawego i jednym plakatem ten człowiek, który w ogóle nie ma tej świadomości, powoduje, że nagle przed oczami staje niezwyklej urody dzieło sztuki. I w tym sensie przypadek ma taką moc. Chodzi o to tylko, żeby go nie przeceniać, lecz traktować absolutnie swobodnie. Z jakąś, powiedziałbym, ciekawością. O!

– Rozumiem, że to dotyczy też tego, że żaden spektakl, żaden koncert nigdy nie jest stracony, choćby nie wiem, co się działo, choćby nie wiem, jak źle szło,

do ostatniej chwili można odmienić bieg wieczoru. Bo wiadomo, że na to, czy spektakl lub koncert są udane, wpływa mnóstwo elementów. Nasza dyspozycja, ale też publiczność, szereg rzeczy. I często wśród muzyków jest tak, że wiesz, jak już coś nie idzie, wśród aktorów zresztą też, no że oni na to kładą... Jak się to mówi?

- Lachę.

– Lachę kładą i poddają się. A od ciebie wiem i też to stosuję z powodzeniem, pociągając często za sobą innych na scenie, że można odwrócić bieg takiego, w naszym rozumieniu gorszego czy straconego, koncertu nawet w ostatniej chwili.

- Tak. Ale to jest bardzo względne.

– Co my czujemy?

- W ogóle to, o czym rozmawiamy w tej chwili. Ja na przykład jestem wyuczony przez awangardę w prowokacji jako takiej, wygimnastykowany. Tę prowokację pokochałem, bo wydaje mi się, że każda aktywność artystyczna zawsze opiera się na prowokacji. Wiem, że jeżeli coś się zapada i wchodzi w stan na przykład obojętności czy tak zwanego nieudania, to gwałtowne próby naprawienia tego są błędem. Moim zdaniem najpierw trzeba się temu poddać i nie bać się, że to się stacza w inną stronę; uczynić z tego walor i od tego się odbić. Wszystkie nerwowe i spazmatyczne reakcje są okropne.

Nie znosiłem reżyserów, którzy wpadali za kulisy, łapali się za głowę i po zejściu moim ze sceny mówili: „Coś ty zrobił z tym monologiem? Zepsułeś cały spektakl!”, a spektakl się dopiero zaczął. A ja go po prostu powiedziałem inaczej, średnio albo bez takiej energii. I wtedy mówiłem definitywnie: „Spierdalaj!” do takiego reżysera. Bo nie on gra, nie on ma mi mówić, co mam robić, bo to ja jestem żywą tkanką na scenie. Wpadanie w panikę i gwałtowna potrzeba zmiany z powodu rejestracji, że coś idzie nie tak, nie jest dobra. Trzeba się przez jakiś czas oswoić z tym nie tak, żeby to nabrało cechy pozytywnej, i z tego wyprowadzić następną możliwość.

– Myślisz, że można analogicznie przyglądać się dynamice życia?

- Tak. Absolutnie. Oczywiście teraz mam siedemdziesiąt pięć lat i łatwo jest mi mówić. Na przykład wiele napięć z Teresą, która się zmienia, i jest to naturalne, albo ja nie rozumiałem przez wiele lat mnóstwa jej cech. Może na przykład ją

idealizowałem? I nie chodzi o to, że robię uniki. Teraz po prostu przysłuchuję się temu. Potem to albo samo wygasa, albo obraca się w coś innego i można już powiosłować w stronę, w którą chcesz.

– Myślałam raczej nie tyle o dynamice związku, ile o dynamice życia, że coś na przykład fantastycznie żre, wydaje się, że wszystko jest wspaniale, aż tu nagle katastrofa. I ludzie najczęściej wykonują wtedy...

- Drastyczne ruchy.

– I natychmiast chcą wszystko naprawiać.

- I to jest błąd. Niezbędny jest czas, używając przyrodniczego porównania, na proces gnilny. Żeby to coś mogło sfermentować i stać się pożywką dla czegoś kompletnie nowego. Przełożyłem to na związek, żeby dać konkretny przykład. W tak zwanych normalnych związkach, ja nasz uważam za nienormalny przez długość trwania, ludzie, zachowując się zbyt emocjonalnie i ekstremalnie, nie dopuszczają w ogóle możliwych pozytywnych rozwiązań.

– Aha! A powiedz mi, o co chodzi z tą twoją może nie nerwicową, ale na pewno skrajną troską o kwiaty od publiczności? Na przykład dostajesz jakąś zdechłą różę w jakimś małym miasteczku i potrafisz ją przez całą Polskę wieźć w butelce z wodą mineralną; albo kwiaty po spektaklu z Tokio wiozłeś samolotem. I to nie podlega dyskusji.

- Ja nie wiem, czy ja sobie to sam wymyśliłem w ramach mitologizowania rzeczywistości, która jest naszą cechą rodzinną, a na pewno twoją i moją. Raczej to się wydarzyło zupełnie przypadkowo. Nie pamiętam szczegółów, ale ktoś spoza zawodu, może jakaś garderobiana, której chciałem oddać kwiaty, czy ktoś powiedział mi coś, co mnie poruszyło: „Kwiatów darowanych na scenie się nie oddaje nikomu, ponieważ odwróci się łaska publiczności”. I ja, mając skłonności do przesady, tak silnie to zapamiętałem, że od tego momentu nigdy mi się nie zdarzyło, żebym komuś je oddał. Nawet jak wszyscy koledzy oddają bukiety, ja jeden nie oddaję. Nie rzucam w widownię i tak dalej.

– A ten przesąd, że jeżeli trzecia generalna zbyt dobrze idzie, to premiera się nie uda? Zdarza ci się celowo nie dociskać tej trzeciej generalnej? Albo ją wręcz zepsuć?

• Ciekawie mówił o tym Schaeffer, że w każdym spektaklu, pewnie na każdym koncercie też, w sztuce teatralnej, w utworze muzycznym jest moment newralgiczny. Mniej więcej między siedemdziesiątym a osiemdziesiątym procentem, gdzieś w trzech czwartych, takie przesilenie. Ono się różnie manifestuje, ale Schaeffer zawsze mówił, że to trzeba przeczekać, że tego nie wolno pacyfikować. Ja przyjąłem, że tak jest, i się temu poddaję przez całe życie. Nie dyskutuję z tym, raczej obserwuję. Jak trzecia generalna jest doskonała, to tylko trzeba wyostrzyć uwagę na premierze w tym sensie, żeby nie dociskać. Ale bywa też, że te rachunki się nie sprawdzają.

– A sprawdza się, że jeżeli premiera słaba, to świetny bankiet?

• Na ogół tak.

– Przez lata nie mogłam zrozumieć, a teraz jest mi to bardzo bliskie, to twoje podróżowanie do małych, prowincjonalnych miejsc i granie tam, czasem za półdarmo. O co w tym chodzi?

• To są fascynacje, które są związane z faktem, że jestem z małego miasteczka i lubię taką aurę. Bo dziś, z perspektywy moich doświadczeń, nie wyobrażam sobie życia na prowincji. Na wsi tak, ale gdzieś w takim małym miasteczku to byłoby dość trudne. Choć nie niemożliwe.

– Czy to jest rodzaj misji?

• Nie. To nie jest misja. To rodzaj czułości. Taka myśl, że tu żyją sobie ludzie, mają swoje rytuały, problemy, na czymś im zależy, i to życie ich jest jakieś mniej kolorowe, a może właśnie bardziej. Ale co to oznacza? Może są szczęśliwsi. To jest najlepsze określenie, że mam jakiś rodzaj czułości. To nie ma nic wspólnego z poczuciem dowartościowania. Podziwiam pasjonatów, ludzi, którzy gdzieś na odludziu w izolacji działają, sprowadzają ogromnym wysiłkiem, często finansowym, ludzi takich jak ja. Ja zresztą często rezygnuję z połowy honorarium albo na przykład daruję je. Fascynuję się ludźmi, którzy gdzieś na uboczu robią wspaniałe rzeczy. Mnie by na to nie było stać, chyba.

– A grając tam i będąc z tymi ludźmi, czerpiesz inną energię niż w dużych miastach?

• Kompletnie inną!

– Ci ludzie mają inny czas, prawda? I inny rodzaj uwagi.

- Reakcje publiczności w dużych ośrodkach są na ogół przewidywalne. One są zunifikowane. To jest dość przykre. A tamta publiczność, jeżeli ją przekonasz do tego, co robisz, zawsze jest nie na pokaz spontaniczna. Nawet jeżeli te reakcje są przytłumione ze względu na jakiś rodzaj wstydu czy braku odwagi, to są prawdziwe. To jest mi szalenie bliskie. Bo na marginesie tej wypowiedzi nigdy, ale to naprawdę nigdy, nie interesowała mnie kariera.

– A mógłbyś wyjaśnić, dlaczego nigdy nie interesowała cię kariera zagraniczna? Przecież była taka szansa. Nie ciekawiło cię to? Bałeś się? Miałeś w ogóle takie marzenie?

- Nigdy! Nawet jakiś reżyser mnie sobie upatrzył i ze świetnymi zachodnimi aktorami grałem w koprodukcji. I wyklepałem te zdania po niemiecku, angielsku i w jidysz. I nawet z powodzeniem, bez problemu i tak dalej, ale jakoś zawsze... obok. To jest paradoks. Myślę jak najgorzej o naszym społeczeństwie, o naszej tradycji, i myślę zawsze z jakimś przerażeniem o moim kraju, w którym żyję, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że mogę go opuścić albo z niego wyjechać. Nie potrafię tego racjonalnie wytłumaczyć. Nawet kiedy jako licealista mogłem wyjechać i średnią szkołę kończyć w Stanach.

– Ale czemu tego nie zrobiłeś?

- Wtedy?

– Nie, w ogóle.

- Wtedy mi się wydawało, że jest niemożliwością, żebym opuścił moich kolegów, kółko gimnastyczne, Andrychów. Jakoś jestem zrośnięty z tym przeklętym krajem. Nie mam poczucia tragedii czy rozdarcia w związku z brakiem zagranicznej kariery; w ogóle tak zwana kariera jest o kant dupy pośluc.

– No ale jeżeli kariera nigdy cię tak naprawdę nie interesowała, to co w tym zawodzie jest takiego, że ciągle tak intensywnie go uprawiasz? I nie chcesz przestać.

- Moim zdaniem są takie dwie równoległe rzeki, którymi się płynie w aktorstwie. Czasem się schodzą, czasem rozchodzą. To jest pierwsze porównanie, któ-

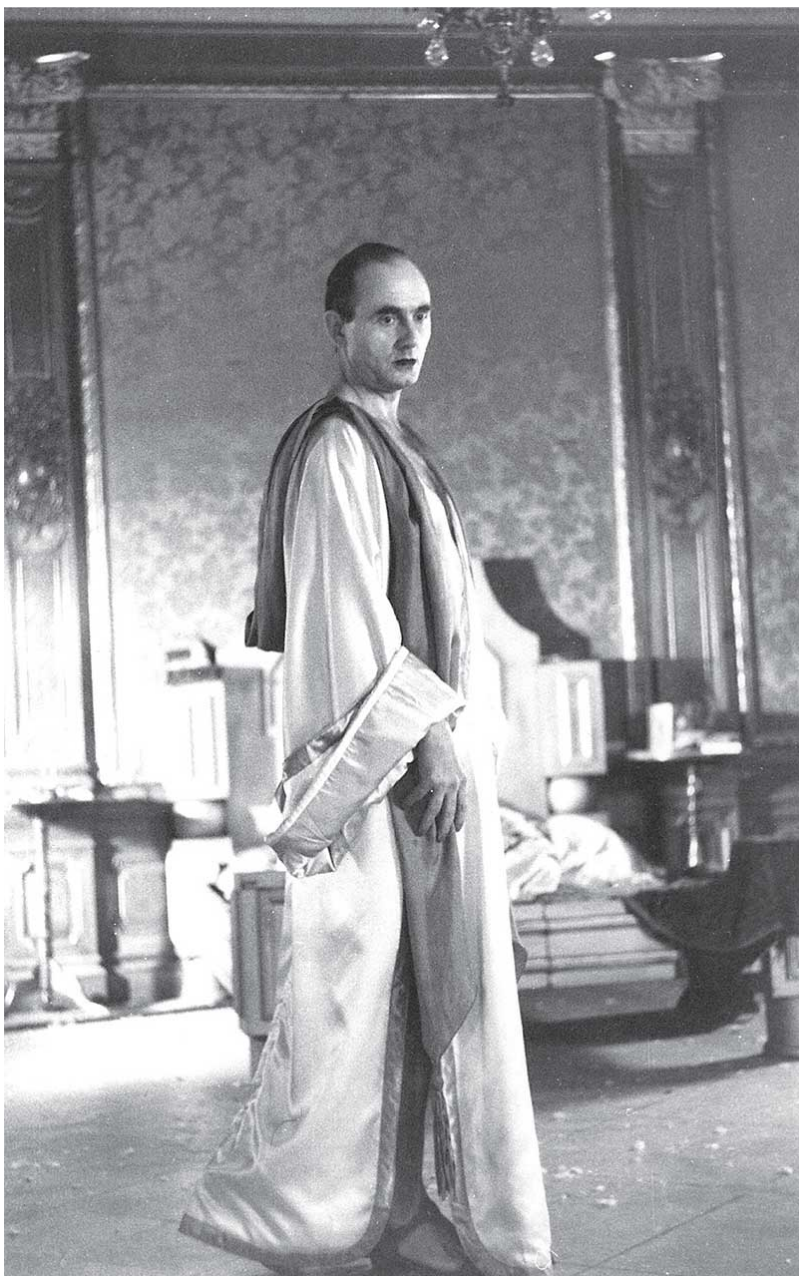
re mi w tej chwili przychodzi do głowy. Takie strumienie energii. Pierwszy strumień to jest dawanie. Powiedzmy, że szczęścia, piękna...

– Poczucia braku osamotnienia.

• Jakiegoś sensu, choćby chwilowego.

– Czyli jest jedna rzeka, która daje...

• Ty dajesz, jeżeli dobrze grasz, istotnie. Publiczność natychmiast to czuje. Właśnie dlatego to jest zawód, który... Być może muzycy też to mają, że od razu jest odzew.



– Myślę, że muzyka daje to jeszcze silniej.

• Na pewno w innej skali, inaczej.

– Bardziej emocjonalne są te odbiory.

• Inaczej energetyczne, na pewno, ale tu i tu otrzymujesz odzew natychmiast. Dajesz, ale też od razu dostajesz z powrotem coś wspianiałego. A druga rzeka dotyczy tylko ciebie. I wydaje mi się, że w teatrze to jest szczególnie namacalne, że wszystko, co robisz, daje ci możliwość poznawania. Podkłada ci zwierciadła, w których się odbijają twoje twarze, których nie znałeś i których się nie domyślałeś. Odkrywasz siebie poprzez sytuacje, w których się stawiasz.

A tak się składa, że ja ze względu na swoją ekscytację tym faktem i totalny brak lęku, który mam dzięki awangardzie, jestem tak obsadzany, i też sam tego szukam, że zawsze gram bohaterów, którzy są w ekstremalnych sytuacjach. Pomijając fakt, że są albo dwupłciowi, albo są to kobiety, geje, zbrodniecy. Zawsze się w to zanurzam do końca i czasami moje zachowania w takich sytuacjach rykoszetem odpowiadają mi, co by było, gdybym ja taki był i jak ja bym się zachował. Dają mi jakieś dziwne skojarzenia i potencjalne wyobrażenia o sobie.

– A druga rzeka to...

• ...to ja w samotności z moimi bohaterami.

– I możliwość przeżyć, których w jednym życiu byś nie zmieścił. I jest to bezpieczne.

• I bezkarne. Daje ci niewiarygodne możliwości poznawcze, ale też kompletny brak ponoszenia odpowiedzialności.

– Nie musisz naprawdę zabić siekierą, żeby zrozumieć, co czuł Raskolnikow.

• Mam spokojny pogląd na ten zawód, z którym często moi koledzy dyskutują. Ja nie muszę, że tak powiem, przespać się z moją partnerką czy partnerem, żeby wiarygodnie zagrać daną scenę.

– Czyli rozumiem, że z Jankiem Fryczem stosunku nie było?

• Nie musiałem spać z Fryczem, żeby zagrać nasz seks wiarygodnie.

– Czyli wybór zawodu był dobry, chociaż totalnie intuicyjny?

• Absolutnie. Uważam, że jestem dobrze wykonującym swoje zajęcie facetem.

– Będziesz grał aż do śmierci?

- Będę grał do śmierci.

– To chyba też jest zawód, który w niezwykłej aktywności utrzymuje głowę, emocje i ciało?

- Tak.

– Jak w ogóle robienie sztuki. Kurde, irytuje mnie, że to tak pompatycznie brzmi. No ale czy piszesz, czy śpiewasz, czy grasz...

- To do końca.

– To chyba nawet nie jest zawód, raczej styl życia.

- Raczej sposób przeżywania życia, powiedziałbym.

• • •

„Noś rękawiczki, bo będziesz mieć czerwone ręce i będziesz grała tylko kucharki”. Nie nosiłam. A jednak byłam Iwoną, księżniczką Burgunda, Martwą Królową i Antygoną. Ale w końcu i tak zostałam Śmieciową Królową.

• • •



– O co chodzi z tym totolotkiem? Grasz jeszcze?

• Ponad pół roku temu przestałem. Przestało mi się chcieć.

– A wcześniej grałeś, bo co? Bo babcia Karola grała?

• Tak sobie grałem. Przechodziłem koło kiosku, a wrzucę. O! Dziś jest kumulacja, wrzucę. I zawsze miałem ustalone w głowie prezenty. Ja nie analizuję tego, czy to byłoby dobre, pedagogiczne czy nie, zawsze to miałem gdzieś. Natomiast miałem bardzo wyraźny podział tej wygranej i tak naprawdę chciałbym wygrać, żeby te prezenty zrobić. Może to przejaw pychy, ale uwielbiam ludzi obdarowywać, żeby się cieszyli. To jest być może infantylne. Na pewno bylibyście głównymi odbiorcami, mówię o dzieciach, a potem całą masę różnych osób bym chciał obdarować.

– Czyli to jest taki kaprys?

• Bardziej kaprys niż próba zakładania fabryki, lokowania pieniędzy albo: a teraz polecę balonem dookoła świata. Nic z tych rzeczy.

– A skoro o pieniądzach mówimy, to twój pogląd jest taki, że pieniądze trzeba wydawać. Nie należy ich gromadzić ani o nich przesadnie myśleć, bo to obciąża głowę.

• Pieniądze są do wydawania.

– Ale byłeś w swoim życiu biedny, a potem to się zmieniło, prawda?

• Tak.

– Pochodzicie z mamą z ubogich domów. Nie byliście głodni, ale bywało niełatwo. Co to jest luksus dla ciebie?

• Na pewno to nie jest coś, co dotyczy zaplecza ekonomicznego, pieniędzy, dóbr.

– A nie wiąże się to z poczuciem bezpieczeństwa, że możesz robić innym przyjemności?

• Może nie zawsze, ale przeważnie się sobie nie sprzeniewierzałem i miałem taki własny, no, nie katechizm, ale swoje proporcje. Na przykład pierwszy nasz wyjazd, takie poważne tournée z MW2 do Szwajcarii, Belgii i Francji, skończył się tym, że trzech kolegów wróciło samochodami.

– Używanymi oczywiście?

• Używaliśmy, ale to były takie samochody, no, po roku. Czyli wtedy to były nowe samochody. Szef MW2 wrócił błękitnym taunusem, pianista czerwonym bmw. To był jakiś sześćdziesiąty dziewiąty rok... Nie! Nawet sześćdziesiąty szósty. To było niewyobrażalne!

– A ty co przywiozłeś?

• Ja przywiozłem mamie bieliznę i kosmetyki od Diora, buty od Diora, tusz do rzęs, perfumy i tak dalej. Obdarowałem całą rodzinę w Andrychowie prezentami. Pamiętam, że moja najmłodsza siostra Beata spała wtedy w kurtce, którą jej kupiłem. Pierwsze puchowe kurtki, biegunówki, się pojawiły. Ja jej kupiłem taką kurtkę. I ona w niej spała, bo nie chciała w ogóle jej zdjąć. Sobie kupiłem magneto-fon Philipsa.

– Pamiętam go!

• Taki na jeden klawisz, reporterski, i przywiozłem całą masę jakichś drobiazgów. W każdym razie wydałem całe to honorarium, a przecież mogłem przyjechać samochodem. Ale do głowy mi to nawet nie przyszło. Pomyślałem sobie, że jest sylwester i jakby Teresa w mini...

– W tych majtkach od Diora...

• Zresztą te majtki pokazała na wstępie, bo się wywaliła na śliskiej podłodze! Przez to się jedna para tam rozpadła, Andrzej M. i jego partnerka, też zresztą Teresa, piękna kobieta, która mu powiedziała: „Ty mi nigdy nie kupisz takiej bielizny”. To było dość przykre, ale myśleliśmy, że to są żarty, a oni się tydzień później rozeszli. Tak że tak.

– Czyli co to jest dla ciebie ten luksus?

• Luksus to jest przede wszystkim przejaw wolności.

– Na przykład?

• Bardzo dużo pracuję, ale sam wyznaczam charakter mojej pracy, jej specyfikę. Nie gram w serialach, więc nie jestem ultrapopularnym aktorem w określonych kastach społecznych. Ale zarabiam wystarczająco dużo, żeby mieć spokojną starość, żeby móc kupić sobie mieszkanie w Warszawie potrzebne mi do pracy i żeby przede wszystkim sprawiać przyjemności. Nie dlatego, że ja chcę coś sobie albo innym udowodnić. Tylko jeżeli moi najbliżsi mają uczucie ulgi czy przyjem-

ności, to jestem szczęśliwy. To jest dość trudne, żeby nie być natrętem, ale ja po prostu uwielbiam rozdawać.

Więc jeżeli mówimy o finansach, to pieniądze dla mnie kompletnie nie mają znaczenia. Oczywiście mama mówi: „Nie pracuj tyle”. Na co ja: „No ale wtedy nie będziemy mogli tak żyć”. „To ja nie chcę tak żyć, tylko żebyś tyle nie pracował”. Ale praca to są także ucieczki przecież z domu. Nie można cały czas ze sobą być, bo to jest nieludzkie. Tyle lat razem.

– A czy kiedykolwiek te czasy biedne były dla ciebie dotkliwe?

• Nie, zupełnie nie. Wydawało mi się to często niesprawiedliwe, że ciągnąc repertuar, grając główne role, przychodzę do kasy i biorę tyle samo albo i mniej od kolegów, którzy grają dziesiątki epizodów i w tym samym czasie, kiedy ja muszę siedzieć, przygotowywać rolę...

– Robią chałtury.

• Robią chałtury, na których zarabiają krocie. To, pamiętam, zawsze doprowadzało do szału Teresę. Dlatego ja tak błyskawicznie urwałem się z etatu w teatrze, kiedy się tylko pojawił tak zwany wolny rynek na początku lat dziewięćdziesiątych. Nie tylko z tego powodu. Facet, który wówczas był moim dyrektorem, po prostu zachował się nikczemnie. I kiedy to odkryłem, z dnia na dzień odszedłem.

– Ale nie pamiętasz czegoś takiego, żebyś był głodny w dzieciństwie?

• Nie. Pamiętam, że długo dostawałem bułkę z szynką do szkoły. Taką dużą bułkę od Marczyńskiego, z masłem, czego mi wielu kolegów zazdrościło. A potem ojca wyrzucono z pracy. Był szefem przychodni dentystycznej przy szpitalu fabrycznym, Andrychowskiego Zakładu Przemysłu Bawełniarskiego, a miał prawicowe poglądy i był zażartym katolikiem, więc go po prostu wyrzucono za wszystko i nękał go urząd podatkowy z Wadowic. I wtedy rzeczywiście zagładnęła do domu bieda. Dostawałem do szkoły tylko suchą bułkę. Bez szynki i bez masła. Był okres, kiedy zjadałem ich pięć. Ale głodny nie byłem nigdy. Nie było dostatecznie, bo było dużo dzieci w domu i mama musiała to jakoś wiązać. Więc wtedy, z perspektywy tej suchej bułki, poczułem różnicę. Jeszcze pamiętam smak tamtej świeżej szynki z bułką, taką chrupiącą, na dużej pauzie o wpół do jedenastej jedzonej.

– Czyli dużo trudniejszy w sensie ekonomicznym był „okres łódzki”?

• Tak, bo najgorsze było to, że przede wszystkim były dzieci i że ja nie miałem poczucia, że jestem im w stanie zapewnić bezpieczeństwo. Nie wiem, to było irracjonalne, ale może wyniesione z domu, bo Karola nigdy nie pracowała zawodowo. Ojciec miał swój gabinet i dla mnie to było takie wzorcowe. Zawsze to powtarzałem, że facet jest od polowania, a kobieta od dmuchania w ognisko domowe. To było dość ograniczone, dzisiaj bym pewnie mówił inaczej. Ale ten podział był dla mnie wtedy oczywisty i dlatego w Łodzi ta sytuacja była spotęgowana faktem, że ja nie byłem w stanie utrzymać domu i...

– To wszystko już opowiadaliśmy.

• Tak? A to nawet nie pamiętam. Najgorsze było to, że ja po prostu wpadłem w alkohol przez fatalne towarzystwo, które...

– Też już o tym mówiliśmy.

• No tak. To już tego nie mówię.

• • •

Na Traktorowej był adapter i słuchało się „Zorby”, Ala Greena i „300 brazylijskich parasolek na plaży” oraz „Gorączkę sobotniej nocy” Bee Gees. Pięć płyt na okrągło. To soundtrack balang na Traktorowej i w ogóle mojego dzieciństwa.

Pewnej nocy tańce przeniosły się z pokoju na dach nad śmietnikiem; pokryty papą, w którą paniom wpadały szpilki i było jeszcze więcej śmiechu. Więc przejeżdżaliśmy ten dach i przerobiliśmy na taki nasz wybieg, a mama obsadziła go kwiatami. Po prostu zaanektowaliśmy go. Na wciąż.

Na balangi rodzice wymyślali potrawy z niczego. Stąd wiem, że kalafior ugotowany w całości, polany śmietaną i posypany stokrotkami zamienia się w superwykwintne danie. Raz tata wyprawił się na łowy do lasu i przytargał torbę winniczków, które przygotował w sosie koperkowym. Były twarde, ciężliwe, smakowały mułem i lasem. Ale w sklepach nic nie było, a u nas wieczór francuski.

• • •

– A jeszcze jak byś mógł wytłumaczyć tak w miarę...

• ...krótko.

– Nie, logicznie. Dlaczego masz takie zaległości w technologii? Z czego wynika twoja niechęć do internetu, komputera? Dlaczego tak się bronisz przed smartfonem? Takim wiesz, że palcem go obsługujesz. Czemu GPS cię obrzydza i nie chcesz go? Mapę wolisz tradycyjną, papierową.

- Najprawdopodobniej to, co opowiadam, jest zasłoną dymną przed istotnym powodem. Jeżeli bym się dobrze temu przyjrzał, to w istocie jest to lęk graniczący z przerażeniem, że nigdy bym się od tego nie oderwał. Jestem typowym przykładem człowieka, który się uzależnia, albo inaczej, który idzie do końca.

– Do spodu.

- Jak się już zerwie z postronków, to żeby miał umrzeć, zagoni się na śmierć. I najprawdopodobniej, gdzieś głęboko w podświadomości tkwi lęk, że bym się zmienił. Że bym nie wyszedł z tego komputera, że jeden świat by mnożył następny. Bo jak widzę młodych ludzi, czasami zaglądam im przez ramię, co nie jest grzeczne, w autobusie... I widzę, że tam przewijają obrazki, filmy, jakieś dziwne rzeczy, to już w tym samym momencie nie mogę się od tego oderwać. Nie czytam gazet z tych samych powodów, bobym czytał jak matka, od świtu non stop gazety. A ja nie mam na to czasu, bo się ciągle uczę nowych tekstów albo powtarzam stare. To by mnie zabiło po prostu. Ja bym się stał kimś kompletnie innym. Znalazłbym sobie innego internetowego i nierealnego siebie i bym się w ten świat zagłębił, ponieważ mnogość tego świata jest jakaś nieograniczona i...

– Bywa też piękna.

- Trochę zazdroszczę młodym ludziom albo jak ciebie proszę czasami o jakąś odpowiedź, to jeden ruch, jedno kliknięcie i to masz, co nie oznacza, że wszyscy są powierzchowni. Aczkolwiek rośnie pokolenie pływaków nartników, którzy się ślizgają tylko po powierzchni rzeczywistości i nie schodzą głębiej. Internet jest niebezpieczny w tym względzie.

– I będziesz w tym trwał? Będziesz nieugięty?

- Tak planuję. Ale na przykład zawsze myślałem, że będę jeździł do końca życia maluchem, a teraz na stare lata kupiłem samochód, który ma trzysta pięćdziesiąt koni, co wydaje mi się absurdem. Ja tego totalnie nie rozumiem.

• • •

– Wracając do Schaeffera, to wiele razy cytowałeś zdanie: „Im bardziej sztuka przylega do życia, tym bardziej wulgarne produkty tworzy”.

• No tak! To jest absolutnie prorocze, co napisał w sześćdziesiątym trzecim roku!

– A w internetach niektórzy się dzielą wszystkim: tu byłem, tu spałem, to zjadłem, to wysrałem, mam pryszczę, za chwilę go wycisnę. I ludzie na tym robią olbrzymie pieniądze. Niektórzy robią też sztukę z tego. A przecież Schaeffer nie mógł wtedy przewidzieć, że powstanie taki rodzaj platformy komunikowania się ludzi.

• Ja myślę, że on jak nikt inny... Teraz taki kompletny przeskok, ale wydaje mi się, że na przykład nie miał przenikliwości Penderecki, a miał ją w niezwyklej rozciągłości Schaeffer. Jakaś niesamowitą wrażliwość, zrozumienie natury człowieka i artysty.

– W tym sensie był filozofem.

• A tamten był zwyczajnym rzemieślnikiem. Nigdy nie byłem zwolennikiem jego muzyki. Ale może dlatego, że byłem u boku Schaeffera i oglądałem pewne zasady robienia kariery. Natomiast właśnie Schaeffer jest przykładem artysty niezależnego, prawdomównego, buńczucznego, potrafiącego zaatakować środowisko. Kiedy w latach sześćdziesiątych pisał felietony *Jazda na stopniach*, to sobie ze wszystkich w środowisku zrobił wrogów. Po prostu jebał na prawo i na lewo. Nazywał rzeczy po imieniu, więc potem mu już było bardzo trudno.

Myślę, że właśnie jego znajomość natury człowieka i artysty, niezwykle przenikliwa, doskonała znajomość mogła tylko spowodować napisanie takiego tekstu w sześćdziesiątym trzecim roku. Mówię o *Scenariuszu...* Ponieważ w gruncie rzeczy to, co on napisał, jest uniwersalne i się powtarza. Ale pod koniec lat siedemdziesiątych, w w czasach upadającego Gierka i komunizmu, to było trudne do przewidzenia. Dopiero późniejsze lata, ta gwałtowna wizyta kapitalizmu w Polsce zupełnie na tę wizytę nieprzygotowanej spowodowała ruszenie lodów. To się stało nagle! Tak jak w tej chwili się łapia za głowę, że nikt nie przewidywał tak gwałtownego ocieplenia.

– Kończymy już chyba, bo wiesz, masz chrypę.

• Jeżeli bredzę, to tylko dlatego kończmy. W każdym razie teraz właśnie jest czas, że w tym tekście szczególnie dotkliwie i boleśnie się rzeczywistość prze-

gląda. Tak jakby on był napisany na zamówienie dzisiaj.

– No ale jeszcze powinna być druga część tego zdania: „Im bardziej sztuka przylega do życia, tym bardziej wulgarne produkty tworzy i tym lepiej się one sprzedają”.

• No tak. Schaeffer doskonale pisze o komercjalizacji w sztuce i skurwianiu się artysty, który akcentuje sprzedawalność czy przewiduje mechanizmy, dzięki którym najlepiej jego sztuka się sprzedaje.

• • •

Był raz niesamowity sylwester u nas. Mieszkaliśmy wtedy w Poznaniu, w wielkim mieszkaniu teatralnym, 150-metrowym, do którego przeprowadziliśmy się prosto z Łodzi, czyli z 44 metrów. W nowym mieszkaniu było całkiem pusto i jeździliśmy po nim z Błażem rowerem. Był stan wojenny. Dostaliśmy pod choinkę tylko po jednym prezencie: po pomarańczy. Ale tata tak sprytnie je zapakował, w dziesiątki warstw i pudełek, torebek i folii, że zajęło nam prawie godzinę odpakowywanie, a na końcu była oranżowa pachnąca kula egzotyczna i opowieść, jak ją zdobył.

Mieszkaliśmy na Jeźcach, naprzeciwko szpitala Raszei. Wszyscy do nas przychodzili na narady i często zastawała ich godzina policyjna i już zostawali na noc. I właśnie tak się stało w sylwestra. Przyszło do nas ponad 30 osób i już stało.

Strasznie byli wszyscy smutni. Więc z Błażem postanowiliśmy im jakoś zorganizować zabawę. Przygotowaliśmy loteryjkę. Były różne zadania: wypij eliksir bez skrzywienia i podaj jego skład, zmieść się w swetrze z partnerem albo skoki przez płonącą miednicę. Nagrodami były papierosy, zdobyliśmy takie cięte na metry, i Błażej, który miał superzdolności pirotechniczne, nafaszerował niektóre siarkę zeszkobaną z zapalek. Więc one wybuchały. Dorośli oszaleli ze szczęścia. Bawiliśmy się do rana, uciszając się nawzajem, bo nad nami mieszkał milicjant, wprawdzie z drogówki, ale wtedy to nie miało znaczenia.

Wśród gości byli: Krystian Lupa i Piotrek Skiba, Krysia Feldman, Tadeusz Słobodzianek, który wtedy nazywał się Koniecpolski, a że już wtedy był wielkoludem, więc myśmy myśleli, że on zjadł wszystko i dlatego jest koniec Polski. Oczywiście Mikołaj Grabowski, moja pierwsza miłość Janusz Nyczak, Maria Maj i inni.

Apogeum szaleństwa było wtedy, kiedy ktoś stłukł ostatnią butelkę wódki. Ale tak się szczęśliwiełożyło, że była to akurat ta, która była przygotowanym przez

nas psikusem. Odlaliśmy wódkę do innej butelki, a do tej nalaliśmy wody z solą. Więc jak ciocia Krysia ją stłukła i wszyscy zamarli z rozpaczy, to my im powiedzieliśmy. Wtedy zaczęli nas ściskać i podrzucać, po czym rzucili się na kolana i zaczęli lizać podłogę, czy rzeczywiście słońca. Oddaliśmy im prawdziwą zawartość i zostaliśmy bohaterami.

• • •



– Zawsze mówiłeś, że kac to jest superstan. I że w sumie ze wszystkich radości wynikających z pijaństwa zdecydowanie wybierasz...

• ...kaca.

– I mimo że wiąże się z nieprzyjemnościami, uważasz, że on jest w pijaństwie najlepszy?

• To jest superstan w tym sensie, że przechodzisz w inny wymiar, w którym jesteś całkowicie świadomy, choć masz wrażenie, że twoje reakcje są spowolnione. Że jesteś częściowo nieobecny i że nie sprostasz niczemu, co cię czeka. A poprzedni stan, uniesienia alkoholowego, jest stanem królika, który skoczył i pierdolnął się głową w ścianę. Wielu rzeczy nie pamiętasz, masz jakąś alkoholową głupawkę i tak naprawdę jest to stan, w którym się możesz doskonale czuć, ale z perspektywy kaca zawsze się nim pogardza.

– Bo kac jest...

• ...bardzo twórczy.

– No właśnie.

• I właśnie dlatego nie należy z nim walczyć. To znaczy, jeżeli nie jesteś w stanie stanąć na nogi, to trzeba coś wypić. Piwo albo zwyczajnie kieliszek, zależy od organizmu. Ale należy właśnie wziąć go pod uwagę. Oswoić się z nim i nie walczyć. Bo kiedy na przykład ma się spektakl na kacu, to zawsze pojawiają się niezwykle, nowe pomysły, bo nie ma tego docisku, tej presji, która każe ci: „O Jezu! Dziś najdoskonalej!”, albo że dziś muszę przewalczyć kaca. Nie! Właśnie kac jest taką falą, na której się unosisz swobodnie, jeżeli się mu poddasz. W tym sensie, że nie walczysz z falą. Nigdy nie uprawiałem... Windsurfing się to nazywa?

– Tak.

• Ale wyobrażam sobie, że ludzie na tych deskach mają podobnie. Ci doskonali są zawsze z falą, nigdy przeciwko niej. Błędy popełniają tylko wtedy, kiedy nie rozumieją jej fizyki. Tak samo jest z kaczem. Trzeba się dać mu unieść. Wtedy się płynie długo i szeroko.

• • •

Nie zawsze było tak, że Jan był sławny. Kiedy byłam mała, był nikim i nikt go nie chciał. Byłam szczęśliwa. Robił mi śniadania w naszej kuchni na Traktorowej 1a. Kromki chleba z miodem kroił w kwadraciki, takie na jednego gryza. Mieszkałiśmy wtedy w Łodzi w bloku na Teofilowie. Wyprawiał mnie do szkoły; byłam w pierwszej klasie. Ubierał mnie i czesał.

Nie umiał pleść warkoczy, więc tamtego dnia zrobił mi kucyki. Lewy był tam, gdzie powinien, ale prawy wyszedł na czole. Przeczesał parę razy, ale ciągle wychodziło tak samo. Obydwoje mieliśmy łyzy w oczach. Pomięte wstążki, podrażniona skóra, czas się kończył. „Symetria jest pięknem idiotów”, nie wytrzymał w końcu tata. I uratował ten dzień. I uratował mnie. Z kucykiem na czole poszłam w świat.



WORY. MROKI. CIENIE

– Czy jest coś, o co ty byś chciał mnie zapytać?

• Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, czyli może najważniejsze, to że mnie nie było. I wyście tak na mnie czekali. To już jest nie do naprawienia pewnie, ale... Myślisz, że to było jakimś błędem z mojej strony, takim trudnym do zaakceptowania? Czy ja byłem wtedy nieciekawym ojcem?

– Ja nie mam wcale silnego odczucia, że czekałam. Mam wspańiałe wspomnienia z twojego bycia w domu. Pamiętasz, jak zaprowadziłeś mnie do przedszkola? Mój pierwszy dzień w przedszkolu?

• Pamiętam szatnię.

– Ja też pamiętam szatnię! Moja szafka miała naklejkę z muchomorem i strasznie mi się chciało płakać, ale byłam dzielna. A jak mnie czesałeś do szkoły?

• Czesanie pamiętam. Nie umiałem tego i zawsze miałaś wiewiórki krzywe i w różnych miejscach kucyki. I chyba ci wmawiałem, że taka jest moda.

– A wigilia na Traktorowej, jak tapetowałeś ściany? Kleju zabrakło i mama zrobiła z mąki.

• Kartoflanej.

– Jeżeli czekaliśmy, to dlatego, że byłeś w podróży, ale to się zawsze kojarzyło z powrotem. Że wracasz i przywozisz nieprawdopodobne prezenty, na przykład lody w termosie ze Szwecji. Więc nie pamiętam szczególnie czekania.

Ale jeżeli pytasz o jakiś błąd, to jest jedna rzecz. Inna. Ja chyba za wcześnie w ten teatr wdepłam. I nie chodzi o to, że grałam w teatrze, tylko o te wyjazdy. Wyjazdy plus alkohol. Bo dużo go było. I ja się cały czas bałam, że sobie coś zrobisz, że coś ci się stanie. I miałam poczucie, że się muszę tobą zajmować. A byłam małą dziewczynką wtedy.

• Jak grałaś Isię, tak? W *Weselu*?

– Tak. Mówię o naszych podróżach z teatrem po festiwalach, które wspominamy teraz jako superprzygody, ale dla mnie to był głównie strach. O ciebie. Że się

przewrócisz. Bo czasem się przewracałeś. Albo że cię jakaś obca baba zaciągnie do pokoju. A baby się do ciebie doczepiały bez przerwy. I mnie nie lubiły, bo wiedziały, że ja widzę. Że cię pilnuję. No bo jak byłeś pijany, co się zdarzało, bo wszyscy tam byli po prostu pijani, to ja się bałam. Jakoś tak się stało, że ja się w sumie czasami opiekowałam całą zgrają pijanych ludzi, chodziłam z wami na imprezy i uważałam na wszystkich. I widziałam przynajmniej kilka rzeczy, których widzieć nie powinnam.

Ta odpowiedzialność była męcząca, ponad siły. I teraz, jak się na przykład Edek wstawi, nawet minimalnie, to ja reaguję za bardzo, histerycznie. Bo się boję, że mu się coś stanie.

• • •



– Pamiętasz, jak jechaliśmy po spektaklu na którymś festiwalu i diwie ze słynnej krakowskiej piwnicy zachciało się kupę? „Chce mi się sraaać!”, darła się tą swoją legendarną chrypą. I autobus staje, bo ona musi kupę. I myśmy wszyscy stali, a ona srała na asfalcie w świetle reflektorów.

- Tak, na środku jezdni. Ty byłaś tam jedynym dzieckiem.

– No. Dzieckiem z Wrześni byłam. Bohaterskim. Ratowałam was i tłumaczyłam przed milicją. Było parę sytuacji pijackich grubych. Ty się wtedy tak upijałeś, że taki wiesz, sztywny trup. Bez kontaktu. I ja cię czasem musiałam tachać, a ty się wywracałeś. Tak naprawdę nie byłam przecież w stanie się tobą zaopiekować. Strach, że coś ci się stanie, a ja nie mogę temu w jakikolwiek sposób zaradzić, był okropny. Mama też była bezradna i przerażona. I szukała w nas wsparcia. A chyba nie powinna była tego robić, no bo my byliśmy dziećmi.

- A mieszała was w sprawy dorosłych.

– To tylko potęgowało poczucie bezradności, jak zwracała się o pomoc do nas. Ale skąd miała wiedzieć, że tak się nie robi? Jak jesteś małą dziewczynką i musisz odprowadzić ojca, a on się przewraca i nie masz siły, żeby go uciągnąć, to jedno. Ale gdy nie wiesz, jak pomóc mamie, która się zamartwia, to drugie. W efekcie czujesz się odpowiedzialna za oboje. Ja w jakimś sensie byłam wtedy waszymi rodzicami. Więc jeżeli mnie pytasz, co by mogło pójść inaczej, to to. I w sumie tylko to. Wiesz, że ci się zrobiły wory teraz pod oczami, jak tego słuchasz? Ale to wszystko, o czym mówię, nie jest w ogóle w kategoriach żalu! Rozumiesz?

- Tak. Doskonale.

– Zrobiliście wszystko najlepiej, jak mogliście, ale pewnych rzeczy się po prostu nie wie. Do mamy to już w ogóle nie można mieć pretensji. Skąd mogła wiedzieć, jak być mamą, skoro sama jej nie miała, a dziadek chyba nie był jakimś wybitnym ojcem.

- Myślę, że obrazy rodziców Teresy są bardzo wyidealizowane przez próbę wypchnięcia z pamięci także jej lęku o ojca. Kiedy jej mama zmarła, Teresa miała dziewięć lat. I jako mała dziewczynka, z kotem jedynie, zostawała w domu i całe noce czekała na ojca, który był myśliwym i wracał z polowań często na gazie, ale przede wszystkim go nie było. I ona też ma w pamięci wszystkie te dziwne

otchłanie. Siedziała na szafie z kotem pod pachą, w domu w lesie. Czekala i się bała.

– Niedawno się jeszcze dowiedziałam, że babcia Zosia, mama mamy, też została sierotą we wczesnym dzieciństwie. Więc jestem trzecim pokoleniem małych dziewczynek, które się boją.

- Boją o mężczyzn, z którymi są.

– O wszystko.

- O ojca, z którym są.

– Boją się, że zostaną same.

• • •

– Nie jestem pewna, czy sobie zdajesz sprawę, jak dużą częścią mnie jest mrok.

• No właśnie nie. To też jest pytanie, które chciałem zadać. Nigdy żeśmy o tym właściwie nie rozmawiali. Wiedząc, że przecież niczego to nie zmieni. No bo co może zmienić? Na przykład moje poczucie winy wobec dojrzałej kobiety, która siedzi naprzeciwko mnie? Czy przede wszystkim może to spowodować jakąkolwiek zmianę? Czasu przeszłego się nie rewiduje. Więc to jest pytanie podszyte nadzieją, że może nie było tak źle. A jednak to były obudzone w życiu dziecka demony.

Przecież na to wszystko, co się ze mną działo, składały się dziesiątki przyczyn. Miałem okresy zapaści alkoholowych, które brały się z wielu powodów. Z moim ojcem było zupełnie inaczej. Byłem niesprawiedliwy. Odciałem się i wyjechałem. Jak umarł, zrozumiałem, że jest za późno i że to już nie wróci. Że zostawił mnie z balastem poczucia winy, że nie wykonałem ruchu w jego stronę.

Ale byłem głupi, młody, i tyle. Wtedy wydawało mi się, że nieszczęścia dotyczące mojego zawodu, moich życiowych rozczarowań są najważniejsze. A to w żadnym punkcie nie predestynowało mnie przecież do tego, żeby tak to rozwiązywać. Ale był komunizm, wszyscy sięgali po wódkę jako remedium właściwie na wszystko. I dzieci były w to wplątane. Nic z tego tak naprawdę nie wynika poza zrozumieniem tej sytuacji i poczuciem wielkiego dyskomfortu. Poczuciem winy, po prostu.

– Jasne. Ale ja naprawdę uważam, że każdy musi się uporać z tym sam. Pretensja do rodziców jest najgłębszą z możliwych rzeczy, bo to zależność całych generacji. Gdybym chciała mieć żal do was, to wy powinniście mieć żal do swoich rodziców, oni do swoich i w ten sposób doszlibyśmy do naszych pradziadków na drzewie.

- Mroczna przestrzeń się otwarła, a przecież nie jesteśmy rodziną patologiczną. Raczej taką, która jest postrzegana z zazdrością jako bardzo szczęśliwa, harmonijna, która siebie nie krzywdzi i tak dalej. Wniosek jest taki, że w każdej rodzinie pojawiają się okresy, które poza wolą rodziców sprawiają, że dziecko potrafi być głęboko nieszczęśliwe i ten okres może definiować później dziesiątki takich, a nie innych zachowań w życiu dorosłym.

– Ja nie mam dzieci. O to też chciałeś mnie zapytać?

- Często sobie zadaję to pytanie. Nigdy nie pytałem o to głośno, ponieważ zawsze miałem poczucie, że to jest niezwykle intymna, a jednocześnie bardzo silna decyzja. Którą bez względu na konsekwencje, bo trudno przewidzieć jej skutki, należy po prostu uszanować. Właściwie gdybym tak chciał procentowo ustalić, to na osiemdziesiąt procent dzieliłam twoją decyzję.

Być może na poboczach tego pytania leży również współodpowiedzialność za ten wybór. To znaczy, jak dalece, absolutnie poza świadomością, rodzic wpływa na takie decyzje. Bo teraz myślę, że silny lęk o rodzica może stać się zaczątkiem postanowienia w dorosłym życiu. Żeby nie skazywać własnego dziecka na ten rodzaj cierpienia.

– Tak naprawdę dokładnie o to chodzi. Przecież u nas było w chuj dużo miłości. Ty i mama bardzo mnie kochaliście, a mimo to nie byliście w stanie sprawić, żebym się czuła bezpieczna. Dla mnie dzieciństwo to jest, tylko proszę, niech cię to nie rani... To jest jednak przede wszystkim czas mroku. Strachu. I brzucha spiętego.

Ten mrok był rozświetlany nieprawdopodobnymi, spektakularnymi, bajecznie pięknymi fajerwerkami. Ale w tym najwcześniejszym czasie było dużo cierpienia, z którym sobie nijak nie mogłam poradzić, no bo dziecko nie jest w stanie sobie poradzić. Bo sobie jeszcze wymyśliło, że uratuje rodziców, że ich ochroni. I że wszystkiemu sprosta. A to są rzeczy niemożliwe. To jest ponad siły. Więc w temacie dzieci mam spokój. Bo ja w pewnym sensie już je miałam. Was. I teraz muszę odpocząć.

Edek miał od samego początku podobne podejście. Przez długi czas martwiłam się, że to ja, jako kobieta, jestem osobą decydującą. Ale to była wspólna decyzja. Myśmy się tak po prostu znaleźli. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że ta decyzja jest trudna i że bywa też smutna. I że zawsze stoi za nią jakiś powód. I dlatego wkurwiają mnie ludzie, zwłaszcza kobiety, od których w tym temacie doświadczyłam sporo agresji, bo potrafią być bezwzględne i okrutne w swoich ocenach.

To nie jest wygoda. To wyrwa i smutek. Odpowiedzialność. Wybór. Przecież nikt się nie decyduje na taki krok bezrefleksyjnie. Nieposiadanie dziecka nie czyni mnie gorszym człowiekiem. Ale na pewno zostawia bolesny znak zapytania. I tęsknotę.

- Świadomość, że nie ma idealnej czy doskonałej metody wychowania, że nie istnieje bezbłędne prowadzenie młodego człowieka przez życie, że nie ma możliwości, żeby twoje, rodzica, zachowania były bezkolizyjne ze światem dziecka, boli. Niestety to wszystko i wiele jeszcze innych informacji o tym przychodzi wraz z doświadczeniem. Ja chciałem usłyszeć od ciebie, nazwane przez ciebie to, czego moje pytanie dotyczyło.

– Czy to jest dla ciebie jakieś straszne?

- Nie, nie. Ale mówisz, że mi się zrobiły wory pod oczami...

– No tak. Takie cienie ciemne.

- Wory są efektem poczucia nieodwracalności tego, co się stało. I skali tego. Przecież żadne z nas, ani mama, ani ja, nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Czyli byliśmy zajęci swoim dorosłym światem. Taka jest prawda.

– Żeby było śmieszniej, to nasz dom był przecież zawsze przytuliskiem.

- Dla nieszczęśników różnych.

– Na jebadle ciągle spali ludzie. Mieszkali u nas czasem tygodniami. Przychodzili w kryzysowych momentach i często zostawali na dłużej.

- Bo myśmy zawsze byli takim konfesjonałem. Jak się ludziom rozpadały związki, to myśmy się nimi opiekowali, ratowali. Czasem całą gromadę. A was zostawiali.

– Ostatnio byliśmy u was w domu w Krakowie i przysłała para bezdomnych po prośbie. I wyście tak strasznie zaczęli szlochać z mamą. I daliście im pieniądze,

ciuchów, wszystkiego, a my z Błażem, co ciekawe, oboje, dostaliśmy po prostu szału. I im bardziej wyście szlochali, tym bardziej Błażej się robił agresywny, a ja smutna. Nie rozumiem tego. Przecież macie prawo się zajmować, kim chcecie.

- Rzeczą naturalną jest, że wy sobie rezerwujecie prawo do wyłączności. Ja myślę, że tego dotyczyła zupełnie zrozumiała dla mnie sytuacja z tymi bezdomnymi. Zawsze mówiliśmy, że jesteście najważniejsi w naszym życiu, po czym rzeczywistość bardzo często zadaje temu kłam. W sytuacjach wyjątkowych tak, ale już w tych czasami najprostszycy nie. Ale rzeczywiście ja w dużym stopniu zajmuję się sobą, ale mama chyba w jeszcze większym.

– Jest jeszcze coś? Czy to była ta najważniejsza rzecz?

- Nie. Prawdę mówiąc, tylko ta. Taka dziura we mnie, czarna. Krater. Jakaś rana, która...

– Niepokój daje.

- Która nigdy nie była nazwana. I najprawdopodobniej ja tego opowiedzenia potrzebowałem. Chociaż to jest, jak już powiedziałem, nie do cofnięcia, nie do naprawienia.

– O nic więcej nie chcesz mnie już zapytać?

- Nie. Bo wszystkie pozostałe rzeczy, nawet jeśli coś przeoczam, nie są tak ważne. A to pytanie się czaiło.

– Bo wiesz, jakieś awantury między wami w ogóle nie są wspomnieniem strasznym. Przecież wiadomo, żeście się kłócili, nawet sobie po twarzach czasem natrzaskali, parę razy byłem tego świadkiem. Na przykład na Peszkówce w Andrychowie. I potem ty tam chodziłeś w śniegu po krzakach, czaiłeś się, Karola nie pozwalała ci wrócić, i w końcu mama mówi: „Boże, zamarznie!”. I cię woła przez okno. To w ogóle nie było straszne. Ale to, że coś ci się stanie, było.

- Ale ja to też mam, Marysiu. Jak poszłaś wczoraj na spacer do lasu i do późna nie wracałaś, a ja szedłem przez las i mignął mi taki dziwny facet, to pierwsza rzecz: czy się tobie coś nie stało? No i potem oczywiście widzę w głowie krzaki, w których ty leżysz zziębnięta. Pędzę na zbity pysk, bliski zawału, do telefonu, dzwonię: „Tu Maria. Zostaw wiadomość”. I myśli się mnożą. Panika, która jest podyktowana miłością, troską, nie wiem, co to jest.

– Ta ciemność niestety wraca. I to nie jest łatwe. Dlatego Edek to najgenialniejsze, co mi się w życiu zdarzyło. Jego cierpliwość i czułość dla mnie. Bo te najczarniejsze stany nie są fajne. Myślisz, żeby nie żyć wtedy. Po prostu. Myślisz, żeby nie żyć.

• Czy kiedy miałas tę zapaść, o której myśmy totalnie nie wiedzieli, o której śpiewasz na *Jezus Maria Peszek*, to ona się wzięła z przepracowania czy z tamtego? Czy to się złożyło?

– To była klasyczna zapaść, ale pierwsza tak poważna. Wyczerpuje ci się energia życiowa, każda. Załamanie nerwowe. I nie chcesz już żyć, bo nie masz siły, po prostu. Na nic. Na to wpłynęło całe moje dotychczasowe życie. Wymaganie od siebie rzeczy niemożliwych. Na przykład żeby bezpieczni byli moi rodzice, żeby byli szczęśliwi. Branie na siebie rzeczy ponad siły.

• Ale to jest też, wydaje mi się, nie tylko charakter twoich przeżyć. Ty masz, zresztą w różnym stopniu macie z Błażem coś takiego, nieomal kierkegaardowskie drżenie i bojaźń na śmierć i życie. Przy czym śmierć z życiem ciągle się splatają. On, jak miał pięć latek, czy nawet cztery... Obudził mnie jego szloch, taki pisk. Siedział na sedesie i tak strasznie płakał. I ja pytam: „Co się stało?”. A on mówi: „Dlaczego ja muszę umrzeć, tatusiu?”.

Myślę, że każdy człowiek ma inną membranę wrażliwości, która odpowiada na takie bodźce. U ciebie to jest po prostu jakieś ekstremalne.

– A pamiętasz, jak przestaliśmy razem mieszkać w Warszawie? To była dla mnie jedna z najtrudniejszych rzeczy w życiu. Powiedziałam ci: „Nie możesz już z nami mieszkać”. Przeżywałam to potwornie. Potem ty mnie karałeś. Pewnie sobie nie zdajesz z tego sprawy. Byłeś obrażony. Albo jak zabroniłam ci kupować mi tyle kwiatów.

• To pamiętam.

– I te wszystkie prezenty, o których mówisz, że uwielbiasz je robić. One zawsze są nad wyraz. Pamiętasz, jak powiedziałam: „Spierdalaj! Nie chcę już nic!”?

• Tak. Ale myślę, że odbiór czegoś takiego jest po tamtej stronie, czyli w tym przypadku po twojej. Czy masz poczucie, że jesteś na pasku czy na lonży, jak je-

steś obdarowywana, czy nie. Jak nie masz, to wspaniale, a jak masz, no to jest to jakiś twój problem.

– Ej! To jest mechanizm banku. Emocjonalne zadłużanie. Bo gdzieś tam z tyłu głowy czujesz, że narozrabiałeś. I prezentami chcesz to nadrobić.

• • •

– Nie ma co zwać na mamę i tatę swojego popaprania. Człowiek sam jest odpowiedzialny za własne szczęście. To jest walka na śmierć i życie. I nigdy nie jest za późno. To jest, kurwa, zasranym obowiązkiem człowieka. Bo jednak nic z tego, o czym tu gadamy, nie sprawiło, że nie potrafię być szczęśliwa. Lubię to, kim jestem, i lubię siebie. I może to nie było najłatwiejsze dzieciństwo, ale jestem, kim jestem, także dzięki niemu. Przecież nie byłabym sobą, gdyby nie to wszystko. Ta wrażliwość może jest ekstremalna i często utrudnia funkcjonowanie w świecie, ale jest moim...

- ...majątkiem.

– Rdzeniem. To właśnie jest mój pierdolony rdzeń. Ekstremalna wrażliwość. I ja bym nigdy nie była w stanie robić tego, co robię, bez niej. To jest mój nienaruszalny kapitał.

- Chodzi tylko o to, żeby umiejętnie stawiać mury wokół tego świata i nie wpuszczać, jak mówi Schulz, wilków, które robią spustoszenie. Właśnie ekstremalne przeżycia prędzej czy później prowokują w człowieku pytania, na które nigdy by nie znalazł odpowiedzi, gdyby jego życie było doskonałe. Takie jest niemożliwe, ale gdyby było pozbawione zupełnie traum.

Pamiętam kilka przeżyć z wczesnego dzieciństwa, ale jedno jest bardzo znaczące. Matka była wtedy w ciąży z Bogusią, moją siostrą, tuż przed rozwiązaniem. Mama zawsze bardzo cierpiała. Wszystkie porody były strasznie dla niej bolesne i ja to wszystko słyszałam. Bo rodziła w domu. Przychodziła Żurkowa, położna, i to się odbywało w domu. Z krzykami porodowymi i krzykami ojca. I matka miała już ogromny brzuch. I ja usłyszałam, że w pokoju, który uchodził za sypialnię rodziców, chociaż ojciec miał tam magazyn dentystyczny... To nie był gabinet, ale tam była szafa dentystyczna cała oszklona, z różnymi instrumentami. I tam te krzyki słyszałam, to pamiętam jak dziś.

I słyszałam po raz pierwszy taką jakość. Bo rodzice raczej nie krzyczeli głośno, starali się, żebyśmy nie słyszeli, jak się kłóć. I usłyszałam te krzyki, i otworzy-

łem drzwi, uchyliłem i zobaczyłem mamę tak opartą o coś, z takim wielkim brzuchem, i okropnie płaczącą, a ojciec potwornie na nią wrzeszczał. Potwornie. I ja wszedłem do tego pokoju. Był późny wieczór, ja w takiej koszuli, pamiętam, białej z ukraińskim fioletowym haftem, i zemdlałem im pod nogi. To znaczy symulowałem zemdlecie.

Pamiętam doskonale to uczucie, że wszedłem, zobaczyłem scenę agresji ojca i pojąłem, że muszę coś zrobić. On nigdy jej nie bił, nigdy jej nie uderzył. Ale po prostu to było dla mnie nowe. Nowe i przerażające. Postanowiłem zemdleć. I to się w sekundę stało.

– I uratowałeś tę sytuację.

- Potknąłem się, poleciałem przed siebie i jebnąłem głową w tę szybę, taką wielką, w tej metalowej szafie. Przecięła mi skórę, z tyłu, bardzo ukrwioną, i jeszcze uderzyłem się w ten metal. Cały czas byłem przytomny. Zrobiła się śmiertelna cisza. Czułem, jak mi cieknie krew. Ale nie mogłem otworzyć oczu, bo wiedziałem, że muszę udawać do końca. Matka krzyknęła: „Januszu! Januszu!”, do ojca: „Coś ty zrobił!?”.

Ojciec był dentystą, więc wiedział, co z tym zrobić. Podniósł mi głowę, pamiętam, i tak ręką tutaj z tyłu... Tam była skóra rozcięta, która się rozeszła i po prostu bluzgała krew na tę białą koszulę. Matka w tej ciąży...

Oczywiście całe zdarzenie jakby zmieniło bieg. Z ich ataku wszystko się obróciło w poczucie winy ojca, jego interwencję lekarską. Matka szlochająca. Ja do końca tylko o jednym myślałem – żeby mi oko nie drgnęło, żebym nie otworzył oka albo żebym nie krzyknął, że mnie piecze.

Pamiętam, coś mi tam wodą skropili... Nie wiem, czy mi coś pod nos nie podstawili. Coś mi tam ojciec wygolił. Zasztył, zakleił. No i przez ileś dni była czułość nade mną i w domu sielanka. Ale chcę powiedzieć, że... Nie wiem, po co to mówię, a jak zacząłem mówić, to mi się wydawało, że wiem...

– Chodzi ci o to, że dzieci inaczej odczuwają, tak?

- Że dzieci... Wiesz, próbuję coś uchwycić, bo jak na przykład Beata, moja najmłodsza siostra, rozbiła ostatnią filizankę z serwisu... Pamiętasz? Taki był serwis z japońską gejszą.

– I babcia jej powiedziała: „Idź się utop”.

• I ona poszła. I sąsiadka ją pyta: „Gdzie idziesz, Beatko?”. „Idę się utopić, bo mama mi kazała”, i strasznie płakała. A miała wtedy sześć lat. Próbuję zrozumieć to, a nie tłumaczyć czy nazwać. Że wyobraźnia dziecka działa inaczej i te światy są kompletnie niestyczne, dorosłego i dziecka.

– Masz rację, ale dziecko nie może być odpowiedzialne za dorosłego.

• Nie! Absolutnie. Ja nie to chcę powiedzieć. Tylko że dorośli nigdy nie schodzą do poziomu dziecka.

– Bo muszą przetrwać sami?

• No, to też jest jakiś stan walki.

– Dlatego bezsensem jest się za to winić.

• Albo nienawidzić. Ale ważny jest fakt mówienia. On jest... Nie chcę powiedzieć kojący, ale jakiś podstawowy.

– No właśnie.

• Bez względu na to, jaki ma charakter. Oczywiście, jeśli się atakuje, to jest gozrej, ale jeżeli się mówi tak, jak my dziś rozmawiamy... Ja mam w tej chwili poczucie ulgi. Patrzę tylko, czy dalej mam te wory pod oczami...

– Nie masz już.

• Mam dalej, ale jakby mniejsze.

• • •

– To chyba tyle na dzisiaj. Czy coś jeszcze chcesz?

• Nie. Już nic nie chcę. Bo w jakiś kosmos odlecimy. To akurat jest nieskończone, wydaje mi się. Nie do skończenia, może coś takiego bym powiedział.

– Myślę, że możesz spać spokojnie.

• Będę spał spokojnie.

– Siedzi przed tobą osoba, która lubi siebie. Co jest rzadkie. Nie chciałabym zmienić tego, kim jestem. A ta nadwrażliwość, popapranie i ciemność, to wszyst-

ko razem to moje paliwo. Ja z tego żyję po prostu. Zarabiam na tym. Więc równie dobrze mogę ci chyba powiedzieć: „Dziękuję”.

- A ja tobie: „Przepraszam”.

DUPA NIE JEST Z MYDŁA

1.

[siury mury]

– Dupa nie jest z mydła, nie wymyśli się. To jest czyje? Łuci czy Karoli?

• To jest Łuci.

– Tej rozpustnicy?

• Tak, jak również: „Używaj, bo na starość z tego kawy pić będziesz”. Ale też: „Po śmierci i tak sobie żaby z tego kaplicę zrobią”.

– To też Łucia?

• Wszystko jej.

– A „Miłość i sraczka przychodzą zniecka?”.

• To brat mamy, Marek.

– A „suche z mokrym?”.

• To nie było „suche z mokrym”. U ciotki Ady na wakacjach w Zieluniu, co roku się powtarzał rytuał. Kiedy ona w letniej kuchni gotowała obiad, myśmy pytali: „Ciociu, co dziś będzie na obiad?”. Ona pytała: „Na pierwsze czy na drugie?”. Myśmy mówili: „Na pierwsze”. „Siury mury, cipka pod rosół” i strasznie się śmiała. „A na drugie, ciociu?” „A na drugie suche piardy z octem”.

– A skąd się wzięło: „Tu spi lis, ja tre nos, on tu ryje, ja omine ten tor”.

• To babcia Wera po francusku mówiła. Proponowała: „Porozmawiajmy po francusku. Tu spi lis, ja tre nos, on tu ryje, ja omine ten tor”. I dalej: „Wyróżnął dupą w trotuar”. Miała też w repertuarze opowieść wojenną o dwóch przyjaciołach czołgistach. A byli to: Kazach – Kałmanawardze, i Gruzin – Sraaźkwili.

– A bajka o chomiku?

- Oho! Mi kurwy portfel skradły.

– A o dźwigu?

- Zamknij dźwi, gówniarzu. Taka gra słów. Tenis w porcie na przykład.

– Penis w torcie?

- Brawo. Gra półśłówek...

– Sra półgłówek.

- Albo na przykład: chór wujów.

– No tak.

• No i było jeszcze: „Nasi przodkowie na mchu jadali”. Ale najpierwsze tak zwane złe zwroty poznałem w Zieluniu od mojego, o wiele młodszego ode mnie, nieżyjącego już kuzyna Kazika, czyli Ziutka.

Z chłopakami żeśmy tam gonili dudki przeganiać w sadzie u dziadka i on mówił taki wierszyk: „Cholera jasna, pizda za ciasna, a chuj za gruby, nie można zrobić próby”. I wszyscy się zarykiwali. Ja nie bardzo wiedziałem, o co chodzi, ale się śmiałem razem z nimi.

2.

[*pochwa mojej mamy*]

– Było parę u nas w domu dziwnych z pochwą sytuacji. Na przykład raz byli u mnie koledzy ze szkoły, a mama mówi do ciebie: „Janeczku! Gdzie jest moja pochwa?”. No i wstyd.

- Bo się mamie pochwa zgubiła.

– Pochwa była na okulary.

• Pochwa jest na wszystko. Na pieniądze, na klucze. Pochwę przecież robiła mama też na drutach na czajnik, prawda?

– No jasne.

- Pochwa jest na wszystko.

- A kondon też?
- Kondon jest na głowę.
- Jasieńku, czy spakowałeś kondony? Bo deszcz będzie.
- To na przykład mogło oznaczać peleryny.
- Bo kiedyś nie było peleryn.
- Tylko guma taka.
- Na głowę plastik się w kiosku kupowało.
- I to były kondony.
- Rozumiem, że pochwa może być na wszystko, ale też szewc był od wszystkiego.
- Jeden rzemieślnik, który wszystko robił: i okulary, i buty.
- I włosy.
- Włosy też.
- Idę do szewca.
- Idę do szewca, czyli do fryzjera.
- Do rzemieślnika.
- Idę do szewca, czyli do optyka, ale idę do szewca.
- I my nigdy nie wiemy, gdzie ty idziesz.
- Ja zawsze idę do szewca. Wszystkie sprawy załatwia szewc.
- Auto też oddawałeś do szewca.
- Tak. I w dalszym ciągu oddaję.

[wesele]

- Jeździłaś na kopcu Kościuszki na nartach. W dniu spektaklu *Wesela*, w którym grałaś Isię. Upadłaś i skręciłaś nogę. Bardzo cię bolało i krzyczałaś: „Boże! Ja mam dziś *Wesele!* Ja mam dziś *Wesele!*”. Ludzie patrzyli, co ty za głupoty opowiadasz. Dziecko jedenastoletnie. Na pogotowiu szalałaś i krzyczałaś: „Ja muszę, bo ja mam dzisiaj *Wesele!*”.

4.

[*kamasutra*]

- Ty się bardzo szybko nauczyłaś czytać. I kiedyś przychodzisz do mnie, miałaś pięć lat, i mówisz: „Przeczytałam *Fausta* Marlowe’a i nic nie rozumiałam. A teraz zobacz, co mam pięknego! Patrz, ile ma obrazków!”. Ja patrzę, a to *Kamasutra*.

5.

[*jebadło*]

– Jak mogliście oddać jebadło?

- Po Koziołku Matołku?

– Tak! Myśmy to okropnie przeżyli. To było nasze najświętsze miejsce. Tam z tyłu były nasze malunki, wszystko. I pewnego dnia przyjechaliśmy, a jebadła nie ma.

- Ono już było nienaprawialne i bardzo niezdrowe do spania. A poza tym ono nie było nasze. Jebadło było przejściowe.

– Ale tam się działy różne rzeczy dla nas bardzo ważne, o których wy nie macie przecież pojęcia.

- No tak. Nie możemy mieć. Gdybyśmy wiedzieli, jak jebadło jest dla was ważne, to może by się tak nie stało, ale my do niego nie przywiązaliśmy aż takiego znaczenia. W pewnym momencie potrzebowaliśmy miejsca do spania, jak byliśmy biedni i nie mieliśmy łóżka. I mama, będąc w ciąży, wyżebrała je u Koziołka Matołka. I nie mógł jej odmówić. Kobietom w ciąży nie wolno odmawiać, bo ci wszystko myszy zjedzą.

– I dał?

- Nie że dał. Kupiliśmy. I to wcale nie tanio. Ale nam odsprzedał, chociaż też je bardzo lubił. A wtedy nic nie było.

– I na tym oto jebadle spali wszyscy rezydenci w naszym domu. I goście.

- Ile razy ono było zarzygane.

– No, wiele razy. Przez bardzo sławne też osoby polskiego teatru, filmu, sztuk plastycznych i wszelakich.

- Ono mi się najbardziej kojarzy z takim zdjęciem, na którym wy stoicie na głowach i rękach z Błażejem w rajtuzach. I dziury w tych rajtuzach macie powygryzane.

• • •

Jebadło było czołgiem i to pod nim trzymaliśmy Janeczkę w hełmie na głowie. Za nim też się ukrywaliśmy przed jej ścierą. I zza jebadła rzucaliśmy sklepikarami, czyli kulkami szarego papieru toaletowego namoczonego w wodzie. I jak się rzucało w zasłony, takie aksamitne, to sklepikara się najpierw przyklejała, a potem malowniczo skapywała z płaskiem. A na tylnej ścianie jebadła były kredkami świecowymi wyrysowane nasze tajne mapy i szyfrowane tajemnice. Jak było smutno, tam można było przeczekać. Się skryć. Za jebadłem właśnie. No a potem, jak podrośliśmy, ciemnozielony aksamit jebadła był świadkiem jeszcze całkiem innych rzeczy.

6.

[pijacy]

– Dużo się pije u nas w domu czy mi się zdaje? Jak ty się na to zapatrujesz?

- Dużo pijemy i jesteśmy z całą pewnością pijakami, hedonistami. Nie wszystko pijemy, ale przeważnie dużo. Dla przyjemności.

– A nie dlatego, że jest to substancja, która nam pozwala...

- Zapomnieć o czymś złym? Nie. My lubimy smaki po prostu. Przynajmniej teraz, bo kiedyś byliśmy głupi i po pijaku roztrząsaliśmy sprawy, co nigdy nie wy-

chodziło na dobre. Ale też sprawy się pojawiały, kiedy byliśmy po pijaku, a nie że upijaliśmy się, żeby sprawy rozstrzygnąć.

– Bo kiedy płaczesz po pijaku, to nie ty płaczesz, tylko wódka przez ciebie płacze. Czyli co? Dużo się pije, ale głównie to jest kwestia przyjemnościowa?

• Nie głównie. Wyłącznie. Właśnie się winka napiję.

– Napijmy się.

• Twoje się skończyło. Ale jest jeszcze jedno czerwone.

– Ale ile tak, twoim zdaniem, się u nas pije?

• Pierwsze, co się pije, to kropelkę koniaku.

– I kiedy to mniej więcej jest?

• Zależy, ale nie wcześniej niż o jedenastej. No chyba że w niedzielę do kawy pośniadaniowej, to o dziesiątej.

– Czyli to jest zdecydowanie przed południem.

• Tak, tak. Dobry koniak, na przykład Camus.

– Ale w święta do śniadania bąble pijemy nawet wcześniej.

• Albo gorące mleko z whisky.

– A na ile taki koniak?

• Co na ile? Ile takiego koniaku? No parzyście najczęściej. Czyli po dwa.

– Nie. Na ile taki koniak starcza?

• Na tydzień. Ale nie pijemy sami. Zawsze ktoś wpada. Jest rozszerzona pula użytkowników, powiedziałbym. Ale lubimy bardzo. Potem jest obiad, lampkę wina się pije zawsze do obiadu. A po obiedzie często kieliszek lub dwa nalewki. Na trawienie imbirówka jest świetna, a jak jest z kolei zimno, to malinówka najlepsza.

– A do tych nalewek to ile schodzi wódki i spirytusu?

• No, bardzo dużo. Dlatego że my robimy sporo tych nalewek. W tym roku zrobiłem chyba trzynaście rodzajów, i to w dużych ilościach. W takim dziesięciolitrowym słoju. To tam wchodzi osiem kilo owoców, na przykład brusznicy. No i wtedy wchodzi, myślę, trzy litry spirytusu i trzy litry wódki.

– Jak przywozisz te zapasy? Kartonami?

• Tak, jak przychodzi czas nalewek.

– A co potem robisz z tymi butelkami?

• Pakuję je do żółtego worka. Ale najpierw w worki, które się degradują.

– Takie nieprzezroczyste?

• Nieprzezroczyste. I w tych workach nieprzezroczystych dopiero do żółtych. Po co ludzie mają widzieć, ile litrów spirytusu i wódki zużywamy. Że się coś u nas dzieje nienormalnego.

– No tak. Czyli dużo się pije u nas w domu?

• Dużo.

– Ale pijemy, bo lubimy i to służy zdrowiu, a nie jest to sytuacja, która jest niezbędna.

• Albo że muszę się napić.

– To mamy za sobą, te czasy, prawda?

• To już mamy za sobą.

7.

[*sabrina*]

• Dość długo chodziła też taka piosenka, którą przyniósł kolega mój z teatru od swoich córek, o Sabrinie. Kiedy Sabrina była w Sopocie. W rodzinie to bardzo się podobało, w związku z tym weszło do repertuaru na dłużej:

Boys, boys, boys, Sabrina na golasa.

Boys, boys, boys, cycory ma do pasa.

Boys, boys, boys, widzieli ją górniczy.

Boys, boys, boys, jak srała na ulicy.

– Aha.

8.

[w pizdu, panie szymczyk]

– Gdzie idziesz, tatusiu?

• A w pizdu, panie Szymczyk. To jest opowieść ze wsi męża mojej siostry, z Dzierzkowic. O chłopcu, który szedł sobie wsią, i sąsiad, który tam kosił trawę czy coś, zapytał go: „Gdzie idziesz?”, bo się zdziwił, że idzie dziecko samo środkiem drogi. No i otrzymał tę właśnie odpowiedź.

IMPONDERABILIA

– Kiedy natrafiamy z Edkiem na jakieś przeszkody, coś nam się nie udaje, wypierzamy się na twarz, to ja mu zawsze mówię: „Skoro moi rodzice przetrwali tę ciemność w bardzo trudnych okolicznościach, bez większej nadziei, że to się skończy, bez pieniędzy, to czym są nasze problemy?”. I zapierdalamy dalej, dodatkowo z poczuciem zażenowania.

Jak wam się to udało? Jak udało się wam zachować w tym siebie? Ten czas przecież długo trwał. Jak to się stało, że lata mroku nie uszkodziły tego czegoś bardzo cennego? Że to tam ciągle jest i świeci w środku?

- Myślę, że to jest kwestia imponderabiliów. Jeśli człowiek nie ma własnego fundamentu, na którym może się oprzeć – to może być tylko poczucie, przekonanie o czymś, to może być tysiąc spraw, które nie muszą być wcale wielkie – więc jeśli nie ma na czym się oprzeć i nie ma przystani, do której zawsze może wpłynąć, kiedy jest burza, to nie ma mowy, żeby ją przetrwał. Żeby przetrwał trudności, z których życie przecież wyłącznie się składa.

Tym czymś, na czym ja się opieram, jest poczucie, że najważniejszą rzeczą w życiu jest samo życie. I nie można go w żadnym punkcie marnować. W konsekwencji, żeby nie wiem jak było trudno, to skoro życie jest najważniejsze, zawsze się ma przekonanie, że jeśli nie dziś, to jutro albo pojutrze, albo w najbliższej przyszłości nastąpi pozytywne rozwiązanie. Jeśli się nie ma tego silnego, emocjonalnego związku z życiem, to właściwie jest się pozbawionym wszystkiego.

Oczywiście to się także wynosi z domu czy z domów. W moim przypadku od dziadków włącznie. Teresa była z trochę innego domu. Mój był bardziej skomplikowany, a jej był prostszy.

Ale ostatecznie nasze domy w tym najważniejszym punkcie w gruncie rzeczy były bardzo podobne. W związku z czym to uwielbienie życia w naszych relacjach się jakby podwoiło. Pozwalało nam przetrwać bardzo trudne sytuacje w życiu, w których normalnie ludzie się załamują, rozchodzą, nie widzą sensu w byciu razem. To wszystko nas przecież dotyczyło w różnych okresach naszego wspólnego wiosłowania. Po wielu latach ktoś to potwierdził, ktoś ciężko chory, komu ja trochę pomogłem.

– Roman?

- Roman z Gniezna, który do końca życia będzie całkowicie sparaliżowany i porozumiewa się ze światem tylko przez komputer, za pomocą myszki sterowanej powieką.

– Bez tej myszki nie mógł się kontaktować?

- To było bardzo skomplikowane. Cierpliwość do tego miała tylko jego matka. Mówiła alfabet, on mrugał prawym okiem, bo wyłącznie ten jeden ruch był dla niego możliwy, na danej literze i ona już wiedziała. Kiedy przyszedłem do niego do domu, on mrugnął na D, a ona już wiedziała, że on chce powiedzieć: „Dziękuję”. Ale to było potwornie trudne bez tej myszki, więc zagrałem spektakl i w ten sposób ją ufundowałem. I Roman w pierwszym liście, jaki napisał, kiedy odzyskał kontakt ze światem, powiedział mi w ostatnim zdaniu: „Panie Janie, nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej”. I ja zawsze mam dreszcze, jak sobie to przypominam, a minęło już wiele lat, ponieważ ten człowiek właśnie jest dowodem jakiegoś niezwykłego związku z życiem.

Wiem, i wielokrotnie to powtarzałem, że jestem jętką jednodniówką, żyję dziś i przeszłość dla mnie nie istnieje, przyszłości nie znam. Jestem oczywiście jej ciekaw, ale nie za bardzo. Żyję tak naprawdę z dnia na dzień. I nie mogę stracić tego jednego dnia, w którym żyję, bo jak stracę w nim, nie wiem, pół godziny czy zmarnuję minutę, to jest to po prostu niewybaczalne.

– Czyli totalne zanurzenie w chwili jest tym, co pozwala przetrwać? Znosi strach i sprawia, że życie jest fantastyczne?

- Nie ma dla mnie cenniejszej wartości niż wszystko, co jest przejawem życia. I to uczucie pozwala wzbudzać bardzo nieraz wysoką tolerancję wobec trudnych zachowań drugiego człowieka czy partnera. Pozwala myśleć o tym właśnie z perspektywy Romana, że nawet jeżeli jest bardzo źle, to zawsze istnieje ryzyko, że może być gorzej. W związku z tym to teraz nie jest wcale czymś najgorszym. Pamiętajsz tę sentencję z *Charakteru przestępstwa*? Ostatniej powieści Conrada, którą was zamęczam od zawsze?

– Nie wierz niczemu...

- ...i nikomu nie odmawiaj wyrozumiałości. Długo nie mogłem połączyć tych dwóch elementów. Pierwszego, wydawało mi się, skrajnie cynicznego i drugiego z wręcz chrześcijańskim przesłaniem. Ale w końcu zrozumiałem, że Conrad mówi o pewnego rodzaju harmonii, o złotym środku, o zrównoważeniu. Nie wy-

stawiaj jak zwierzę brzucha, bo zostaniesz kopnięty, ale jak cię ktoś będzie chciał kopnąć, to zrozum jego motywy, choć nie musisz przechodzić na jego stronę.

To daje jakiś rodzaj balansu w życiu. Pozwala uniknąć pakowania się w ekstremalne sytuacje po niedobrej stronie, których to niedobrych stron człowiek nie może przewidzieć. Czasami do tego jest potrzebny partner. Ja bym pewnie popełnił o wiele więcej błędów w życiu, gdyby nie Teresa.

Mówiłaś o mroku komuny może nie na miarę rewolucji francuskiej, ale jednak Solidarność też rewolucję przyniosła, a na pewno ekstremalne zmiany. Na przykład rektorów szkół artystycznych wywożono na taczkach i w mig proponowano nowych, często bez porozumienia z nimi. I właśnie ja taką sytuację przeżyłem, i byłem w totalnej udręce. Bo z jednej strony byłem w Solidarności i po tej stronie rewolucyjnej, a z drugiej wiedziałem, że nie mogę się w to pakować, bo to mnie odkształci, i że...

– ...to nie jest robota dla artysty.

- I tak naprawdę Teresa o tym zdecydowała. Przecięła tę moją udrękę. I kiedy przyszedłem wśród wiwatujących tłumów na uczelnię... To dotyczyło łódzkiej Szkoły Filmowej, ja i koleżanka aktorka zostaliśmy wytypowani do głównych władz tej uczelni. I powiedziałem wtedy, że wiem, że kiedy stąd wyjdę, to ten aplauz zamieni się w opluwanie mnie. Tak samo jak wiem, że za chwilę znajdą się dziesiątki kandydatów, którzy zechcą przejąć oferowane mi stanowisko, ale ja nie mogę go przyjąć, chociaż doskonale rozumiem potrzebę chwili. Bo chcę pozostać sobą.

I było tak, że kiedy po tym moim krótkim przemówieniu wracałem, to rzeczywiście na mnie pluli. Nie wszyscy, ale część. Po prostu normalnie pluli. Uznali mnie za zdrajcę idei i tak dalej. I było też tak, że od razu na moje miejsce kolega aktor się zgłosił, nie jeden zresztą. To mam właśnie na myśli, mówiąc, że posiadanie imponderabiliów pozwala nie dać się ponieść własnej pysze. I nie przejść na stronę, którego to przejścia będę za chwilę żałował.

– Tylko że teraz jesteś dojrzałym człowiekiem i te imponderabilia są klarowne. A interesuje mnie moment, w którym się tego nie wie. Jest się ludzkim szczenięciem, które nie wie nawet, co to w ogóle jest za słowo: imponderabilia. Co jest ważne, a co jest śmieciem. No, nie wie nic. Co wtedy?

- Intuicja. Wyczuwa się, czy coś jest warte jeszcze walki, czy należy już odpuścić. Ale na przykład wtedy w Łodzi pomyliłem się i zaproszony przez Dejmka, zostałem totalnie przez niego sponiewierany. Nic nie zagrałem przez cztery lata

po fantastycznym debiucie we Wrocławiu i takich pełnych, sytych rolach. I byłem upokorzony jako aktor, jako facet.

– I zarabiałeś na życie programami dla przedszkolaków.

• O siódmej rano na ogół był pierwszy program. Nie mógł trwać dłużej niż dwadzieścia minut. Musiał być klarowny, bo dzieci. Te pierwsze posłuchy to się odbywały na nocnikach. One rznąły kupę, nie wiedziały, co się dzieje, ale patrzyły, że jakieś muchy brzęczą, co wpadły do przedszkola. I myśmy się zrywali o szóstej rano, żeby tym maluchem zajechać i zagrać.

– I nic nie grałeś?

• Nic. Piłem na umór, strasznie.

– To wtedy poszedłeś pożyczyć kabel od sąsiada i wróciłeś po trzech dniach?

• Nie po trzech dniach. Nad ranem.

– Rozmawiałam o tym z mamą.

• Ja kompletnie mam coś innego w pamięci. Że wróciłem o świcie, o szóstej...

– Rozmawiałam o tym wczoraj. I mama mówi, że zniknął. Po kabel poszedł i na trzeci dzień zmartwychwstał. W izbie wytrzeźwień się znalazł. I Karola była wściekła, że musiała po ciebie pojechać, ale nie było innej opcji, bo mama musiała do pracy.

• Być może tak było. Byłem w każdym razie na granicy stoczenia się totalnego. Okropne.

– Z rozpacz i poczucia pomyłki?

• I przegranej. To były lata 1975 do 1979.

– Osiedle Teofilów...

• Ulica Traktorowa, dom handlowy Teofil, Bałuty. Najgorsze z możliwych miejsc. Schyłek Gierka, kiedy po prostu nic nie było. Przejmujący, przerażający pejzaż Łodzi i kompletny brak perspektywy.

– Ale skąd ta siła? Konkrety!

• Mnie się wydaje, że to jest tak, jak ma zwierzę; walczy mimo porażeń, wykrwawień i jakiejś beznadziejnej własnej sytuacji, a jednak się nie poddaje, nigdy. Tak samo ja przywołałem na początku te wartości podstawowe dlatego, że w sytuacji, w jakiej się znalazłem w Łodzi, kiedy byłem nieustannie pijany, też na próbach, na granicy wyrzucenia mnie nawet z tej nicości teatralnej, ratowany przez kolegów...

Mogłem się stoczyć w bagno, bo Łódź zasysała. Pełna była jakichś lumpów, ludzi, którzy mogli mnie napaść, okraść, nie wiem, do domu przyjść, bobym ich prosił. Mogłem zrobić straszne rzeczy. To wcale nie były przelewki, ale ponad wszystkim coś czuwało. Nie mogę powiedzieć, że wtedy miałem wiarę, że cokolwiek się odmieni, ale miałem chęć przetrwania. Pamiętam, że rozsierdziłem potwornie Teresę po tej, jak się okazuje, dłuższej nieobecności, kiedy przyszedłem z jakimś goździkiem czy czymś...

– Doprecyzuję to.

• Mianowicie?

– Czy z goździkiem.

• Ale Teresa... Nigdyśmy na ten temat nie rozmawiali, ale ostatecznie Teresa była bliska rozstania się ze mną i miała wszelkie powody, żeby myśleć, że to konieczne. Że ja sobie nie poradzę. Alkohol i te ucieczki w jakichś okropnych ludzi. A ona to przetrwała. Nie wiem, co o tym zadecydowało, ale przetrwała. Przetrwaliliśmy.

– Mama mówiła, że babcia Janeczka była wtedy ważna.

• Babcia Janeczka była plastrem, który to scalał; nadawała właściwe proporcje. Pozwalała nie zwariować. Miała jakieś potwornie zdrowe podejście i czasami po prostu decydowała o pewnych rzeczach. Jak na przykład przychodziło towarzystwo do mnie, żeby się napić, to ona ich wyrzucała z domu, a potem mówiła: „Skąd one to wiedzą? Jakby na drzwiach było napisane: «Tu jest wódka»”.

– A mamie powiedziała: „Pani, jak żeś pani chciała mieć chłopca, co by w domu siedziół, to trzeba było se wziąć szewca, a nie artystę! Też by pił, tyle że w domu”.

• • •

To musiała być jakaś świąteczna chałtura, bo miałeś brodę białą. Odbywało się to w teatrze. Występowałeś tam i ja też tam byłam. W ukochanej twojej sukience z wełny brązowej; miała białe rękawki z guziczkami. Niezbyt ją lubiłam, bo mnie gryzła ta wełna, ale wkładałam ją, bo ty ją uwielbiałeś. Długo to trwało, te twoje występy. Występowałeś i występowałeś, i wręczałeś bachorom takie paczki w szelszczących papierach, a ja czekałam, aż się to skończy, w tej gryzącej sukience, i grałam w samotnika. Taką grę. Byłam tam razem z tobą i smutno było bardzo. I ty byłeś smutny.

• • •

– Pamiętam, że chodziłeś na jakieś lekcje tańca...

• Tak, chodziłem.

– I ja z tobą chodziłam, ale dlaczego?

• Bo ty nie miałeś przedszkola. I jak raz poszłaś ze mną, to ciągle się dopominałaś, żeby tam chodzić. To prowadziła taka tancerka znana w Łodzi, potem słynna choreografka. To były treningi, obowiązkowe w teatrze, i na początku chodził cały zespół i tańczył, a potem bardzo szybko się wykruszali i na samym końcu, ponieważ ja nie miałem pracy i nie miałem prób, zostałem sam. To było remedium dla samotnego, niepracującego aktora. Matka w pracy...

– ...a my na baletach.

• Tylko ty i ja się zostaliśmy. Ja tańczyłem i ty też podrygiwałaś albo patrzyłaś. I ona to prowadziła, bo dostawała za to pieniądze, i mówiła, że tylko dzięki nam, tobie i mnie, dotrwała do końca.

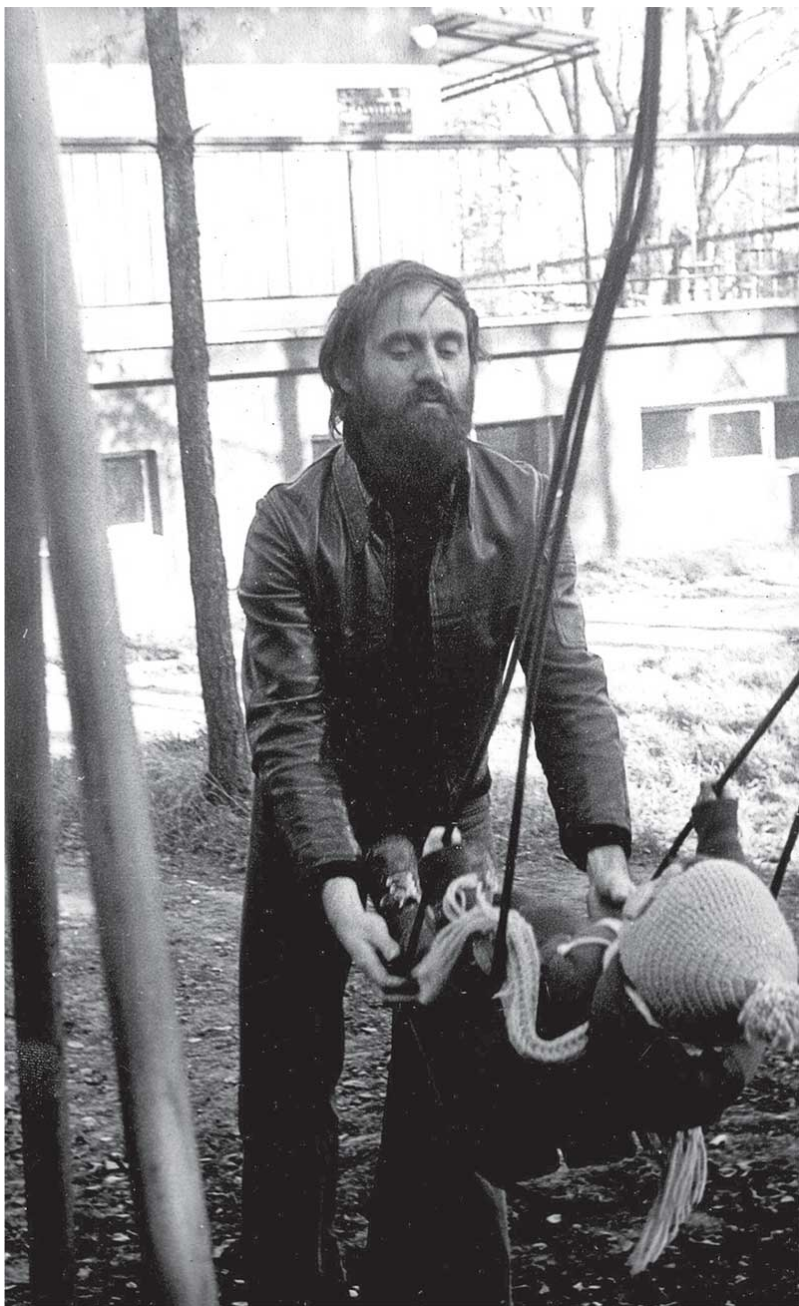
– Na takim korytarzu betonowym to było.

• • •

Raz w czasie jakiejś balangi na Traktorowej przyszedłeś do naszego pokoju, trzymałeś kieliszek z brandy i trochę się z niego wylewało, kapało ci też z oczu. Myślałeś, że śpimy, i powiedziałaś: „Jestem tylko nędznym aktorzyną”. I wtedy ja z Błażem postanowiliśmy cię uratować, żebyś nie był taki strasznie smutny. Zdeydowaliśmy pierwszy raz zrobić wam prezenty pod choinkę.

Tak się złożyło, że Kuba Skierka, ten kolega z podwórka, któremu Błażej wybił dwa zęby, wyzdradził nam, że aniołek to jest wymysł dla dzieci. I my, widząc, jak wy się staracie, żebyśmy wierzyli, udawaliśmy, że wierzymy. Ale nędzny aktorzyzna przeważył i postanowiliśmy, że to się musi zmienić. Pierwsze prezenty były takie: płyn do naczyń dla mamy, żeby jej się lepiej góry naczyń po balangach zmywało, a dla ciebie szampon do włosów, których już wtedy nie miałeś, Brutal. Z kiosku Ruchu.

• • •



• A potem ja się w końcu wydobyłem. Odszedłem od Dejmka do teatru obok, do Jaracza, i tam wyspał się worek ról w ilości, które normalnie aktor gra przez

dziesięć lat.

– I wszystko się zmieniło.

- Przetrwaliśmy. Ale wiem, że gdyby nie Teresa, to ja bym nie wytrzymał, ja bym się stoczył. Nie pamiętam tylko, bo byłem ciągle pijany, momentu, w którym nastąpił ten zwrot. Że nagle ta ciemność, totalna ciemność się skończyła; to upokorzenie, którego nigdy wcześniej w życiu nie doznałem, też się skończyło. Rozeszliśmy się w taki typowy dla niego sposób, powiedział: „Pan jest chuj!”, na co ja się odwróciłem i powiedziałem: „To pan jest chuj!”.

A potem nie miałem czasu na nic. Nawet nie miałem czasu na satysfakcję, bo był sukces za sukcesem. Mimo że pierwsze role to był koszmar dla mnie. Miałem wrażenie, że nie przebiję skorupy, która mnie obrosła. Że jestem nieczuły, że nie jestem w stanie spojrzeć partnerce w oczy. Z tego mnie wyciągnął Mikołaj Grabowski. Ale długo nie byłem w stanie wyjść z hibernacji, którą spowodował Dejmek.

– A wiesz, jak ten teatr się teraz nazywa? Teatr Nowy imienia Kazimierza Dejmka w Łodzi.

- Chcę tylko powiedzieć, że to poczucie potrzeby imponderabiliów nas nie opuściło, mimo że błądziliśmy w jakiejś strasznej otchłani. Jeśli się tego nie ma, to się stamtąd nie wraca. A jeśli się to ma, chociaż się o tym nie pamięta, bo jest się ciągle pijanym i poranionym, to gdzieś tam z tyłu to ciągle jest obecne. I w którymś momencie wykonuje się po prostu obrót o sto osiemdziesiąt stopni i nagle masz wszystko.

– A myślisz, że można mieć imponderabilia, jeśli się ich nie wyniosło z domu? Jest to możliwe?

- Myślę, że to się wysysa z mlekiem matki.

– No a jeżeli nie ma z czego wyssać? Nie ma domu?

- Wtedy nazwałbym to inaczej. To jest siła, która człowieka pcha. Obserwuję przecież moich kolegów, którzy często są z trudnych domów i nie mają oparcia. Drogowskazu. To, co nimi kieruje, to desperacja, której ja niestety nie miałem. Bo gdybym miał tę desperację pozytywną, do walki wbrew wszystkiemu o przetrwanie, to byłbym pewnie jeszcze kimś innym.

– Wiem, o czym mówisz. Znam takich desperatów i im zazdroścę. To jest olbrzymia siła. Ja też nie mam takiej desperacji, w sensie brutalności czy bezwzględności. To, co robię, jest za delikatne, pełne niuansów, ciągle za mało radykalne. Dlatego chyba tak się wydzieram, bo z tą lirycznością walczę.

- No właśnie, my tego nie mamy, bo my jesteśmy z sytych domów.

– Sytych miłością.

- Sytych pod każdym względem.

– Przede wszystkim poczuciem bezpieczeństwa. Wiem, że jak się w coś konkretnie wpierdole, to ty mnie na koniec świata przyjedziesz uratować.

- Przyjadę.

– Jedną z rzeczy, którą najbardziej kocham w Edku, jest droga, jaką przeszedł. W tym sensie jego dom na pewno nie był syty.

• • •

– Chciałabym umieć to co ty. I chyba powoli umiem.

- Podnoszenie się ze zgliszcz?

– Tak. Ave Maria, nie umarłam. Idę dalej.

- Jedno mogę powiedzieć, kończąc jeszcze epizod łódzki. Teraz doceniam postawę Teresy, jej wytrwałość. Ona w każdej chwili mogła zabrać dzieci i wygrałaby sprawę, gdyby się chciała rozwieść.

– Ale gdzie by poszła?

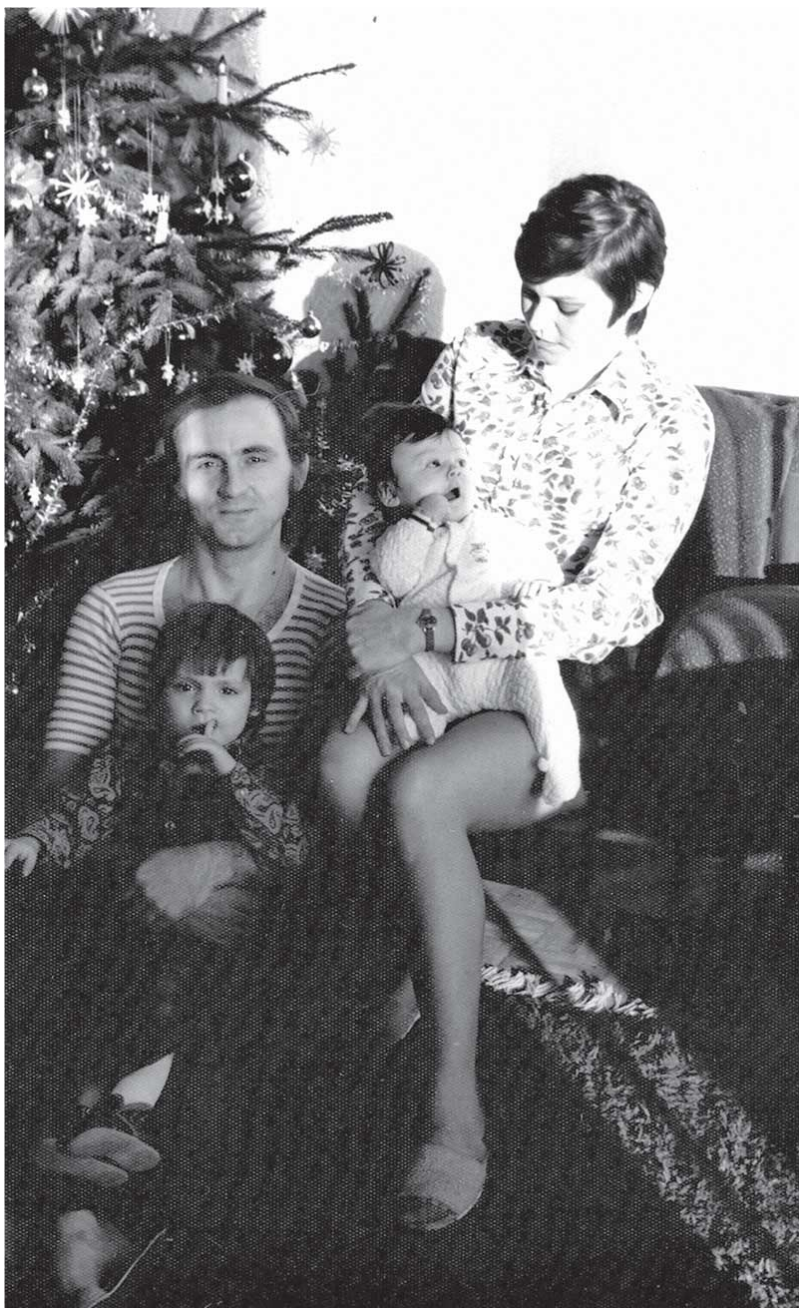
- Nie wiem.

– Przecież to była miłość, nie?

- No, była. Ale to, że ona nie robiła jakichś karczemnych awantur, uzmysłowiło mi, że to jest osoba, na którą zawsze można liczyć, i że nie mogę tego absolutnie zaprzepaścić. Bo obok tej łódzkiej otchłani, tego upokorzenia była zawsze ona.

Pamiętam, jak po latach Dejmek przy całym zespole Teatru Polskiego w Warszawie, bo mnie tam zaprosił ze *Scenariuszem...*, powiedział: „Pan jest genialnym aktorem. Jak mogłem...”, nie zapomnę tego: „...jak mogłem tego nie zauważyć? Proponuję panu angaż w Teatrze Polskim w Warszawie”. I prawdę mówiąc, wkurwiła mnie jego pycha. Pewność, że ja powiem „tak”. Odmówiłem.

• • •



• A wiesz, że na tym Teofilowie w pierwszy wieczór, jak sprowadziliśmy się na Traktorową, w windzie jeździł trup osiemnastoletniego chłopca zadżganego no-

żem? I nikt nie chciał wezwać milicji. I ludzie jeździli z tym trupem windą i wychodzili. To ciało jeździło cały następny dzień jeszcze. To jeszcze à propos mroku.

• • •

– Przeszedłeś przez ciemność i beznadzieję komuny, kiedy się wszystko waliło i na tak niewiele rzeczy miało się wpływ. Czy teraz, w obecnej sytuacji politycznej, kiedy w jakimś sensie historia się powtarza, masz jeszcze do Polski cierpliwość? Jak się czujesz z tym, że to się znowu wywraca i psuje? Coś, co tak trudno było zbudować i na co się tyle czekało. Dotyka cię jeszcze, że to się powtarza? Czy już masz to w dupie i chcesz po prostu żyć?

• Nie da się odpowiedzieć na to, Marysiu, krótko. Mam siedemdziesiąt pięć lat i poznałem tego typu rzeczy na własnej skórze. Mógłbym powiedzieć, że już mi wisi, niech się zajmują tym młodzi. Bo historia się powtarza, przy czym teraz w sposób doskonalszy, to znaczy bardziej cyniczny. I mechanizm sprawowania tej władzy, tych karłów, jest w tej chwili bardziej perfekcyjny przez poprzednie doświadczenia.

– Ale czy to cię dziwi?

• To mnie kompletnie nie dziwi. Ponieważ ja do polityki mam stosunek jak do starej wyleniającej kurwy. Bo polityka jest starą wyleniałą kurwą w każdym momencie historii. W związku z czym ani mnie nie podnieca, ani nie zamierzam się z nią kontaktować.

– Wisi ci, ale swoje poglądy komunikujesz jasno.

• Oczywiście. I kiedy trzeba, zabieram głos, nazywam rzeczy po imieniu, bo milczeć wobec zła nie wolno. I jeśli przychodzi do konkretów, to się angażuję, i oczywiście się okazuje, że mi nie wisi.

– A powtarzalność ludzkiej głupoty cię nie przeraża?

• Maryniu, człowiek jest taki właśnie. W naturze człowieka jest i mrok, i światło. I to jest właśnie fascynujące. Zresztą jak sama wiesz, wchodzenie w mrok jest najbardziej interesujące. Jasność strasznie się zużywa i jest krótkotrwała. W sensie intensywności.

– W sztuce zdecydowanie tak.

• Ale w życiu też. Najczęstsze są oczywiście stany pośrednie, ale to mrok człowiekiem wstrząsa, a światło? Szybko się nim nasycasz, szybko je asymilujesz. Starcza go tylko na jakiś czas.

– Ja funkcjonuję najczęściej albo w stanach euforycznych, które są wspaniałe, albo w otchłani, która nie jest przyjemna, powiedzmy najogólniej. Ale euforia też bywa wyczerpująca. Balansu, równowagi rzadko doświadczam.

• Mnie mrok zawsze bardziej fascynował, mimo że jestem raczej osobnikiem pogodnym. Nie jestem neurastenicznie ciemnym typem. Zawsze widzę jakieś wyjście, nie wiem jakie, ale wiem, że jest.

– A tę pewność i siłę, o których mówimy, z czego jeszcze bierzesz?

• Z lasu, z kontaktu z naturą. Tego się nie da przecenić. I jak mnie przymuszasz teraz tym pytaniem do analizy tego, to wszystko się składa. Po tym incydencie, o którym ci opowiadałem, o ojcu, który mnie wyłowił z folksdojczem z kina i poszedł do księdza Sanaka i tak dalej, mam w pamięci, że w ogóle nie byłem tym przybity. Było mi okropnie tylko źle, że ojciec tak długo chodzi i że łapie się za serce, i to mnie denerwowało; że odgrywa taką scenę i że to jest trudne do zniesienia. O Boże! Że narysowałem dwie gołe cipy? No to co, ojciec nie wie, jak cipa wygląda? Raczej mam w pamięci tego typu własną argumentację. A że on zapowiadał okropne reperkusje tego i konsekwencje? Prawdę mówiąc, nie było to jakieś przerażające; nie odzywał się do mnie dwa tygodnie. No i dobrze, a cóż by mi miał takiego mówić?

Ale dlaczego mogłem tak myśleć i mieć taką opozycję własną, wewnętrzną? Dlatego że po drugiej stronie była matka, która pyta: „Co się stało?”, bo widzi, że ojciec sapie, łapie się za serce w progu i dyszy. I on jej mówi, że byłem na tym filmie, że cipy i reszta, a matka się odwróciła i puściła do mnie perskie oko. I to perskie oko...

– ...wszystko rozładowuje.

• Wszystko. Nawet gdybym miał poczucie winy czy wyrzuty sumienia. I to nie chodzi o to, że matka robiła jakąś dywersję edukacyjną za plecami ojca, nie. Ona miała po prostu zupełnie inny stosunek do życia.

– Chociaż przecież Karoli stosunek do Boga... Ten Bóg się, kurwa, nie skończy nigdy. Nie uwolnimy się od niego. Pamiętasz Matkę Boską Roztopioną?

• No.

– Fluorescencyjną?

• Tak.

– Z którą Karola jeździła wszędzie i się z nią nie rozstawała jak z najświętszym talizmanem?

• Wszędzie z nią jeździła... No, widzisz, może ja to macanie Matek Boskich mam po niej?

– Możesz mieć.

• Ja to teraz odkrywam. Bo patrz, Karola z jednej strony nienawidziła księży...

– Ale Matkę Boską stopioną z plastiku kochała.

• Z Lourdes. Ona świeciła w ciemności.

– A czemu się stopiła? Nie pamiętasz?

• Nie wiem. Chyba świeczka na nią spadła, a że była z plastiku, więc się roztopiła.

– Albo na kaloryferze raczej się przypiekła.

• Głowa się tej Matce Boskiej spaliła i tak kipnęła na bok.

– I z tym kikutem postmatkoboskowym, takim plastikowym kleksem świecącym w ciemności, babcia podróżowała przez ostatnich parędziesiąt lat i się do tej kupki plastiku modliła. I on zawsze przy jej łóżku stał.

• Tak.

– I kiedyś Cezarek, jej ukochany pies, to porwał, pogryzł i była rozpacz.

• Bo ktoś jej przywiózł z Lourdes tę Matkę Boską i ona w to wierzyła. W ogóle te jej fetyszystyczne odruchy. Jak ona wzięła po ojcu swoim, dziadku Stefanie,

który przecież ją łął potwornie, grudkę ziemi z grobu i dwa czy trzy sztuczne kwiatki z wieńca. Ja zresztą nie zapomnę sceny, którą ona odegrała nad grobem dziadka Stefana. Była burza. Myśmy w deszczu przyszli na cmentarz z trumną i potem się tak rozstąpiło niebo, i takie światło pionowe. Boże Światło mówią na to...

– Bozia tak zwana.

• I matka, pamiętam, tak rozpostarła ręce, spojrziała w niebo i zaczęła się śmiać. Miała bardzo donośny, taki operowy głos naturalnie postawiony; śmiała się i zaczęła coś śpiewać... Pamiętam, że Adela ją wzięła z Łucją, dwie siostry, pod rękę i tak ją prowadziły, bo myślały, że ona oszalała.

– A ona była szczęśliwa, rozumiem?

• Widocznie. Nie wiem. Nigdy żeśmy się nie dowiedzieli, co to było. Ale mówię o tym emocjonalnym, ekstremalnym odreagowaniu czegoś trudnego dla niej; to był właśnie jej sposób. I te kwiatki wzięła ze sobą, z tą ziemią z grobu, wrzuciła to sobie w woreczek płócienny i spała z tym pod poduszką.

– Czemu?

• Ty mi powiedz. Nie wiem. Po prostu nie chciała się z ojcem rozstać. I wpadła w depresję, śniły jej się jakieś rzeczy, nie spała po nocach, aż wreszcie tata odkrył to i zaniósł do znajomego lekarza. I on powiedział: „Natychniaś to spalić”. Oczywiście była totalna awantura, że jej życie drugie odebrał, krzyki i tak dalej, ale wszystko minęło.

Swoją drogą, moja matka miała pewne niezwykle umiejętności i kontakt ze swoją wewnętrzną czarownicą. Ale dlaczego ja o tych kwiatkach i o matce teraz?

– Że jin i jang. Ciemność i jasność miałeś w domu. Balans.

• Ale też teraz nazywam po imieniu moje fetyszystyczne skłonności.

– W spadku po Karoli.

• Sama wiesz, że miała bardzo silne telepatyczne, i nie tylko, możliwości.

– Czarownica.

• Trochę.

– Więcej niż trochę.

• Jak chciała komuś coś złego nadać, to unikała tego bardzo, bo w młodości się jej to zdarzyło.

– „Żebyś zdechł”, powiedziała koledze.

• I kolega się utopił następnego dnia.

– Ale najpierw ją wymacał, a nie chciała.

• Nie, to nie ten. Ten się z niej śmiał, dlatego że ona na lekcji gimnastyki puściła bąka i on ją nazywał: „Karolcia, pry, pry”. I on po prostu...

– Babcia mi opowiadała, że ją przydybał w sadzie i przycisnął do drzewa, podmacawszy, i ona wtedy z wrażenia puściła bąka.

• Aaa, możliwe...

– Natomiast na gimnastyce pływali we Wkrze i Karolcia zrobiła kupę w rzece.

• Tak.

– I profesor powiedział do niej: „Karolciu, a cóż to za tobą płynie?”. I profesor też nie najmilej skończył.

• Jak wiesz, ja też bywam skuteczny w tego typu akcjach, ale staram się tego nie nadużywać.

– Chyba nie powinniśmy za dużo o tym mówić.

• Nie mówmy.

– Moce są i umiejętności. I tyle w temacie wewnętrznej czarownicy. Kto wie, ten wie, a kto nie wie, niech się lepiej nie naraża.

• • •

Spędziliśmy kiedyś dziwne wakacje w Borach Tucholskich. Padało całe dwa tygodnie. Gościła nas rodzina smutnych, ale bardzo serdecznych ludzi. Za dnia ujeżdżaliśmy z ich dziećmi byki i wpadaliśmy w rozmokłe krowie kupy. Rodzice zbierali kosze grzybów i uczyli nas potem przyrządzać, nawet z ich nadpleśnia-

łych części, pożywne kolacje. Bo był to czas tak zwanej biedy u nas. Wieczorami wspólnie z rodziną gospodarzy siadaliśmy do haftów.

Hafciarska obsesja wzmagała się wraz z intensyfikacją opadów. Nigdy nie zapomnę kolorów, wzorów i kojącej ciszy tych wieczorów. Bez telewizora, a czasem i bez prądu. Zapachu lnianej szmatki, skupienia i konkretności igły w palcach, która jak kotwica trzymała nas w realu. Bo opowieści o bagnach, kłobukach i zjawach jak pasma muliny ciągnęły nas w słodki i mroczny niebyt tucholskiego boru.

Mogło nas zassać na amen, bo haftowaliśmy z zapamiętaniem wszyscy. Na szesnaście par rąk, na dwie rodziny. Mistrzami w haftach okazali się panowie. W doborze barw królował gospodarz, w precyzji Błażej, we wszystkim innym tato.

• • •

– Ale jak myśmy się urodzili z Błażejem i zajmowaliście się naszym tak zwanym wychowaniem, to przecież nie mieliście jakichś zasad, które postanowiliście, że będziecie nam przekazywać? To się działo intuicyjnie, tak?

• Wyłącznie intuicyjnie. Wasza pani doktor z Łodzi, wspaniała osoba i cudowna lekarka, mówiła zawsze: „Przeczekać”. W związku z tym wyście nie byli wychowywani w systemie nakazów i zakazów. Ani oczekiwania na przykład, że nam przyniesiecie ileś tam dzieci. W sposób naturalny przyjmujemy wasze decyzje, bo to są wasze decyzje. Tak jak myśmy przeczekali na przykład wszystkich twoich ekstremalnych narzeczonych, prawda? Narzeczeni naszej córki...

– Ekstremalni narzeczeni!

• ...byli narzeczonymi naszej córki i ona była na pierwszym miejscu, a potem oni. I ich ekstremalność. To był twój wybór. Nigdyśmy ci nie mówili: „Zastanów się, co robisz, to nie jest człowiek dla ciebie”.

– Nie.

• Mimo że mieliśmy swoje zdanie czy wątpliwości. Zarówno przecież do Pała, kompletnego fantasty, jak i do Briana...

– Wągabundy z Alaski.

• Mieliśmy poczucie nie wieczności tego związku, ale zawsześmy ich traktowali absolutnie poważnie.

– A Rysiek Maciek, czyli Edek, wszystko przetrzymał.

• Przetrzymał wszystko i trzeba go podziwiać, bo naprawdę musiało być mu trudno. Przecież musiał rejestrować nasze dąsy. Ale popatrz, w jakiej jesteśmy teraz komitywie. Przecież Edek mi kiedyś powiedział, że to ja jestem jego ojcem. Wprawdzie po pijaku, jak wpadł do tej dziury tam, na Starowiślniej, co śmieci poszedł wynieść i nie mógł się wygrzebać, i ja tam zszedłem na dół. I tak żeśmy się razem nie mogli z tej dziury, bo tam coś kopali, wydostać. Pamiętasz?

– Pamiętam.

• I on się wtedy, w tej dziurze, rozplakał i powiedział: „Tato”. Wiesz, to zobowiązuje do pewnego wewnętrznego stanu wobec drugiego człowieka.

• • •

• Ciekawe, jak przez te pytania i to, jak się toczy ta rozmowa, człowiek uzmysławia sobie pewne rzeczy. Albo nazywa je po imieniu, czego nie był w stanie zrobić wcześniej.

– To jest bardzo charakterystyczna nasza cecha, wiesz, że nie ma pierdolenia. Jak mówisz, to mówisz. Jeżeli jest coś ważnego, trzeba to powiedzieć jasno i wyraźnie, drukowanymi literami.

• Tak. A jednocześnie cały czas jest w tym coś nieuchwytnego, coś trudnego do zdefiniowania.

– I nigdy te rozmowy nie kończą się poczuciem, że mamy odpowiedź.

• • •

Nie mówimy do siebie „tato”, „córeczko”. Jeśli już, to tylko kiedy o sobie komuś opowiadamy. Dla łatwiejszej komunikacji. Najczęściej „tato” to Jan, a ja to Maria. Ale bywam też Maryjką, Manią, Marysią.

W listach, które uwielbialiśmy kiedyś do siebie pisać i które ciągle obowiązują przy szczególnych okazjach, a teraz w esemesach, mówimy do siebie: „Najjaśniejszy”, „Kochany”, „Najdroższa” albo po prostu „Kochanie”. Te listy przekraczają wszelkie wyobrażalne levele czułości. Porozumiewamy się metajęzykiem zrozumiiałym tylko dla nas. A że wyglądają jak listy kochanków? Czniam na to, jak by powiedział Jan.

Cznięm na interpretacje mądrali przykładających własną nieobowiązującą nas normę.

Cznięm, co na to Freud.

Cznięm na to, że pępowina nieprecyzyjnie przecięta.

Cznięm na rady tych, którzy twierdzą, że wiedzą, co dla mnie dobre.

Won.

• • •

– Jest tak, że mi się ciągle rozwiązują sznurówki.

• Mnie też!



– No właśnie. I Edek bez przerwy mi je zawiązuje, poprawia i nie może tego fenomenu zrozumieć: „Źle to robisz! Co to jest w ogóle za metoda?”. Ja mówię: „Jak to źle? Przecież tata mnie nauczył, jak byłem mała”. W Łodzi oczywiście. Pamiętam nawet konkretny dzień. Byliśmy na spacerze w Żabiczkach.

• Możliwe.

– I oprócz wiązania sznurówek wymyśliliśmy też wiersz dla mamy, który jej powiemy, gdy wrócimy: „Jesteś moim kwiatkiem / jesteś moją chmurką / niebieskim fartuszkim / moim cackiem z dziurką”.

- Cackiem z dziurką, tak.

– I to był właśnie ten dzień, w którym nauczyłeś mnie wiązać sznurówki. Nie mama, nie pani w szkole, nie niania, nie Błazej. Ty. A po parudziesięciu latach Edek odkrył, dlaczego mi się rozwiązują. Bo wiązanie sznurówek mam po tobie.

- Ja cię oczywiście uczyłem mojej metody, a moja metoda...

– ...okazała się nieskuteczna.

- Całkowicie. Niestety. Też całe życie mi się rozwiązują sznurówki.

– Chyba nie jestem w stanie po czterdziestu latach tej metody zmienić. I też nie chcę. Umrę z rozwiązanymi sznurówkami. To kwestia imponderabiliów.

M W 2

– Czy to było ważne? Życiowo, artystycznie? Co to w ogóle było to MW2?

• Był rok 1963, byłem studentem drugiego roku szkoły teatralnej w Krakowie. I mój kolega z roku, poeta Bogusław Kierc, poprosił mnie, żebym wziął z nim udział w wieczorku poetyckim. Krępował się czytać swoje wiersze, sam czytał Przybosa. Zgodziłem się, chociaż nie bardzo te wiersze rozumiałem. Wieczorek odbył się w bufecie Akademii Muzycznej w Krakowie, która mieściła się piętro niżej szkoły teatralnej. Było paru studentów, którzy pili piwo i nie bardzo byli uważni...

– Do sedna.

• Po wieczorku podszedł do nas Adam Kaczyński i powiedział, że poszukuje dwóch typów, którzy nie boją się ryzyka. Że założył i prowadzi zespół, który się nazywa MW2, i że przygotowują nowy utwór, w którym jest miejsce dla dwóch aktorów ryzykantów.

– Co oznacza MW2?

• Dwa razy MW, czyli Młodzi Wykonawcy Muzyki Współczesnej. To był zespół, którego komuna nie mogła zakopać, bo dostawał zagraniczne nagrody. Na przykład w Utrechcie pierwszą nagrodę na Festiwalu Muzyki Nowej. W związku z tym władze musiały zgodzić się, żeby funkcjonował. Chociaż lokalu mu nie dały. Ani nic.

W MW2 początkowo byli sami instrumentalisci. Ale Bogusław Schaeffer, który z nimi współpracował, napisał dla nich pierwszy w Polsce teatr instrumentalny TIS MW2. Wśród wykonawców mieli się znaleźć tancerka, aktor i aktor bez tekstu. I MW2 potrzebowało właśnie tych dwóch aktorów. Zgodziliśmy się.

Niedługo potem przyszedł do mnie do akademika Schaeffer, żeby rozpocząć pracę. Ponieważ miał poważną wadę wymowy, mówił bardzo dziwnie. Ja z kolei miałem grypę i wysoką gorączkę, leżałem w łóżku. Nic nie rozumiałem z tego, co mówi. Okazało się, że się z nim umówiłem na spotkanie. Ale nie pamiętałem. Kiwałem tylko głową. Koledzy uciekli z pokoju, śmiejąc się. Bo Schaeffer faktycznie dziwnie mówił. Pomimo to, a może właśnie dlatego, zaiskrzyło między nami od razu. To było nasze pierwsze spotkanie.

– I co wyście tam robili w tym MW2?

- Zaczęliśmy pracę właśnie nad TIS MW2. Boguś Kierc był aktorem z tekstem i miał do dyspozycji fragment Irzykowskiego z *Pałuby*, a ja miałem partię aktora bez tekstu. To wszystko było dla nas czarną magią.

– Ale to był performance, koncert? Jak byś to określił?

- To był pierwszy w Polsce teatr instrumentalny. Ten utwór trwał około dwudziestu kilku minut i był częścią koncertu, który MW2 przygotowało. Premiera odbyła się w krakowskiej Floriance, czyli auli Akademii Muzycznej, w 1964 roku. To była partytura, którą nam objaśniał Schaeffer.

– A reżyserował to Adam Kaczyński?

- Nie. Reżyserował Schaeffer. On prowadził próby, Kaczyński był jednym z dwóch pianistów.

Bo utwór był rozpisany na dwóch pianistów, flectkę, wiolonczelistę, sopran, saksofon altowy, tancerkę, aktora z tekstem i aktora bez tekstu. Dziewięć osób. I Schaeffer tym dyrygował.

To był pierwszy w Polsce utwór teatru instrumentalnego. Całkiem nowa forma. W ślad za tym Schaeffer planował zajęcie się zjawiskiem „aktora instrumentalnego”. Znałe były już wówczas takie próby w Ameryce podejmowane przez Johna Cage’a. W Europie zajmował się tym na przykład Mauricio Kagel, ale w Polsce pierwszy był Schaeffer.

– Rozumiem, że zaczęliście współpracę i zażarło?

- Zażarło strasznie. Pracowaliśmy po nocach w ciasnej salce Państwowego Wydawnictwa Muzycznego. Ten budynek po dzień dzisiejszy istnieje przy alei Krasińskiego. Dla mnie to było absolutnie ekscytujące. Natura awangardy i totalna nowość tego przedsięwzięcia. Chociaż bardzo długo nie rozumiałem w ogóle poleceń Schaeffera, nie bardzo się odnajdywałem w tej warstwie muzycznej. Ale szedłem w to. Na oślep.

– To była odskocznia? Wentyl? Coś innego, niż uczono cię w szkole teatralnej.

- Tego w ogóle nie uczono w szkole.

– To było bardziej abstrakcyjne?

• Całkowicie abstrakcyjne. To był świat, który przede wszystkim otwierał przestrzenie muzyczne, ale też znaczeniowe. Był tam tekst, bardzo piękny zresztą, oniryczny, senny, ale to nie on był najważniejszy. Schaeffer dawał oczywiście uwagi, które akceptowałem bądź nie. Później, po latach, podobnie pracowałem z Grzegorzewskim. On tylko mówił: „To tak, a to nie”, albo: „To w innym rytmie i bach”. Utwór miał dyscyplinę stricte muzyczną, był zapisany w formie partytury graficznej, nuty i grafiki Schaeffera. Stąd też potem zaczęto pisać o „muzyce graficznej”. To było z niczym nieporównywalne i nijak się miało do tego, z czym zetknąłem się w szkole teatralnej. W szkole stykałem się z czymś oczywistym, przewidywalnym. Generalnie rzecz biorąc, nudnym.

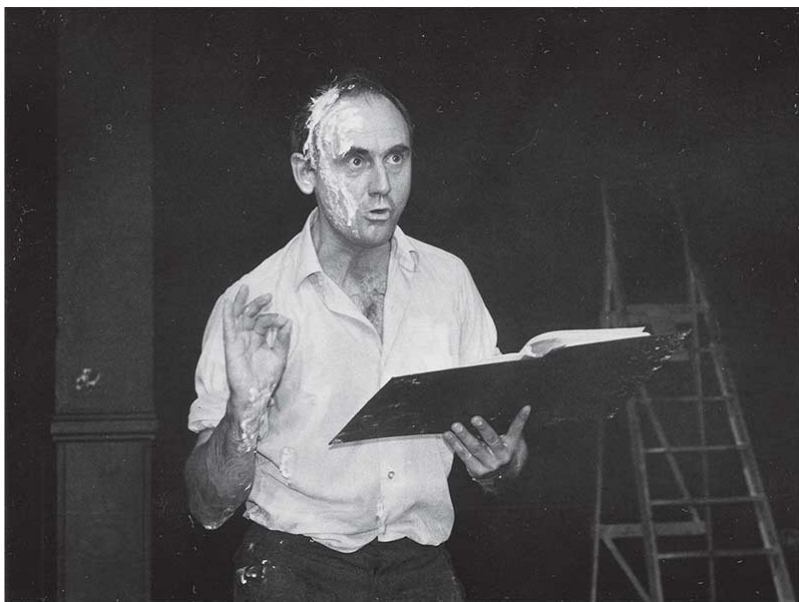
– A czy przeczuwałeś wtedy, że to jest przełom? Coś absolutnie kluczowego? Że to będzie miało tak niesamowity impakt na to, co robisz w aktorstwie?

• To od początku pachniało czymś, co mnie porwie. Czym się zajmę całkowicie i co wyprze niemal wszystko, co otrzymałem w szkole. To, co się wysuwa na plan pierwszy, to przede wszystkim łamanie porządku i smak ryzyka.

– Rozumiem, że te działania były oparte głównie na improwizacji?

• Trudno to nazwać improwizacją, bo myśmy jeszcze nie rozumieli tematu. Wszystko działo się jednocześnie. Schaeffer dawał zadania, a myśmy próbowali za sprawą asocjacji, abstrakcyjnych skojarzeń myślowych, impulsywnych reakcji im sprostać. Ja akurat miałem jako narzędzie tylko ciało, nie wolno mi było używać głosu. Tym bardziej podkreślało to konieczność wejścia w zupełnie inne rejony. To było przede wszystkim spotkanie z ekspresją, z czymś szalenie odważnym. Spotkanie z ryzykiem i smakiem nieznanego. Podczas gdy w szkole podawano „przepisy na”. I egzekwowano je bezwzględnie i siłowo. Nikt się nie pacytkował z moją, że tak powiem, indywidualnością.

Schaeffer był człowiekiem niezwykle inteligentnym, a więc bardzo dowcipnym. Nigdy się nie wściekał. Był bardzo otwarty na partnera i na wykonawców. Chociaż będąc muzykiem i wybitnym kompozytorem, był o wiele bardziej restrykcyjny wobec instrumentalistów. Myślę, że daliśmy mu pewien asumpt dojęcia się potem dramaturgią. Może to jest za daleko posunięte, ale pamiętam, że obchodził się z nami delikatnie, jak z jajkiem. To znaczy strasznie był jakiś uważny, nie dawał nam tego typu uwag co muzykom, nie dlatego, że myśmy nie mieli zapisu nutowego i nie graliśmy na instrumentach, tylko dla niego teatr też pozostawał zagadką.



– Zanurkowałeś w to totalnie i intensywnie się tym zająłeś. Twoi koledzy w tym czasie jeździli na zdjęcia próbne, grali w filmach. Czy myślisz, że to mogło zaważyć na tym, jak potoczyła się twoja droga zawodowa? Od razu na początku wdepnąłeś w coś, co jest na uboczu i poza utartą ścieżką. Myślisz, że to mogło mieć wpływ nie tylko na to, jaki rodzaj sztuki cię interesował, ale też jak ludzie cię postrzegali? Mówiąc skrótowo: od samego początku byłeś z boku.

• Byłem wtedy i bardzo długo pozostałem kimś kompletnie nieznanym. Awan-garda zawsze była istotną częścią zjawisk w sztuce, ale stanowiła tylko jakiś drobny jej procent. Choć w Polsce, w muzyce i teatrze tamtych lat, była czymś szalenie rozwiniętym. I dla mnie, chłopca z prowincji, to było ponętne. Przede wszystkim miałem poczucie, że ja siebie odkrywam, że to mnie formuje i wyci-ąga ze mnie coś, co drzemało bardzo głęboko. Że nagle przekraczam granicę i nie boję się. Mało tego: uwielbiam to! I z jakąś nieprawdopodobną siłą się temu od-dałem.

Sądzę, że dlatego Schaeffer mnie wybrał. W tym samym roku, w którym za-cząłem współpracę z MW2, w tym pierwszym roku naszej znajomości, napisał dla mnie *Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego*. O czym ja nie wiedziałem. Dowiedziałem się dopiero po jedenastu latach.

– Przepraszam, że ci przerwę...

• Tak?

– Nie masz wrażenia, że tu strasznie zaczęło wiać?

• No, piździ strasznie, owszem.

– Ale jak to jest możliwe?

• Oni to uruchamiają bez względu na sytuację.

– Ale to jest niepojęte przecież.

• No niepojęte, ale co zrobisz? Kontynuujmy...

Bardzo szybko się zorientowałem, że owszem, wyniosę pewne rzeczy ze szko-ły teatralnej, ale nie będę się nimi posługiwał ani w zawodzie, ani w życiu. I mogę powiedzieć to z całą odpowiedzialnością, że poza przyjemnością pobytu w szkole, pewną atrakcyjnością spotkań z ludźmi wszystko zawdzięczam tak na-prawdę Schaefferowi i zespołowi MW2. Przeskoczyłem na kompletnie inny tor, którego bym nigdy nie odkrył. I zacząłem po tym torze pędzić. I pędziłem, je-żdżąc z tym zespołem po świecie.

– To chyba też był ważny, nieporównywalny z niczym kolor, te zagraniczne wojaże?

- Pobyty w miastach, muzeach, teatrach, między ludźmi... Wyglądało to wszystko totalnie inaczej niż komunistyczna polska rzeczywistość. To była przede wszystkim szansa obcowania z zachodnią kulturą, z zachodnimi artystami. Ze światem. Poznawaliśmy wspaniałych ludzi. Na jednym z pierwszych wyjazdów byłem na próbie u Maurice'a Bédarta. No, gdzie w szkole teatralnej ja bym miał taką możliwość?

Kiedy próbowałem nakłonić szkołę, będąc już jej wykładowcą, żeby się zgodziła na cykl wykładów o wybitnej choreografce z Wuppertalu Pinie Bausch i sprowadzić z Niemiec osobę, która to wspaniale prowadziła, to szkoła nie była tym zainteresowana. A ile to lat potem było!

– Wszystko jasne.

- Poznawaliśmy takie osobowości jak Nadia Boulanger, a po jednym z pierwszych występów w Paryżu Ionesco pisał recenzję z TIS MW2, która potem stała się częścią *Kwartetu* w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. To była przygoda, która absolutnie zaważyła na charakterze moich zachowań zawodowych, a Schaeffer był i jest moim mistrzem. I nie spotkałem nikogo podobnego, mimo że miałem szczęście współpracować ze wspaniałymi reżyserami. Ale nigdy nie poczułem, że mam kontakt z jakimiś formacjami bezwzględnie wolnymi i otwartymi. A taki właśnie był Schaeffer. I co mogę skojarzyć najbardziej z tym, co od niego wyniosłem, to właśnie zmierzanie ku wolności. Wręcz obowiązek zerwania wszystkich form ubezwłasnowolnienia. Mówię oczywiście o artyście czy o kimś, kto chce być artystą.

– A czy w MW2 pomiędzy ludźmi były inne więzi niż w normalnym zespole teatralnym?

- Kompletnie inne. Ze względu na to, że to była mieszanka niesamowitych osobowości. To nie byli tylko aktorzy, ale głównie muzycy. Na przykład wybitny wiolonczelista Jerzy Klocek, który również realizował w utworze *Fragment dla dwóch aktorów i wiolonczelisty* zadania aktorskie. Byłem bardzo ciekaw, jak ten człowiek, nie aktor, działa. Pomijając fakt, że otwierał nieprawdopodobne zachowania z instrumentem. Jak działa wybitny pianista Marek Mietelski, jak działa Barbara Świątek, flectistka, która robiła rzeczy niesamowite. Na przykład napychała flet konfetti, które wylatywało w czasie jakiegoś vibrato, i tak dalej. To wszystko było niesłychane. Jakby muzyka przepełniona teatrem i teatr przepełniony muzyką. I właśnie z zetknięcia z tym światem wyniosłem przekonanie, sam nie będąc muzykiem, że tak naprawdę wszystko ma dyscyplinę. Każde dzia-

łanie ludzkie, a w sztuce i w teatrze to jest już absolutnie pewne, ma dyscyplinę muzyczną. I że wszystko się da, że tak powiem, ująć w partyturę.

Poczucie konieczności istnienia tej dyscypliny mnie nie opuszcza. Dlatego ja zawsze jestem w kolizji z lenistwem aktorów polskich. Ich nieuporządkowaniem, hucpą taką. Zwłaszcza teraz. To, co się dzieje w ostatnim czasie, kiedy młodzi, nie rozumiejąc zupełnie, czym jest na przykład improwizacja, często epatują tym słowem: „dzisiaj improwizujemy”.

– Organizując „zdarzenia”.

• Organizując „zdarzenia” i kompletnie się do nich nie przygotowując.

• • •

• W latach sześćdziesiątych graliśmy utwór Johna Cage’a *Theater Piece*, właśnie z MW2 w konsulacie amerykańskim w Krakowie. W zamkniętej enklawie konsulatu przy Stolarskiej. Tam było takie atrium, a w nim fontanna. I zaproszono tylko paru artystów. Między innymi Swinarskiego. Prowadził ten utwór Schaeffer. Był koordynatorem wedle Cage’a. Na stole leżała wielka partytura i Schaeffer co jakiś czas, w bardzo określonych momentach, pisał na maszynie zadania dla wykonawców i dawał nam je w kopertach. Ja otrzymałem między innymi: „wykąp się w fontannie”. Co zrobiłem natychmiast. A potem drugie zadanie: „zjedz roślinę”. W kącie tego atrium zobaczyłem mały krzaczek z pomarańczowymi jagodami i nie zastanawiając się, czy są trujące czy nie, kucnąłem i zacząłem je obgryzać, tak bezpośrednio, ustami.

Po chwili zobaczyłem dwa męskie buty i ktoś przy mnie kucnął. Podniosłem głowę, patrzę, a przy mnie kuca Konrad Swinarski. No, to jakby, wiesz, Duch Święty zstąpił z nieba. Więc oczywiście postanowiłem bez względu na to, czy mnie rozesra, czy się zatruję, iść na całość. I zjadłem całą roślinę. Przelknąłem, on wstał, poszedł, ja też poszedłem do innych akcji. To było tak silne emocjonalne przeżycie z tym Swinarskim, że ono się moim zdaniem później, latem, kiedy pojechalismy na festiwal Cervantino w Mexico City, odbiło.

Graliśmy tam między innymi TIS i *Kwartet*. Dwa koncerty. Oczywiście nie było honorarium, ale w nagrodę organizatorzy ufundowali nam tygodniowy pobyt w Acapulco. Jechalismy autobusem przez Sierra Madre czy tam coś. Długo to trwało. W każdym razie były tam różne pijane i szaleńcze wieczory. Podczas jednego wieczoru ktoś miał urodziny. I myśmy się bardzo konkretnie upili. Oni tam w tym hotelu wodę wylali z basenu, żebyśmy się nie potopili. Wszystko jedno. Ja

zaczęłam biegać po piętach, a za mną oczywiście Grabowski. I siedmiu roślących Meksykanów ze służby hotelowej, takich hotelowych boyów. Jak oni zaczęli mnie gonić, no to ja oczywiście uciekałam. Uciekałam i uciekałam coraz dalej. Po drodze były różne przygody w różnych pokojach, nieważne. W każdym razie wyładowałem w końcu na dachu tego hotelu. I oni mnie przyparli w kącie do muru. Ja myślę: no, teraz mnie albo pobiją, albo coś jeszcze innego. I skończy się zabawa. Nagle kątem oka zobaczyłem dziwne terrarium. A za szkłem cudowny kwiat. Przykryty wielką szklaną paterą. Podniosłem ją i po prostu wpięprzył ten kwiat. Na oczach tamtych, którzy się zaczęli w przerażeniu cofać. Mam świadka w osobie Mikołaja Grabowskiego. Zjadłem i odszedłem.

Na drugi dzień rano śniadanie. Oczywiście muzyczka, słońce, iguany jedzą melony razem z nami i tak dalej. I szef hotelu prosi nas, w sensie cały zespół. I mówi, że nigdy jeszcze nie gościł Polaków. Że był podekscytowany spotkaniem, ale że w całej historii jego hotelu nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś, cudzoziemiec, zjadł kwiat, który jest jakimś niewiarygodnie rzadkim okazem, który kwitnie raz w życiu albo wcale. I to byłem ja. Trzeba było zespołu z Polski, żeby coś takiego się stało. Nie było to przyjemne. Ale nie było też afery, bo on miał niesamowite poczucie humoru chyba. Ten szef.

– A skakanie po samochodach?

- To też było w Meksyku. Wracaliśmy z jednej z wielu balang o świcie. Była piąta czy tam szósta rano. Pamiętam kolumnę z takim złotym aniołem chyba, wielką, tam, w Mexico City. To było na ogromnym rondzie ze straszłą ilością samochodów osobowych, jeden przy drugim. Bo już się dzień zaczynał i ludzie jechali do pracy. No i ja po prostu wskoczyłem i zacząłem biegać po maskach tych samochodów i też dachach. Tak przeskakując z samochodu na samochód, a one były w ruchu. Kierowcy odkręcali okna, pukali się w głowę i krzyczeli: „Marihuana! Marihuana!”.

– Aha.

- Mimo że akurat wtedy to nie było prawdą. Że marihuana.

– A jak trafiliście do klubu w Bejrucie? Czy to też było z MW2?

- Oczywiście. W klubie byliśmy z MW2. Wtedy już doszedł do nas Andrzej Kierc. Potem doszedł jeszcze Mikołaj Grabowski, a na samym końcu Andrzej Grabowski. Mieszkaliśmy w małym uroczym hoteliku Prince Orient.

– W Bejrucie?

• Tak. Blisko Zatoki Świętego Jerzego. To było tuż przed bombardowaniami Bejrutu. No i Andrzej Kierc którejś kolacyjki mówi do nas: „Słuchajcie. Na samej górze, na ósmym piętrze...”, bo hotel miał siedem pięter, „na ósmym piętrze jest wspaniały klub, w którym jest pusto, przyjemnie, siedzi tylko starsza pani przy telewizorze. Jest lodówka, coca-cola, orzeszki i tam cudowny spędziłem czas. Ona nie mówi w żadnym języku poza swoim, ale było uroczco”.

Ja mówię: „No to idziemy”. Postanowiliśmy, że po wieczornym koncercie odwiedzimy klub. Jak mamy klub w hotelu, to dlaczego nie. Jedziemy wszyscy windą, prawda, no i wchodzimy do tego klubu. Rzeczywiście siedzi w małym pomieszczeniu pani starsza przed telewizorem, no i obok jest duża salka, okrągły duży stół, no i jakieś takie osiem osób. No więc weszliśmy tam, przywitaliśmy się. Oni odłożyli sztucce i patrzą na nas. Wodzą oczami za nami i któryś z nas, może to byłem ja, mówi: „Słuchajcie. To mi nie wygląda na klub. My chyba wbiłiśmy się do kogoś do domu na kolację”. Ale robimy dobrą minę, uśmiechamy się, oni się do nas też uśmiechają. Takie obrazy wisiały naokoło w tym pokoju. Za tymi krzesłami chodziliśmy, oglądaliśmy te obrazy, a oni cały czas za nami się oglądali. Słowa nie powiedzieli. W końcu stwierdziliśmy, że to jednak jest po prostu mieszkanie prywatne, dość rozległe, z bardzo liczną rodziną. No i tak w czasie ich kolacji przeszliśmy przez ten pokój, po czym zjechali windą do siebie. Oczywiście śmiechu było co niemiara. Niemniej Andrzej Kierc bywał tam, u tej starszej pani.

– Regularnie?

• Na pewno kilkakrotnie.

• • •

• Była zima stulecia w Polsce, graliśmy z MW2 w Białymstoku. Jedliśmy kolacyjkę, nie mieliśmy za dużo pieniędzy, no ale oczywiście jakieś tam toasty, wódeczki. To było w restauracji Cristal. Hotel Cristal w Białymstoku istnieje do dziś, ale wtedy ta restauracja była absolutnie reprezentatywna. I był tam dancing. Szybko zabrakło nam pieniędzy. Nie ma pieniędzy, nie ma na toasty. No i Schaeffer mówi: „Nie wiecie, co zrobić?”. Ja mówię: „Nie wiemy”. Na to Schaeffer: „To ja się ubiorę po amerykańsku”. Ale że co to znaczy? No więc zdjął marynarkę, przekręcił ją na drugą stronę, podszewką na wierzch, taką w paski. Wziął kapelusz i mówi: „Potrzebuję tylko pięćdziesięciu złotych na przynętę”. Siadł, za-

blokował się tak w głównym wejściu, rozkraczony, z kapeluszem, z tą pięćdziesiątką w środku, kiwał się i coś tam mrucał po swojemu. No i ludzie, którzy akurat wchodzili albo wychodzili z tego dancingu, wrzucali mu. Po kwadransie był pełen kapelusz pieniędzy. I to niemałych. Bawiliśmy się do rana.

• • •

• To był festiwal w Szirazie, na który nie doleciał rzeczony Konrad Swinarski, bo zginął rok wcześniej w katastrofie samolotu. Myśmy tymi samymi liniami lecieli rok później. Ten festiwal organizowała Farah Diba (Pahlawi), żona szacha Iranu. To było dwa albo trzy lata przed końcem ich panowania. I Farah Diba osobiście wybrała się na koncert naszego zespołu. W związku z tym tuż przed podniecenie, ekscytacja. Cała publiczność została przeproszona i przeniesiona na zupełnie inny koncert, a ona z sześćdziesięcioosobowym dworem zasiadła na tronie naprzeciwko nas.

– I graliście specjalnie dla niej?

• Tak. Graliśmy wtedy *Theater Piece Cage'a* i specjalnie dedykowany szachowi Rezie Pahlawiemu utwór *Iranian Set*. To napisał Bogusław Schaeffer. Cały zespół był przykryty wielkim na całą scenę prześcieradłem, białą płachtą. Tylko na głowy były wycięte dziury. I muzycy pod spodem grali, flecistka, pianiści. Tancerka tańczyła pod tą płachtą, tylko jej głowa wystawała, a my, aktorzy, recytowaliśmy Hafiza, który jest właśnie z Szirazu. Tam jest jego grób. Mówiliśmy jego strofy: „Jak piękny jesteś, o Sziraz”. Po staropersku. Trenowała nas w tym uroczą Persjanka... Iranka? Nie wiem, w każdym razie była cudowna. A potem było spotkanie z szachinią... yyy... panią szachową? Szalenie elegancką i piękną kobietą. Powiedziała, że to był najbardziej awangardowy wieczór w jej życiu.

– A w Persji też biegałeś? To tam cię dzikie psy napadły?

• Tak. To było w Persepolis. Byłem tak podniecony tym, jak tam jest pięknie, że nie mogłem i nie chciałem wyjść. Już zamykali teren. On jest bardzo rozległy. Więc zacząłem biegać jak wariat, żeby jak najwięcej ogarnąć. Był zachód słońca i zobaczyłem grobowce, niesamowite, w skale wysoko wykute, i do jednego z nich wszedłem. I nagle zobaczyłem dookoła siebie niezliczoną ilość psich głów. Okrążyły mnie, warcząc, pokazując zęby. A ja byłem w środku.

To była wataha bezdomnych dzikich psów. O tej porze już nikogo nie było, tylko ja i te psy. Nie były duże. Takie żółte, pustynne, ale bardzo groźne. To była

chwila niesamowitego napięcia. Najbliżej podszedł przewodnik stada. Był bardzo blisko. Podszedł, wachał, wachał i odszedł. I cała wataha z jazgotem odbiegła za nim.

• • •

• Kiedy dostaliśmy zaproszenie do Szirazu, do Persji, a był rok siedemdziesiąty szósty, warunkiem naszej władzy komunistycznej, żebyśmy mogli tam pojechać, było to, że zagramy też w Sajuzie Armeńskich Kompozytorów w Erywaniu, czyli w Związku Kompozytorów Armeńskich.

To było wielkie przeżycie. W ogromnym gmachu siedziby tego związku graliśmy koncert. Przyszły straszne tłumy, które ledwo się pomieściły w kilku salach. Ormianie byli doskonale zorientowani w muzyce, kulturze zachodniej i złąknieni jej strasznie, bo byli wtedy republiką sowiecką. Ja grałem tam *Scenariusz*... I pamiętam taką sytuację, że nagle kilku facetów mnie wzięło na ręce i zaczęło wynosić. Więc ja krzyknąłem, żeby jeszcze wiolonczelę zabrali, bo nie wiedziałem, o co chodzi, czy ja jestem aresztowany czy co. No nie było, wiesz, transmisji, teledymów, tak jak gdy grałem to w Akademii Sztuk Pięknych w Mexico City w takiej niesamowitej auli...

– Ale jesteśmy teraz w Erywaniu i oni cię wynoszą.

• I oni mnie biorą i wynoszą. A raczej przenoszą. Do innej sali! I każą mi tam grać dalej, bo okazało się, że ludzie się darli, że nie widzą, nie słyszą i że też chcą zobaczyć kawałek. I tak mnie nosili z miejsca na miejsce, żeby każdy coś zobaczył. To było doświadczenie dla mnie niezwykłe i nieprawdopodobne.

• • •

Raz grał tato „Scenariusz”... w Zakopanem. W gościnie u Hasióra. Władysława, słynnego rzeźbiarza.

Zabrał mnie z sobą. Spektakl odbywał się w galerii Hasióra, która była też jego domem. Wisiały tam krwawe szmaty, jakieś chorągwie, stały żelazne konstrukcje, wózki dziecięce pełne piasku i palących się świeczek, ukrzyżowane lalki. Pachniało dymem i oscypkami i jakieś chóry wyły z taśmy. Tata grał swoje wśród tego wszystkiego.

Po spektaklu szął. Hasiór zjął jeden obraz, uklękł przed tatą i wręczył mu. Był to słynny „Chleb polski”. Taki obraz, rzeźba, instalacja. I potem ten chleb wi-

siał u nas latami w domu i straszyl wszystkich wbitym nozem i krwią. Aż w końcu zjadły go korniki albo jakieś chlebojady i pani Ludwika, która pomagała nam ogarniać dom, pacnęła go otwartą dłonią i Hasiór się rozsypał na podłogę, a Ludwika z ulgą zassała go odkurzaczem.

A wtedy po spektaklu, gdy już wyszli widzowie, Hasiór pościelił mi łóżko za krwawo-złotą zasłoną. Razem z tatą pili góralskie herbaty i gadali o sztuce do rana, jak artysta z artystą. Widziałam ich cienie na zasłonie. Ale poszłam siku i odkryłam wielkie szklane akwaria pełne rączek, nóżek i główek niemowlaków. Oczywiście plastikowych. To chyba była spiżarnia Hasiórowych pomysłów.

• • •

– Czy to Schaeffer i MW2 w największym stopniu zdecydowali o odrębności twojego aktorstwa?

• Absolutnie. Burząca moc awangardy była kluczowa.

– To cię nauczyło braku strachu i ryzyka?

• Tak!

– I to jest to, co ludzi najbardziej do ciebie przyciąga. Czego zazdroszą ci koleżanki i koledzy, niektórzy bardzo słynni zresztą, mówiąc z pobłażliwością, że twoje aktorstwo jest takie „formalne”. A moim zdaniem to jest nieosiągalna dla większości artystów, ale też ludzi w ogóle, wewnętrzna wolność.

• Właśnie Schaeffer umiał to spowodować i sprowokować. On nigdy nie próbował nas, jak by to powiedzieć, temperować jak ołówek. Nigdy nam nie nadawał formy. To była perfekcyjnie przygotowana improwizacja. Tematy były uporządkowane i na te tematy improwizowaliśmy. Do tego stopnia, że teraz przecież, dwa lata temu, graliśmy jako MW2 na Warszawskiej Jesieni po kilkudziesięciu latach i to było wydarzenie najwyższej rangi. Świeże i perfekcyjne. Zespół prezentował formę, jakby w ogóle nie minęły lata. I nie chodzi tu o sprawność fizyczną, bo rzeczywiście nie jesteśmy już najmłodszy, część nawet poumierała, ale o ducha. Wolność ma cechę nieśmiertelności. Można ją oczywiście złamać, co na przykład wiele systemów politycznych doskonale rozumie. I władza, zwłaszcza autorytarna, boi się artystów i próbuje ich łamać. Bo oni są niewygodni. I niebezpieczni.

W szkole teatralnej właściwie cały czas mi towarzyszył lęk. Rozróżniałem na przykład, że biorę udział w idiotycznych, kompromitujących zajęciach. Nie umia-

łem tego nazwać, ale takimi zajęciami były Elementarne zadania aktorskie. I to było poniżające, ale nie dyskutowałem z tym, bo za tym stały tak zwane autorytety zawodowe, cała ta wierchuszka krakowskiego porządku. Tylko że w szkole zawsze towarzyszy studentowi lęk. Żeby nie być wyrzuconym, trzeba sprostać wymaganiom.

– Wiem coś o tym. Trzeba się wpasować w formy i foremki.

• W kopię pedagoga, którego najczęściej w ogóle nie interesuje indywidualność i odrębność studenta.

– Nie uważasz, że w sztuce można zrobić coś naprawdę niezwykłego tylko wtedy, kiedy człowiek pozbędzie się tego lęku?

• Absolutnie tak.

– Jak pogodzić te dwa bieguny, że z jednej strony należy być perfekcyjnie przygotowanym, sprawnym, ciało to instrument, żadnego lenistwa, barachła, które udaje tak zwany spontan, a z drugiej wolność i ryzyko. Gdzie jest ta granica czy ten punkt przecięcia, w którym należy przygotowywać się, ile się da, a jak rozpoznać moment, w którym trzeba odpuścić?

• To zależy od wielu czynników. Czasami jest tak, że wiesz, że jest za mało czasu. Że trening, który ci otwiera receptory i podpowiada formy, nie trwa wystarczająco długo. I wtedy należy uciąć ten proces i uznać, że to, co mam, jest wystarczające. I ta decyzja jest trampoliną do późniejszej wolności.

Nie zawsze jestem dostatecznie przygotowany, nie zawsze mam *expedite* przygotowany magazyn, z którego będę czerpał. Nie ma sytuacji idealnych. I ta świadomość nie może odbierać ci siły. Tego też nauczyłem się dzięki Schaefferowi. Dość szybko.

Na jednym z pierwszych spotkań podszedł do mnie i powiedział: „Dlaczego zachowujesz się jak idiota?”. Ja mówię: „Ale o co chodzi?”. „Jeżeli prowadzisz rozmowę, która ci nie odpowiada, która cię męczy, frustruje, natychmiast ją kończ pod byle powodem. Że papież zadzwonił, że przypomniałeś sobie o pogrzebie ciotki, cokolwiek. Tnij, bo złości i stresy, które wytwarza konieczność przedłużania tej rozmowy, są tak wielkie, że się nigdy z tego nie wydostaniesz”. Ja na to: „Ale o czym ty mówisz?”. Stałem na korytarzu między szkołą teatralną a akademią. „Rozmawiałeś z kimś. Nie znam faceta, ale wiem, że to jest jakiś profesor czy dziekan. I widziałem, jak kiwasz głową, jak jesteś spięty, jak ci ręce sinieją,

ale stoisz tam cały czas i do końca jesteś. Zapamiętaj sobie na całe życie, że tego ci nie wolno robić”.

I dość szybko zrobiłem eksperyment. Z jakimś tam profesorem superważnym, który coś mi wciskał. Czułem, że mi wbija kliny, które mnie zablokują na miesiąc. I natychmiast spojrzałem na zegarek, przypomniałem sobie coś, skłamałem, poleciałem. Ulga, jaką poczułem, była niesamowita.

– A jak pracujesz z kretynem reżyserem? Ze złym partnerem? Martwym aktorem?

• A ty? Jak muzyk niewystarczająco dobrze gra? Menedżer daje dupy? A ty mimo wszystko robisz to, no bo chcesz to zrobić. Bo nie żyjesz w świecie idealnym. Po prostu bierzesz to, co jest, i przetwarzasz. Ja też nigdy nie deprecjonuję tego. Nigdy. Nie wolno deprecjonować. Bierzesz patafiana albo lenia pod uwagę. On jest, jaki jest, a ty i tak musisz robić swoje. To znaczy musisz wytworzyć w sobie systemy obronne, żeby wyjść z tego. Czasem nawet zwycięsko. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Oczywiście wspaniale jest, jeśli masz partnera i wspólnie dochodzicie do czegoś. I takie sytuacje też istnieją. Ale niezmiernie rzadko. Tak naprawdę nie ma sytuacji idealnych.

– Ale często kryzysy, porażki przesuwają nas w rejony fantastyczne, do których byśmy nigdy nie trafili. Teraz świetnie sobie w nich radzisz, ale pamiętam twoje udręki, nieprzespane noce, masakry przeżyć. Twój spokój obserwuję może od dwudziestu lat, nie więcej. Chciałabym się wcześniej tego nauczyć. Bo to jest wyczerpujące w chuj.

• To są decyzje. Trzeba je podejmować w sposób prosty i zdecydowany. Jest cezura: więcej nie mam czasu. Albo: tu się z facetem nie dogadam.

– Albo chcę to zrobić mimo wszystko.

• I robię. Nie użalając się. I patrzę, co z tego wynika. I powiem teraz coś infantrynego: jak się myśli w tym sensie pozytywnie, to rozwiązania najzwyczajniej w świecie przychodzą do człowieka. I działają.

• • •

Jako bardzo młoda dziewczyna śpiewałam często po kościołach na ślubach. Głównie „Ave Maria” Schuberta. Mój dziewczycy sopran wywoływał wzruszenie

i był uznawany za dobrą wróżbę. Tak jakby te kilka minut muzyki mogło być talizmanem i zabezpieczyć przyszłość nowożeńców.

Zdarzyło się, że śpiewałam na ślubie kuzynki w małym beskidzkim kościółku. Patrzyliśmy z wysokiego chóru razem z akompaniującym mi organistą, jak w dole ciotki, babki, a nawet niektórzy wujkowie smarkają ze wzruszenia w chusteczki. Zazwyczaj już przy „gratia plena”, a przy „benedicta” to już na pewno fala szloch i trzęsących się ramion. Ale nie zdążyliśmy tym razem dotrzeć do drugiej zwrotki, bo ksiądz płaskim „módlmy się” przerwał nam w połowie.

Na to zerwał się mój tato i krzyknął: „Nie skończyła jeszcze!”. Więc z organistą ciągnęliśmy dalej. Ksiądz spojrzał ostentacyjnie na zegarek, przewrócił oczami i ponownie napluł w sitko mikrofonu głośnym: „Módlmy się”. Na co znowu tato, groźniej: „Jeszcze nie skończyła!”. A my z organistą spokojnie do „ventris tui” i końcowe akordy pach, pach. Koniec. Zwycięstwo. Echo. I cisza taka, że słychać mrugnięcia powiek.

• • •

– Zawsze podkreślałeś, że ciało to najważniejszy instrument aktora. Pamiętam to jeszcze z zajęć z tobą w szkole. Mówiłeś: „Ciało nigdy nie kłamie”. Słowo jest na samym końcu tego, co się wydarza w aktorstwie. Najważniejsza jest emocja, potem ciało, a dopiero potem słowo. Jak dbasz o ciało? Jaka jest twoja rutyna? Mając lat siedemdziesiąt osiem, masz ciało absolutnie sprawne. Jesteś w stanie zrobić dziewięćdziesiąt procent rzeczy, które chcesz zrobić.

- Bardzo długie lata żyłem niehigienicznie w tym także sensie, że w ogóle nie ćwiczyłem, nie trenowałem. Moim treningiem była praca. Intensywna, na różnych frontach, w różnych tematach i sytuacjach. Teraz, kiedy z wiekiem ciało sygnalizuje ograniczenia, muszę o nie zadbać.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się zaczęło, ale zbierając doświadczenia i obserwując różnego rodzaju działania, nie tylko teatralne, miałem poczucie, że bardziej mnie przekonuje ludzkie ciało niż ludzki język. Dość szybko się zorientowałem, że ciało, które jest związane z tą częścią antynomicznego złożenia człowieka, czyli kultury z naturą, dwóch przeciwieństw, że ciało jest po stronie natury. Ze swoją fizjologią, krążeniem krwi, biciem serca i tak dalej. Ono po prostu jest naturą. Język z kolei i mowa są po stronie kultury, bo ona je wykształciła. Ale kultura jest systemem zakłamania, wytwarza całe konglomeraty kłamstw. Słowo nigdy nie mówi prawdy. A ciało...

– ...nie kłamię.

• Oczywiście pod jednym warunkiem: jeśli nie jest spięte. Jeśli jest rozluźnione, a właściciel ciała ma poczucie wolności, radości z tego, co robi.

– Ale czy żeby mieć ciało, które jest sprawnym instrumentem, to ono musi być doskonale? Czy może być na przykład grube?

• Ależ może być grube! Może być nieproporcjonalne, może być dowolne. Wszystkie te kanoniczne piękna są śmiertelnie nudne. Przecież do historii nie przechodzą doskonałe piękności, tylko charakterne typy, niezwykle wyraziste. Ciało trzeba mieć po prostu dyspozycyjne.

– Uff... To dobrze. Czy możesz teraz tak bardzo technicznie opowiedzieć, jak dbasz o formę? Wstajesz rano i...

• Zaczęło się to od kontuzji mojego kręgosłupa, dość długotrwałej. Przy wychodzeniu z niej pomogła mi metoda Moshego Feldenkraisa. Równolegle spotkałem się w Ukrainie...

– ...z Kozincewem?

• Kuzniecowem. A konkretnie z implikATOREM Kuzniecowa. To jest taka domowa akupresura.

– Ale tak bardziej konkretnie opowiadaj. Krok po kroku. Wstaję rano i...

• Wstaję rano i...

– Co robię?

• Robię siusiu.

– Kupę też?

• Nie. Jeszcze nie.

– Dopiero po implikatorze?

• Po implikatorze robię kupę.

– Dobrze. Jeszcze raz. Wstaję rano i...

• Siusiu.

– Siusiu.

• Po czym zrzucam koldrę, poduszki. Na równym, twardym materacu, dawniej robiłem to na podłodze, ale teraz mi się już nie chce, nakłuwam się. Czyli mam pod ręką implikator. To jest mała mata z kolcami...

– Kozincewa?

• Kuzniecowa. Kozincew to był reżyser rosyjski. Pięknego *Hamleta* nakręcił z Wertyńską w roli Ofelii.

Kładę Kuzniecowa w trzech pozycjach. Ach, nie! Jeszcze wcześniej robię niezrozumiałe dla mnie zupełnie ćwiczenia, które przejąłem od Teresy. Rozgrzewam dłonie, masuję końcówki uszu, potem budzę energię, czyli przepędzam z czoła, z głowy złe jakieś tam te. Masuję kośćmi kciuków oczodoły, potem szyję masuję. To są takie ruchy dłońmi po szyi. Oraz masuję dość długo okrężnicę. Teraz doszedłem do tego, że łączę ten masaż rozbudzający ciało z implikatorem Kuzniecowa. Czyli leżę na kolcach i jednocześnie się masuję. Bo to są dwa odrębne ćwiczenia.

– Wszystko jasne.

• I to mi bardzo dobrze robi. I jeszcze na dodatek rozluźnianie bioder: leżę jak żaba, nogi zgięte, kolana na zewnątrz. Po czym wstaję i jako człowiek niewierzący mówię dwa razy *Zdrowaś Mario*. Ale tak do siebie, bez intencji, tyle że klęcząc. Zawsze muszę patrzeć w niebo, kiedy mówię te dwie zdrowaśki.

Po czym kładę implikator na materacu, albo on tam już leży po mnie, jeszcze ciepły, i wyciskam na nim dłonie. Potem kładę go na dywaniku przy łóżku, to nie jest żaden włochacz, raczej taki jakby ręcznik, i staję pełnymi stopami. Niewiele osób może to wytrzymać. Pełnymi stopami, od pięt zaczynając i stojąc na implikatorze, rozluźniam mięśnie barków. Od szyi.

Mimo że mi nasz lekarz tradycyjnej medycyny chińskiej nie zezwala na to. Mówi, że to jest za gwałtowne rano. Ale ja to robię i mi służy. Potem ruchy głową w przód, w tył, na boki. Wydechając za gałkami ocznymi: fuuuu... Do momentu, kiedy zaczyna pojawiać się ból. Krótko mówiąc, zajmuję się najbardziej zrujnowaną u współczesnego człowieka partią kręgosłupa.

– Czyli szyją.

- Po prostu zabezpieczam te mięśnie, żeby mi przez cały dzień służyły. To jest pierwszy punkt. W międzyczasie piję gorące: albo imbir, albo czystą wodę przygotowaną.

– A nie robisz już wirów tybetańskich?

- Wirów tybetańskich nie robię już od dawna. Zamiast tego robię ćwiczenie, które przywiozłem z klasztoru Shaolin i które mi tam indywidualnie polecił mój szifu – Ian, przez „i”. Jak Jan, tylko przez „i”. To się nazywa „szin tian”, czyli Siedem Stóp Gwiazdnych.

On mi je polecił specjalnie. Tylko żeby nie wykonywać ich za szybko. I nad tym pracuję. Niektóre elementy ciągle robię za szybko. Bo często nie mam czasu. To jest bardzo piękny układ, który wielu ludziom kojarzy się z tai-chi. Ale ja tak naprawdę nie wiem, co to jest. Nie badam tego, bo się na tym nie znam. Robię, bo mi młody mnich kazał. I to jest, jak amen w pacierzu, przypisane do rytuału. Następnie biorę matę, kładę ją na podłodze i wykonuję zestaw jeszcze innych ćwiczeń. Nie jest on najwygodniejszy, ale sprzyja mojej partii lędźwiowej kręgosłupa.

– To są twoje ćwiczenia czy pana Moshego?

- Te są od Moshego. Moshego Feldenkraisa. Wykonuję je na podłodze, wygodnie, nie ekspansywnie. One rozciągają miednicę i kręgosłup. To są ćwiczenia, których nie można wykonywać gwałtownie. W ogóle Feldenkraisa robi się bardzo wolno. Ja to robię ciągle za szybko. Ale nie na tyle szybko, żeby to nic nie było warte. To jest seria dwunastu punktów ćwiczebnych.

Ostatnio doszła jeszcze nowa sprawa. Od dawna wiedziałem, że wszystkie stesy i napięcia u mnie kumulują się w łydkach. Mój masażysta polecił mi roler i na tym rolerze zaiwaniem łydki i podudzia. Jednej i drugiej nogi. I jeszcze bezwzględnie mięsień gruszkowy. To jest okropnie bolesne, ale co zrobić.

Po tym wszystkim wstaję, schylam się i klasycznie rozluźniam kręgosłup od szyi, głową w dół. Tak sobie chwilę powiszę, i już. Jestem gotowy. To trwa dwadzieścia minut.

– Cały rytuał?

- Cały rytuał. Żeby to było naprawdę w rytmie takim, jak ma być, to powinno trwać pół godziny. No ale na ogół nie mam czasu, więc zaoszczędzam dziesięć minut.

– I robisz to codziennie?

• Codziennie. Bez wyjątku. I bez względu na to, gdzie jestem. Chyba że mieszkam w jakiejś klitce, która mi na to nie pozwala. Tego nie trzeba robić rano. Ale ja robię, bo jak nie zrobię rano, to potem już nie zrobię wcale.

– Dbasz też o linię. Jak za dużo zjesz i masz brzuch trochę, czego nie lubisz, a zbliża się premiera i rozbierane sceny, to jak zrzucasz ten brzuch? To jest ciągle tak proste, jak było kiedyś?

• Jest coraz trudniejsze. Dawniej to było czasami półtora dnia, i już.

– Teraz jest to bardziej skomplikowane?

• Nie, tylko wymaga powstrzymania się. Od smakołyków. A mi się już nie chce powstrzymywać. No więc mam taki pewien brzuszek. Ale wiesz, ludzie go nie zauważają. Mam swoje sposoby. Kiedy się odwracam, to go wciągam, prawda. Mogę ramiona podnieść i tak dalej. No ale po prostu nie cierpię otyłości u siebie.

– To nie jest otyłość, tylko łakomstwo.

• Znaczy no, brzucha takiego. Chociaż niektórzy twierdzą, że mój brzuch jest bardzo sexy. Ale ja nie mam tego poczucia.

• • •

• Mam jeszcze inne, specjalne rytuały przed *Scenariuszem*...

– A ile razy zagrałeś *Scenariusz*...?

• Dwa tysiące razy to na pewno. Ale chyba więcej.

– I zawsze robisz przed nim te rytuały?

• Zawsze. Takie ustne ćwiczenie. Dawniej robiłem przysiady, teraz one nie są już takie oczywiste. Mogą się źle skończyć. Energiczne przysiady.

– Ale że kleks czy raczej dysk?

• Nie, kleks nie. Tylko że mogę się już nie podnieść na przykład. Albo mi coś strzeli. Nogi też są słabsze. Ale zawsze robię takie uderzenia w trzy punkty. Na

oślep. Kilka razy. Dłonią. Najpierw wybieram te punkty i potem muszę w nie trafić. Bardzo szybko.

– Aha.

• Na przykład: lampa, kwiatki, telewizor. Fu, fu, fu.

– Lampa, kwiatki, telewizor.

• Na przykład jak tu siedzimy. Spróbuj.

– Jan, krzesło, łazienka. Fu, fu, fu.

• Fu, fu, fu. Dokładnie tak.

– Czy ty się kiedykolwiek czujesz staro?

• Kiedy biegnę... no, to nie biegnę tak jak dawniej. Albo patrzę w lustro i napa-
wnie to obrzydzeniem i natychmiast chcę to ukryć, że mam takie kalafiory
między łokciem a ramieniem. Wiszą takie.

– Pelikany?

• Pelikany. Tak. I to jest straszne, obrzydliwe. I jeszcze popękane żyłki wokół
kolan.

– A psychicznie? Czujesz się czasem staro?

• Nigdy. W głowie w ogóle się nie czuję staro, ale jestem otwarty na starość.
Jestem jej ciekawy. Czeka. Na razie nic nowego nie przynosi. Obiecuje wiele
nowości, ale na obietnicach się kończy. Gdy wreszcie przyjdzie, będę się starał
jej sprostać. Na razie nakurwiam zen i trwam we względnej umysłowej sprawno-
ści, choć ciało coraz częściej nie nadąża. A przynajmniej kompromituje się na
długich dystansach. Ale ja zawsze wolałem sprinty. Na pewno się wieloma rze-
czami nie przejmuję, jak robiłem to dawniej. Łatwiej jest mi wiele rzeczy zrozu-
mieć.

– No właśnie. Ja się ciągle tak strasznie rzucam. Czasem wychodzę z siebie,
staję obok i widzę, jak tak się rzucam. To jest żałosne.

• No dość.

– To przechodzi na starość?

• Masz większy spokój. Ale i tak zawsze potrzebne są perspektywa, czas. Ostatnio miałem w akademii muzycznej warsztaty. Ci studenci za mną nie nadążali. Nie mieli refleksu. Mówili, że ja jestem cyborg czy tam coś. Ale potem zobaczyłem na nagraniu te młode ciała, te młode umysły i siebie obok. Jak ćwiczę. Jak im pokazuję. I że to jednak jest straszne. Żałosne.

– Co ty robisz?

• Co ja robię. Że jestem po prostu stary, obrzydliwy. Że właśnie się rzucam ja-koś. Skaczę, za szybko mówię, czegoś wymagam. I już bym sobie chciał dać spokój. Nigdy na siebie nie mogłem patrzeć, obojętnie, czy byłem młody, czy stary. Ale teraz to myślałem, że chyba umrę. Że znowu zawał.

Albo jak grałem ostatni wariant Gonzala w Starym Teatrze, ten geriatryczny.

– Mój ukochany. Z chlebakiem i bez zębów.

• I zobaczyłem zapowiedź premiery, bardzo duże zdjęcie kolorowe w codziennej prasie. Ja leżę na młodej piersi pięknego chłopca. I nagle zobaczyłem tę różnicę. Siedemdziesiąt lat przeciwko piętnastu. I to był dla mnie szok. Ja wiem, że jestem stary, wiem, jak wyglądam, ale ta ekstremalność zestawienia bezwzględnej, bezczelnej i pięknej młodości z jakąś nie do zniesienia purchawą obrzydliwą starością była upokarzająca.

– Ostatnio miałam ciekawą rozmowę z moją znajomą. Ona z troską mówi, że się trochę martwi, co ja teraz zrobię, w sensie, w sztuce. „Bo wiesz, Maria, ty nie masz już tej młodości. A to jest strasznie ważne w szołbizie jednak”. Że może by troszkę zadbać jakoś, prawda, o stroje. I o twarz koniecznie.

• Ale że co?

– No wiesz, można by zrobić parę rzeczy. Mogłabym wyglądać może ładniej, nie wiem, świetliciej? Zabolalo mnie to. Ja chcę być jak Iggy Pop. Kojarzysz?

• Nie.

– To jest taki super muzyk punkowy. Przyjaciel Bowiego ciągle aktywny koncertowo. I on zawsze występuje z gołą klatą, tylko w dzinsach. Grał też wielokrotnie u Jarmuscha.

- To na pewno go kojarzę.

– I on całe życie robi to samo. Biega po scenie, wydziera się i ma niesamowitą energię. Teraz jest wspaniale pomarszczony i dalej robi swoje. Tak właśnie bym chciała. Być jak Iggy Pop. Ewentualnie jak Vivienne Westwood. Niebezpieczna, stara i piękna. Wiesz, ja w jakimś sensie tęsknię za starością. Mam nadzieję, że starość przyniesie wytchnienie w tym ciągłym moim rzucaniu się. W ekstremalnym przeżywaniu. I w walce. Że starość da mi ukojenie.

- Ja jeszcze tego nie doznaję. Tak myślę. Bo podejmuję się przecież wielu rzeczy, których się nie powinienem podejmować.

– Zgadzam się.

- Mówię o ilości, ale też jakości. Ale w jakimś sensie czuję się coraz lepiej, bo starzenie się dostarcza mi wyborów nie tak spazmatycznych. Mogę coś postanowić albo spojrzeć na coś bez takiej ekstremalnej emotywności.

– A masz poczucie, że już nic nie musisz?

- Nie muszę. Ale chcę. Ciągłe chcę jeszcze przypierdolić. I czasem mi się udaje.

– Czy dlatego tak ci zależy, żebyśmy razem zagrali?

- Także dlatego.

– Tak myślałam. Że to o to w tym chodzi trochę.

- Znaczący chcę się spotkać i w ogóle. Ale fajnie byłoby jeszcze przypierdolić. Razem. Okej?

– Okej.

• • •

– Czy zgadzasz się, że jak umrzesz, będę grać twój *Scenariusz...*? Uważam, że to może być dobre. Nawet bardzo.

- Ale jak umrę?

– Jak umrzesz. Chociaż mogę oczywiście zacząć już teraz.

- Wielokrotnie mnie pytano, dlaczego Błażej nie jest sukcesorem.

– Bo to powinnam być ja. To jest utwór muzyczny. Edek wymyślił to przejęcie już dawno temu. Uważa, że to będzie wspaniałe, jeśli to ja go po tobie przejmę. W takiej samej formie, w jakiej ty go grasz.

- Pierwszy raz w ogóle na ten temat rozmawiamy.

– Tak.

- Nigdyśmy o tym nie mówili.

– Nigdy. Ale może ty wcale tego nie chcesz?

- Chcę. Absolutnie. To jest największa radość dla mnie. Tylko jestem zaskoczony.

– *Scenariusz...* wyznaczał rytmy naszego życia. Rodzinnego, artystycznego. To jest coś więcej niż spektakl, dramat, partytura. Nie chciałabym, żeby umarł razem z tobą. Poza tym wydaje mi się, że jestem do tego predestynowana z wielu powodów.

- Jesteś. Też tak uważam. W teatrze japońskim sukcesja na tym polega, że ojciec umiera, a syn przejmuje rolę. Mówię oczywiście o teatrze nō czy kabuki. W tradycji tego teatru kobiety nie są dopuszczane do zawodu. Dlatego mowa jest o mężczyźnie jako sukcesorze. W naszym wypadku to będzie córka. Ale my nie żyjemy w Japonii.

– Nie sędzę, żeby Błażej miał z tym kłopot. To jest, moim zdaniem, kwestia energetyczno-osobowościowa. On ma inny rodzaj energii.

- Absolutnie. Nie ma co z tym dyskutować.

– Błażej przejął inną sukcesję. Nauczanie. I jest w tym świetny.

- Tak. Często mam wrażenie, że jest lepszy ode mnie.

– Dla mnie nauczanie jest nieinteresujące i w ogóle...

- Niewidoczne.

– A *Scenariusz...* chciałabym grać. Co o tym sądzisz? Myślisz, że to ma sens?

- Jestem zachwycony. Absolutnie. I bardzo szczęśliwy. Nie dlatego, żebym miał jakieś szczególne aspiracje przedłużenia swojej egzystencji w takiej czy innej formie. W pamięci czy w pozostawionym dziele. Ale fakt, że moje dziecko, które jest artystą, to przejmuje, jest czymś pięknym.

– To super.

- Ale dopiero jak umrę. Upierałbym się przy cezurze śmierci. Cezura śmierci i narodzin nowego jest piękna. Słabsze jest, kiedy ja żyję, ale już nie gram, bo się nie ruszam na przykład.

– Dobrze. Dopiero jak umrzesz, tato. Tylko że wtedy tego nie zobaczysz.

- Nie muszę. To kompletnie nie ma znaczenia.



POSŁOWIE

Moja mądra i piękna mama Teresa, kiedy zapytałam ją, czy ma się dobrze z tym, co w książce, czy nie czuje się pominięta, bo tyle o niej mówimy bez szansy na jej głos, i czy nie byłoby dobrze, żeby jedna rozmowa była z nią, odparła: „Chyba żartujesz! Chcesz to załatwić jedną rozmową? Przecież ty mnie w ogóle nie znasz. To piękna i ważna opowieść. Ale wasza. To nie jest moja prawda. Musiałabym ci opowiedzieć wszystkie te historie jeszcze raz. Ale to chyba pomysł na inną książkę”.

Dziękuję Ci, mamo, za mądrość, którą nieustannie mnie zachwycasz.

Dziękuję Ci, Błażeju, za wspólne dzieciństwo. Dzięki Tobie czułam się bardziej bezpieczna.

Dziękuję Ci, Edku, za miłość. Jesteś najważniejszą podróżą, startem i celem. Jesteś światłem.

Rozmowy z Janem odbyły się w latach 2017–2019. Spisywania ich z nagrań podjął się Edek. Zresztą to z jego obserwacji zrodził się pomysł na tę książkę. Był jej „praredaktoorem” i kompasem. To niezmordowany akuszer wszystkich moich artystycznych przedsięwzięć.

Kolejne lata to już moja walka z formą. Nie byłaby możliwa, gdyby nie gościnnie domy, których użyli nam ludzie pełni wiary w sens tej książki. Oto oni:

Malika Bendifallah i Philippe Guibert i ich dom na wsi pod Phnom Penh, Kambodża;

Beata Ufniarz i Mike Moloney i ich dom w Thao Dien w Sajgonie, Wietnam;
profesor Tokimasa Sekiguchi i jego leśna kryjówka w Iyari w prefekturze Nagan, Japonia;

Michał Fiałkowski i Wojtek Tochman i ich dom w Dolnych Wronach na wyspie Evia, Grecja;

Krystian Jażdżewski i jego dom w Wokielach na Warmii, Polska.

Chciałam wyrazić moją wdzięczność Pauli Wilk, pierwszej czytelniczce tej książki, za szczerą i siłą, oraz Kasi Boni za wsparcie w chwili zwątpienia.

Cieszę się, że to Marginesy są wydawcą tej książki. „Własną drogą, zawsze obok” nabiera z Wami nowego, wspaniałego sensu.

Dziękuję Hannie Grudzińskiej za waleczność i zaufanie. Oraz za niespotykaną dziś klasę.

Adamowi Pluszce, mojemu redaktorowi, za czułą pomoc, poczucie humoru i cierpliwość.

Magdzie Śniecińskiej za hart ducha. Dawidowi Grzelakowi za energię wizualną.

W społeczeństwie, w jakim dorastałam, jest wielu, którzy woleliby, żeby osoby takie jak ja były nieme.

Dzięki relacji z Janem, przekraczającej wszystko, co przyjęte za obowiązującą normę, odkryłam swój głos. I siłę. Głos, który, mam nadzieję, wykorzystuję, by mówić także w imieniu tych, którzy z jakiegoś powodu takiej siły nie mają albo którym prawo do głosu odebrano.

Ta książka jest w jakimś sensie o tym samym, o czym wszystkie moje piosenki, a wcześniej moje aktorskie wcielenia – o prawie do bycia innym. O prawie do własnej drogi. O tym, że odstawanie, choć bolesne, może być źródłem siły.

PRZYPISY

[1] Kiedy mówimy *Scenariusz*, mamy na myśli *Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego* Bogusława Schaeffera.